



MNIEJ  
NIŻ NIC

*Elizabeth Kim*

**Elizabeth Kim**

# **Mniej niż nic**

*(Ten thousand sorrows)*

*Przełożyła Danuta Górka*

*Dla Ommy*

*Całuję twoją twarz tysiąc razy,*

*Jeszcze i jeszcze, i jeszcze.*

*Zamykam twoje powieki, przyglądam włosy*

*I składam twoje łagodne ręce.*

*Motyle skrzydelka uderzają*

*O sklepiony sufit tego życia*

*Trzepoczą teraz swobodnie w pustce.*

*I wyszepczę tę prawdę*

*W niewidzialny wiatr:*

*Kocham cię. Kocham cię. Kocham cię.*

Serdeczne podziękowania dla znakomitego pisarza Gary'ego Kliena za jego prawość i stałe wsparcie: dla Catherine Hedgecock, Ławr Michaels, Paula Cannona, Gracie Doyle i Stephena Calnana za ich zachętę i życzliwe rady; dla mojej agentki Patti Breitman, która uwierzyła w tę książkę na długo przede mną j dla mojej redaktorki w wydawnictwie Doubleday, Amy Scheibe, za jej przenikliwość i rozwagę; oraz dla doktor Roberty Seifert za jej mądrość i spokojne pokierowanie moją podróżą poprzez ciemność.

Nie mam słów, żeby w pełni wyrazić głębię miłości i podziwu dla mojej drogiej córki. Ocaliła mi życie i dała powód do życia. Jest najinteligentniejszą i najpiękniejszą kobietą pod słońcem. Omma uwielbiałaby ją z całego serca.

## Prolog

Nie wiem, ile miałam lat, kiedy patrzyłam na śmierć mojej matki, i nie wiem, ile lat mam teraz. Nie istnieje świadectwo mojego urodzenia ani żaden dowód tożsamości. Nie istnieje żaden dokument krótkiego życia mojej matki. Żaden dokument nie upamiętnił jej śmierci z rąk brata i ojca jako „honorowego zabójstwa”.

## Część I

*Oto wspomnienie: szelest jej szaty.*

*Oto wspomnienie: wonności w jej włosach.*

*Oto wspomnienie: wzięła mnie na ręce,*

*Trzyma mocno i kołysze w powietrzu ze śmiechem.*

*Szaleję w ciemnościach i wołam jej imię;*

*Kryję się w ciemnościach i zamykam oczy.*

*Zima mego życia to zmarznięty ból;*

*Tęsknota za matką nigdy nie umiera.*

## Rozdział 1

W nocy, kiedy umarła Omma, wydawało się, że Kraj Porannej Świeżości wstrzymał oddech z niedowierzania wobec grozy, jaka nawiedziła jego dzieci. Porywisty grudniowy wiatr ucichł i nastał szczypiący mróz, nieruchomy w naszym małym domku. Powietrze było rzadkie i ostre.

Omma przygotowała specjalny obiad: fasolowy twaróg z chili i czosnkiem oraz nasz zwykły ryż z kimchi i pigwową herbatę. Była bardziej ożywiona niż zwykle i rozmawiała ze mną jak z równą sobie dorosłą kobietą, a nie z małym dzieckiem. Jej pomarszczona jedwabista skóra przybrała odcień gorączki, a oczy strzelały na wszystkie strony podczas rozmowy.

Omma powiedziała mi, że gdzieś na świecie znajdę szansę, żeby zostać osobą. Wyjaśniła swoją buddyjską wiarę, że życie jest stworzone z dziesięciu tysięcy radości i dziesięciu tysięcy smutków, a każde z nich to kamień na drodze prowadzącej do ostatecznego spokoju. Mówiła, że nic nigdy naprawdę się nie kończy, nawet życie. Wszystko trwa dalej we wzorze nocy przechodzącej w dzień, ciemności w światło, śmierci w odrodzenie. Powiedziała, że honor oznacza wierność własnemu sercu, a nie przestrzeganie praw innych ludzi. Mówiła o władzy. Nawet kobieta – nawet nieosoba – może posiadać władzę, powiedziała.

Posprzątawszy po obiedzie i zamiótłszy podłogę, Omma napełniła wodą duży, osmalony żelazny kocioł i postawiła go na palenisku, aż woda zrobiła się przyjemnie ciepła. Wykąpała mnie starannie i szybko, żebym nie zmarzła, potem ubrała mnie w czysty *hanbok*, długą do kostek bawełnianą spódnicę z krótkim zawiązywanym stanikiem. Rozczesała i zaplotła moje długie, wijące się ciemne włosy, które zwykle zakrywał biały szal. Podała mi złożoną kartkę ryżowego papieru pokrytą delikatnym pismem i oznajmiła, że następnego dnia przed

pierwszym brzaskiem mam wyjść z wioski polną ścieżką, niosąc ten papier, i na głównej drodze znaleźć kogoś, komu go pokażę. Zdumiona, lecz przyzwyczajona do posłuszeństwa, tylko skinęłam głową.

Omma pochwyciła mnie gwałtownie i przytuliła, zasypując lawiną szeptanych słów miłości. Powtarzała mi w kółko, jaka jestem kochana, jaka piękna i doskonała. Mówiła, że ceni moje życie bardziej niż własne. Mówiła, że jestem jej skarbem.

Puściła mnie i odsunęła o kilka cali. Potem kazała mi wejść do dużego plecionego bambusowego kosza przy naszym łóżku, którego używałyśmy do przechowywania rzeczy.

– Cokolwiek się stanie, bądź absolutnie cicho i zostań tutaj aż do pierwszego brzasku – nakazała.

Z oczami wlepionymi w jej twarz posłusznie, bez słowa przykucnęłam w koszu. Ogarnęła mnie ciemność, kiedy Omma zamknęła pokrywę.

Przez następną nużącą godzinę siedziałam ze skrzyżowanymi nogami w koszu, patrząc przez szpary między prętami na migotliwy blask świec i fragmenty Ommy, która siedziała nieruchomo przed małym drewnianym Buddą. Jej dźwięczny śpiew wypełniał izbę, czysty dźwięk wznosił się i opadał. Czekałam, całkowicie rozbudzona, napięta i przestraszona.

Świeca dopalała się i półmrok spłynął na izbę, kiedy pospieszne kroki na zewnątrz zmąciły ciszę. W pokoju rozbrzmiały głosy. Zaniepokojona narastającym hałasem i ruchem, przycisnęłam twarz do prętów kosza i wyglądałam przez półcalowe szczeliny, żeby lepiej zrozumieć, co się dzieje.

Rozpoznałam głos surowego ojca Ommy, starszego wioski, który nigdy nie zwracał się bezpośrednio do mnie. Rozpoznałam głos starszego brata Ommy, hałaśliwego młodego człowieka, ważnego przywódcy w wiosce.

Obaj zrobili tego popołudnia rzecz bez precedensu: podeszli do Ommy, kiedy



pracowała na polu ryżowym, i przemówili do niej. Pracowałyśmy szybko, starając się rozgrzać w miarę możliwości. Wyprostowałam się na chwilę zauważywszy, że ktoś nadchodzi, i zdumiałam się na widok mojego dziadka i wujka, którzy zbliżali się do nas. Ponieważ należeli do wioskowej starszyny, zrozumiałam, że to doniosła chwila. Omma wstała, potarła zmęczone plecy, potem skłoniła się i czekała na nich w milczeniu. Mężczyźni nie uklonili się, tylko od razu zaczęli mówić rzeczowym tonem. Wszyscy troje rozmawiali przyciszonymi głosami, więc nie wiedziałam, o czym mówią, ale obserwowałam ich z daleka. Wyglądali na rozgniewanych; moja matka patrzyła na mężczyzn z pogardą. Żadne z nich nie ukloniło się, kiedy rozmowa dobiegła końca.

A teraz ci mężczyźni tłoczyli się w naszym ciasnym domku. Przyszła z nimi młoda żona brata Ommy. Nie odzywała się, głowę miała pochyloną. Mężczyźni nosili wysokie plecione kapelusze, które podkreślały ich pozycję jako starszych wioski. Ojciec Ommy był krępyim człowiekiem z baryłkowatą klatką piersiową, surową szczeliną ust i głębokimi bruzdami na policzkach. Brat był wyższy i miał jaśniejszą skórę. Bratowa Ommy nosiła sztywno wykrochmalony biały *hanbok*.

Mówił tylko brat Ommy. Powiedział jej, że rodzina przedyskutowała sprawę jeszcze raz, odkąd przedstawili jej żądania dzisiaj po południu na polu, i on, jego ojciec i jego żona przyszli wypełnić plan. Pewna rodzina zaproponowała, że zabierze *honhyol* – mnie – do swojego domu jako służącą. Widzieli mnie przy pracy na polach ryżowych i zdecydowali, że już dostatecznie podrosłam, żeby przydać się w domu, a także zostać zaręczona. Ludzie składający ofertę zamierzali załatwić dwie sprawy jednocześnie: znaleźć służącą dla siebie i przyszłą żonę dla młodego człowieka, którego zatrudniali.

Z beznamiętnych słów brata Ommy wynikało, że obiecano również pewną sumę pieniędzy. Nasi krewni zajmowali wysokie pozycje, byli jednak biedni jak wszyscy w wiosce, więc szansa na zagarnięcie okrągłej sumki i pozbycie się

rodzinnej hańby – wszystko za jednym zamachem – spadła im jak z nieba.

Omma wciąż klęczała przed ołtarzem. Ani jeden mięsień nie drgnął w jej ciele, lecz głos dźwięczał stalą.

Powiedziała mężczyznom, że jej uczucia nie zmieniły się od czasu rozmowy na polu ryżowym i że nigdy nie sprzeda córki w niewolę.

Brat oświadczył, że dziewczynka *honhyol* jest mniej niż niewolnicą i wyniesienie kogoś takiego na stanowisko służącej oznacza dla niej poprawę losu. Dodał, że rodzina gotowa kupić *honhyol* cieszy się szacunkiem i taka szansa to więcej, niż zasłużyła sobie Omma czy jej dziecko nieosoba.

Następnie brat wyjaśnił swoim dydaktycznym tonem, że ludzie, którzy złożyli ofertę, nalegali na zgodę Ommy, inaczej umowa nie dojdzie do skutku. Chcieli kupić służącą, ale nie chcieli się sprzeciwiać życzeniom matki. Zgoda na transakcję w znacznym stopniu zmyje rodzinną hańbę, a także przyczyni się do pojednania Ommy z rodziną.

Moja matka nadal klęczała przed posążkiem Buddy, wygłaszając ostateczną odpowiedź. Nieważne, ile wynosi oferta ani jak bardzo rodzinie zależy na jej zgodzie, transakcja jest niemożliwa z prostego powodu: dziecko zniknęło. Powiedziała im, że odesłała córkę z domu, żeby ją uchronić przed zamiarami rodziny, i dziewczynka przebywa w kryjówce, gdzie nigdy jej nie znajdą.

Brat Ommy postąpił dwa kroki do przodu i uderzył ją z taką siłą, że upadła, a mały drewniany Budda zleciał na podłogę. Kropelki śliny pryskały mu z ust, kiedy jej mówił, że jest nędznicą, niegodną przebaczenia, i że jej krnąbrność zmusza go do podjęcia ostatecznych środków.

Poderwał ją z podłogi za włosy i kazał żonie, żeby związała jej ręce i nogi. Omma nie stawiała oporu, oczy miała zamknięte i nuciła półgłosem modlitwę do współczującego Buddy. Jej białe *hanbok* pokrywały smugi brudu, ale błękitna szarfa wciąż była zawiązana na piersi z idealnie schludną asymetrią. Włosy

wymknęły się z węzła i spłynęły po plecach czystym, lśniącym strumieniem.

W bambusowym koszu starałam się oddychać cicho, chociaż przegryzłam sobie dolną wargę na wylot i krew ściekała mi po brodzie.

Dziadek przerzucił sznur przez mocną, poczerniałą od starości belkę w kącie izby. Nie mówił nic, tylko zaciskał wargi. Dwaj mężczyźni pracowali szybko: zrobili pętlę i zarzucili Ommie na szyję. Kiedy pociągnęli za sznur, moja matka uniosła się do góry i przez szpary w bambusach widziałam tylko jej białe stopy dyndające w powietrzu. Patrzyłam, jak te mlecznobiałe stopy drgają niemal w rytmie tańca *Hwagwanmu*, a potem nieruchomieją. Wyprężyły się tak, że duże palce celowały prosto w ziemię, jakby Omma zamierzała wykonać piruet na pointach.

Nie zdawałam sobie sprawy, że wyszłam z bambusowego kosza. Nie czułam, że krew i łzy spływają mi po twarzy. Nie widziałam nic, tylko moją ukochaną Ommę zawieszoną pomiędzy niebem a ziemią. Podbiegłam do białych, bezwładnych stóp i obsypałam je pocałunkami. Wołałam matkę, dopóki nie zabrakło mi tchu.

Przypomniałam sobie o innych w pokoju dopiero kiedy poczułam, że szorstkie ręce chwytają mnie i przyciskają do ołtarza. Brat zaklął i powiedział, że nawet w obliczu śmierci Omma ich okłamała. A teraz, powiedział, muszą rozprawić się ze złem, które po sobie zostawiła. Kazał żonie przytrzymać mnie za ramiona, a jego ojciec złapał mnie za nogi. Ojciec w ogóle nie zabierał głosu; żona odezwała się po raz pierwszy i ostatni w tym miejscu. Poprosiła mężczyzn, żeby darowali mi życie, obiecała, że pozbędzie się mnie do jutra. Jej mąż splunął, zanim odpowiedział. Przypomniał jej, że jestem niczym – nieosobą, niegodną żadnych uczuć.

Zdarł ze mnie czysty *hanbok*, chwycił zapalki z ołtarza i zapalił pierwszą. Przemocą rozwarł mi nogi i przytknął płomień do mojego ciała.

Ból był tak dojmujący, że wyparł wszelkie myśli i nie pozostawił nic, tylko kręgi białego ognia w polu widzenia.



## Rozdział 2

W konfucjańskiej wiosce, gdzie mieszkałam z Ommą, synowska miłość stanowiła cnotę główną. Kult przodków oznaczał sposób życia, a posłuszeństwo wobec starszych było absolutne i niekwestionowane. Bunt przeciwko słowu starszego sprowadzał na buntownika najsurowsze społeczne potępienie. Kobiety znajdowały się na samym dole hierarchii i istniały tylko po to, żeby służyć mężczyznom i żeby rodzić mężczyzn. Ich głosy powinny brzmieć cicho i łagodnie; oczy powinny być spuszczone; zachowanie uległe. Nie do nich należało myślenie; one miały tylko słuchać. Nieposłuszeństwo wobec krewnego płci męskiej – zwłaszcza starszego – było czymś niewyobrażalnym.

W tym świecie wyraźnie ustalonego porządku Omma, jak przypuszczam, sprawiała kłopoty już od dziecka. Odrzuciła konfucjanizm i ogłosiła, że nawróciła się na buddyzm. Ale naprawdę przekroczyła granice nieposłuszeństwa, kiedy oznajmiła rodzicom, że nie życzy sobie aranżowanego małżeństwa – czegoś, co większość koreańskich kobiet przyjmowała bez protestu.

Omma nieczęsto opowiadała mi o sobie i za każdym razem podkreślała, że nie zrobiła nic, czego powinna się wstydzić. Była wolnym, twórczym duchem, domagającym się swobody. Rodzinie i sąsiadom jej niespokojny umysł na pewno wydawał się groźny i niebezpieczny. Jej marzenia się nie spełniły, lecz ona pozostała im wierna. Nie winiła się za nic, co spotkało ją w życiu, po prostu akceptowała kolejne odmiany losu.

Przejęłam od matki owo poczucie akceptacji i przez większość życia wierzyłam, że cokolwiek się stało, po prostu tak musiało być, na dobre czy złe. Złorzeczenie losowi nie miało sensu; można było jedynie przyjmować to, co życie przyniesie.

Lecz dorastając, matka doprowadzała do wściekłości wioskową starszyznę i szokowała kobiety swoim buntowniczym zachowaniem i heretyckimi pomysłami. Ponurooki ojciec bił ją, jędzowata matka wrzeszczała, lecz nic nie wskórali. Omma w duchu kipiała ze złości, knuła i planowała ucieczkę. Rodzina ciągle przypominała jej o obowiązkach córki i groziła najsurowszymi konsekwencjami: całkowitym wykluczeniem z rodziny i wioski. Jeśli splami honor rodziny, uznają ją za martwą – już nie córkę, nawet nie osobę. Groźbę ponawiano co dzień, a Omma tylko wzruszała z wdziękiem ramionami i dalej pracowała na poletkach ryżowych.

Na swój łagodny sposób była buntowniczką. Tęskniła za miastem, za elektrycznym światłem, za śmiechem i rozmowami. Dusila się w ciasnej klatce swojego życia. I zawsze, rozświetlona od wewnątrz blaskiem nadziei, marzyła o miłości.

W owej surowej konfucjańskiej kulturze dziewczyna mieszkała z matką, dopóki nie wyszła za mąż, a potem praktycznie stawała się niewolnicą swojej teściowej. Kobiety czekały przez całe życie na śmierć swoich teściowych i na ożenek synów, żeby same mogły kimś rządzić i kontynuować ten bezmyślny cykl okrucieństwa.

Kobieta była nieodwołalnie zhańbiona, jeśli popełniła któryś z *chilgo chiak*, czyli siedmiu złych uczynków:

Nieposłuszeństwo wobec krewnych

Nieurodzenie synów

Rozwiąłość

Okazywanie zazdrości

Przenoszenie dziedzicznej choroby

Gadatliwość

Kradzież

Mężczyzn takie zasady nie krępowały.

W końcu. Omma uciekła z domu i pojechała do Seulu.

Chciała zostać śpiewaczką. Swym wysokim głosem nienagannie wywodziła trele pięcionutowej koreańskiej gamy; w marzeniach była kisengą z dawnych czasów, zabawiającą arystokratów i zadziwiającą wszystkich swoim talentem i urodą. W tych marzeniach zostawiała wioskę – z jej dławiącymi patriarchalnymi prawami i tępym posłuszeństwem – daleko za sobą.

Nie wahała się, kiedy nadeszła okazja. Jakimś sposobem, może dzięki pracy na polach ryżowych, zaoszczędziła wreszcie dość pieniędzy na przejazd pociągiem. Więc na długo przed świtem spakowała swoją najlepszą sukienkę *hanbok* i kilka innych niezbędnych rzeczy w schludny tobołek i ruszyła wydeptaną ścieżką prowadzącą z wioski.

Seul był ogromny. Lecz Omma niełatwo dawała się onieśmielić. Wkrótce znalazła pracę i niewielkie grono znajomych. W skromnej jadłodajni, gdzie podawała miseczki *naeng myon* w zimnym rosole, zaprzyjaźniła się ze stałym klientem. Pochodził z Ameryki, miejsca dla niej równie odległego jak Księżyc. Łamanym koreańskim, podpierając się słownikiem, opowiedział jej o swojej rodzinie, swoim domu i swoich obowiązkach żołnierza. Podarował jej maleńką amerykańską flagę i powiedział, że to znaczy, iż tam, gdzie mieszkał, wszyscy są wolni. Puszczal jej płyty jazzowe. I wiedział o jej kraju znacznie więcej niż ona sama. Opowiedział o niedawnym zawieszeniu broni, które zakończyło wojnę koreańską i podzieliło kraj.

Dla Ommy, spragnionej wiedzy i rozmowy, nie miał sobie równych. Była nim zafascynowana i wkrótce się zakochała. Jak tyle innych kobiet w jej wieku i położeniu, matka miała nadzieję, że ten żołnierz okaże się inny niż wszyscy: zatrzyma ją przy sobie, nawet w Ameryce, nigdy jej nie opuści.

Lecz opuścił ją i szybkie stopy Ommy o wysokim podbiciu stały się powolne i

człapiące, jej śpiewny głos chrapliwy i wulgarny, a ciało ociężałe i niezdarne. Kiedy już nie dało się ukryć, że jest w ciąży, straciła pracę i nie miała szans na znalezienie następnej. Mogła zrobić tylko jedno: powrócić do wioski, dźwigając przed sobą wymowny dowód swojej hańby.

Zobojętniała na wszystko prócz ogromu swojej straty, opuszczona i niepokieszona. Żadne słowa ojca ani nikogo z wioski nie mogły jej zranić; czysty ból wypełniał już każde włókno jej istoty.

Powróciła w ciąży, nosiła dziecko amerykańskiego żołnierza. Zrozpaczona, pozbawiona środków do życia, była niczym, kiedy opuściła wioskę; teraz stała się mniej niż niczym. Niesoba nosząca pod sercem nieosobę, pozbawiona nadziei, obarczona hańbą.

W dniu powrotu Ommy do wioski większość mieszkańców pracowała na polach. Omma weszła do pustej chaty na skraju wioski – wiedziała, że nikt nie chciał tam mieszkać ze względu na odległość i ciasnotę – i zaczęła sprzątać. Nie obchodziło jej, co się stanie; chciała tylko odpocząć. Kiedy ludzie wrócili po dniu pracy, szybko rozeszła się wiadomość o powrocie wioskowej buntownicy.

Chociaż początkowo nikt nie okazywał wrogości, nikt również jej nie witał. Tolerowano ją, ale nie zapraszano. Rodzina nie złożyła jej wizyty. Nieliczne przyjaciółki z dawnych czasów nie chciały narażać się na potępienie, gdyby je zobaczono w jej towarzystwie. Nikt nic nie powiedział, kiedy Omma cicho zajęła swoje dawne miejsce na polu ryżowym. Nikt się do niej nie odzywał.

Nie wiem, jak Omma sobie poradziła, kiedy nadszedł czas moich narodzin. Może wioskowa akuszerka postanowiła zignorować haniebną pozycję Ommy w zamian za zapłatę. Może zostawiono ją samej sobie. W każdym razie urodziłam się zdrowa. Omma miała teraz dziecko i sprzymierzeńca. Kogoś, kto nie dbał o jej nędzną pozycję i dawne grzechy. Kto ją kochał, kto jej potrzebował i chciał spędzać z nią każdą chwilę.



Prawdopodobnie już w kilka dni po moim urodzeniu Omma znowu pracowała na polach ryżowych. Nie przechodziła długiej rekonwalescencji, nie rozpieszczali jej troskliwi krewni. Zawinęła mnie w bawełniany tłumoczek zawieszony na piersiach i wróciła do pracy.

Towarzyszyłam jej stale, a kiedy podrosłam, pracowałam u jej boku. Zarabialiśmy akurat tyle ryżu, żeby wystarczyło do jedzenia i na wymianę, żeby zaspokoić nasze najbardziej podstawowe potrzeby.

Od czasu do czasu przerywałyśmy pracę, prostowałyśmy obolałe grzbiety, opierałyśmy dłonie na biodrach, opuszczaliśmy rozluźnione ramiona, wyginałyśmy palce. W oddali widziałyśmy wioskę, która wydawała się mała i nieważna na tle surowego piękna gór.

Wioska istniała z jednego powodu: żeby uprawiać ryż. W tej pracy wszyscy zależeli od siebie nawzajem. Pole ryżowe służyło całej wiosce i nie tylko, wokół niego obracało się nasze życie. To była krew tutejszych ludzi: żywność do jedzenia, żywność do sprzedania, żeby kupić artykuły pierwszej potrzeby, jak węgiel do ogrzewania, herbata i lecznicze zioła.

Maleńka wioska miała piękno zapierające dech w piersiach: zielona, żyzna dolina na przedmieściach Seulu, otoczona kordonem koreańskich gór. Stanowiła ucieleśnienie prawdziwej nazwy Korei: Kraj Porannej Świeżości.

Wokół nas wznosiły się zamglone górskie szczyty; pod naszymi stopami rozpościerały się bujne zarośla kosmosu pierzastolistnego, azalii i miłorzębu. Delikatne pędy ryżu wystrzelały z błyszczących poletek jak maleńkie szmaragdowe włócznie.

## Rozdział 3

Byłam ciemnowłosą dziewczynką, idącą ręką w rękę z moją Ommą po pylistej drodze z pól ryżowych do naszej małej wioski. Czubkiem głowy sięgałam jej do talii i maszerując obok ciągle podnosiłam wzrok, żeby pochwycić błysk jej lekkiego, przelotnego uśmiechu. Tę podróż odbywałyśmy codziennie, po wielu godzinach stania bosy na błotnistym polu, gdzie sadyliłyśmy, okopywałyśmy i zbierałyśmy cenny ryż.

Kiedy byłyśmy same na drodze, Omma pozwalała mi przystanąć i uzupełnić strzępiasty bukiet lawendy i czerwonego kosmosu, który potem układałam w ceramicznym garnku do *kimchi* i stawiałam na naszym małym ołtarzyku.

O zmierzchu wędrowałyśmy mozolnie na zmęczonych stopach w stronę wznoszących się przed nami gór. Pociągałam nogami, próbując dotrzymać kroku Ommie. Patrzyła prosto przed siebie, z głową owiniętą białym szalem, w zabłoconej sukience *hanbok*. Byłam jej cieniem, trzymałam się tuż obok, z twarzą równie bez wyrazu jak jej twarz. Powietrze było rześkie i ostre; spieszyłam się do *ondol* – małego paleniska – którego używałyśmy zarówno do ogrzewania naszej chatki, jak i do gotowania ryżu na posiłki.

Kątem oka zauważyłam jakiś ruch. Kilku ludzi stało przed jedną z pobliskich chat, po dniu ciężkiej pracy podnosząc do ust czarki z herbatą. Naczynia zatrzymały się w połowie drogi. Swobodne pogawędki ucichły. Zapadło milczenie, potem usłyszałam pierwsze splunięcie. Kamień trafił najpierw mnie; poczułam ukłucie bólu na plecach pod łopatką. Nie płakałam ani się nie obejrzałam. Omma mnie nie osłaniała. Nic nie mówiłyśmy. Ścisnęła mocniej moją rękę i szłyśmy dalej, trochę szybciej, lecz wciąż patrząc prosto przed siebie, nie okazując ani śladu słabości. Następny kamień trafił mnie w policzek, kolejny rykoszetem uderzył w

nas obie, potem jeszcze następne – w plecy, ramiona, nogi i twarze.

Rozległy się wyzwiska: *honhyol*, pogardliwe określenie oznaczające nieosobę, mieszaną rasę, zwierzę. Po każdej obeldze rzucający kamieniami spluwali, jakby chcieli oczyścić usta z tych słów.

Wreszcie minęłyśmy granicę wioski i kamienie już do nas nie dolatywały. Dotarłyśmy do naszego jednoizbowego domu na skraju wioski, na końcu długiej gruntowej drogi, z dala od innych. Góry, purpurowe przed zachodem słońca, wznosiły się przed nami. Nie odrywałyśmy od nich oczu i wyprostowane, bez wahania, bez potknięcia doszłyśmy aż do drzwi. Gdy byłyśmy już bezpieczne w środku, Omma pochwyciła mnie w ramiona i przygarnęła do piersi. Starła mi krew z policzka i delikatnie rozmasowała posiniaczone plecy, ale nie powiedziała nic o tym, co się stało.

Ciepło okutane, przygotowaliśmy obiad i wyniosłyśmy go na zewnątrz. Usiadłyśmy za naszym małym domkiem, żeby zasłaniał nam widok na wioskę. Siorbałyśmy wrzącą herbatę, jadłyśmy gorący ryż, ostrą rzodkiew i kapustę *kimchi* z ceramicznych misek, patrząc, jak purpurowe góry przechodzą w czerń.

Z moją matką mała miseczka ryżu wystarczała na długo, ponieważ jadłyśmy powoli, ceremonialnie. Omma nakładała chochlą ryż, potem podawała mi miskę w obu dłoniach, z ukłonem. Oddawałam ukłon i przyjmowałam miskę. Potem siedziałyśmy naprzeciwko siebie, powoli jedząc ryż i smakując cząstki pikantnej *kimchi*. Popijane gorącą jęczmienną herbatą, posiłki z moją matką były ucztą duchową.

Czekała uprzejmie, aż wezmę pierwszy kęs; często wybierała pałeczkami z miski *kimchi* wyjątkowo kruchy kęs białej kapusty i wkładała mi do ust. Czasami ja próbowałam ją karmić, ale nie posługiwałam się pałeczkami tak zręcznie jak moja pełna wdzięku matka. Niemniej uśmiechała się do mnie i zjadała, cokolwiek jej dałam.

\* \* \*

Znowu i znowu przebiegałyśmy pod gradem kamieni na pylistej drodze. Matka nigdy o tym nie mówiła. Nigdy nie podniosła ręki, żeby odtrącić kamienie, nigdy nie osłaniała własnym ciałem mojego małego ciała. Nie przyszło mi do głowy, żeby zapytać. Patrząc wstecz wierzę, że przeczuwała nadchodzącą śmierć. Wiedziała, że nie będzie mogła mnie chronić. Znała cenę, którą zapłaciła za urodzenie – a potem zatrzymanie – dziecka skażonej krwi.

I chociaż uważała się za buntowniczkę przeciw swojej kulturze, bardzo po koreańsku przygotowała mnie w jedyny sposób, jaki знаła. Została przy mnie i dzieliła mój ból, lecz zmusiła mnie, żebym razem z nią stawiała czoło tej sytuacji, z głową uniesioną wysoko, bez łez na policzkach.

Omnia nigdy nie próbowała mnie pocieszać, mówiąc, że nie jestem gorsza od innych. Nigdy nie mówiła, że to ich zmartwienie. Właściwie chyba wierzyła, że jestem gorsza od innych. Omnia akceptowała fakt, że jestem nieosobą i że obie jesteśmy wyrzutkami, ale i tak mnie kochała. Żyłyśmy jak dwie trędowate w małej dwuosobowej kolonii – wiedziałyśmy, że jesteśmy chore i nie wolno nam kontaktować się z resztą świata, ale na własny użytek stworzyłyśmy małą oazę spokoju.

W kulturze azjatyckiej, gdzie pokrewieństwo i honor mają ogromne znaczenie, istnieje historyczna tradycja nietolerancji dla dzieci mieszanej krwi. Duma narodowa jest głęboko zakorzeniona, w Korei zaś gorące umiłowanie dziedzictwa narodowego posiada również ciemną stronę – nienawiść do wszystkiego, co plami czystość owego dziedzictwa.

Nie pamiętam, żebym czuła urazę do Ommy, że nie osłoniła mnie przed kamieniami, podobnie jak nie czułam urazy, że nikt nie osłonił mnie przed

kamieniami, kiedy dorosłam. Nie znając niczego innego, po prostu przyjąłam, że tak miało być.

\* \* \*

Omnia była kobietą poważną. Dawniej, jak wierzyłam, była zadziorna i skłonna do figli. Nikły ślad tamtej dziewczyny dawał się jeszcze dostrzec od czasu do czasu, ale tylko wtedy, kiedy byliśmy same i bawiłyśmy się albo tańczyłyśmy. Nie tak dawno przekroczyła dwudziestkę, ale miała zmarszczki wokół oczu i pochylone ramiona.

Rzadko widywałam uśmiech na twarzy Ommy, lecz kiedy stałyśmy razem na polu ryżowym, jej zaciśnięte wargi rozluźniały się, czoło wygładzało i oczy łagodniały, gdy patrzyła, jak pracuję obok niej. Człapałam za nią przez pole i stopy grzęzły mi w mlaskającym mule, chociaż starałam się pracować równie szybko i zręcznie jak moja zwinna matka. Od czasu do czasu Omnia zatrzymywała się, żeby mi pomóc i poprawić szal, który osłaniał moje kędzierzawe włosy. Ale żadne przebranie nie zakrywało mojej twarzy. Widziałam, jak Omnia drży, kiedy razem wychodziłyśmy w świetle dziennym; widziałam taksujące spojrzenia przechodniów wyostrzające się w pogardliwe rozpoznanie, kiedy odgadywali moją tożsamość.

Omnia była piękna, przynajmniej w moich oczach. Wodospad prostych czarnych włosów spływał jej aż do bioder, a skóra przypominała lekko zmięty jedwab. Miała piękne usta o delikatnie zaokrąglonych wargach, wysokie czoło i mały, ładnie ukształtowany nos. Jej dłonie były silne i pokryte odciskami, lecz dotyk nadzwyczaj delikatny. Pachniała dymem drzewnym i kadzidłem, które paliła wieczorami. Była wysoka w porównaniu z kobietami w wiosce i w przeciwieństwie do większości z nich trzymała się bardzo prosto. Nosiła się jak dama.

Włosy Ommy były proste; moje kręcone. Miałam nos trochę większy niż ona,

oczy trochę bardziej okrągłe, skórę w tym samym odcieniu palonej ochry.

Omma żywiła głęboki szacunek dla świata natury i nauczyła mnie wiele o cudownych roślinach, które rosną dziko w naszym kraju: forsycja, hibiskus i święty lotos. Kochaliśmy je prawie równie mocno, jak kochaliśmy góry, które strzegły nas dniem i nocą.

Wieczorami siadywałyśmy przed naszym jednoizbowym domkiem i w milczeniu patrzyłyśmy na góry. Czasami siedziałyśmy obok siebie, ale najczęściej mościłam się między kolanami matki, a ona obejmowała mnie lekko i kołysała w przód i w tył. Nauczyłam się medytacji w jej czułych ramionach, chociaż nie padło ani jedno pouczające słowo.

Byłam dzieckiem raczej spokojnym, zamkniętym w sobie.

Omma nauczyła mnie wszystkiego, czego mogła, od ogrodnictwa i gotowania do muzyki, do opowiadania bajek. Kiedy nadchodziła pora gotowania ryżu, Omma odmierzała go garścią, a potem pozwalała mi odmierzyć własną garść. Sprawdzała, czy się ugotował, kosztując jedno ziarnko, a potem mnie też kazała skosztować. Próbowala *kimchi*, żeby sprawdzić, czy jest należycie przyprawiona, i patrzyła, jak ja próbuję, przeżuwam i poważnie kiwam głową, jeśli moim zdaniem zawierała dostateczną ilość czerwonego pieprzu.

Założyłyśmy mały ogródek przed chatą, gdzie hodowałyśmy rzodkiewki, szczypior, ziemniaki, kapustę i ogórki.

Nasz mały, kryty strzechą domek miał ściany uszczelnione błotem, starannie zamiecioną podłogę z ubitej ziemi i mocne drewniane belki w narożnikach. Składał się tylko z jednego pomieszczenia – dom wieśniaka, zdolny oprzeć się żywiołom, bez żadnych zbytków. Tam, po zjedzeniu wieczornego ryżu z *kimchi* i pozmywaniu misek, klękałyśmy przed drewnianym ołtarzem i zanosiliśmy modły do Buddy Miłosierdzia i Współczucia.

Mały drewniany Budda należał do nielicznych rzeczy, które Omma przywiozła

ze sobą z Seulu, i ceniła go wysoko. Zanim rozpoczęła śpiew, dokonywała prostych przygotowań: zdejmowała buty, myła twarz i ręce.

Słuchałam śpiewu Ommy i myślałam, że na całym świecie nie ma nikogo równie pięknego. Jej atlasowe włosy uwolnione z szala, który nosiła do pracy na polu, spływały na plecy. Uwielbiałam włosy Ommy. Przeczesałam je palcami, zwijałam w pukle, bawiłam się nimi. Czasami podchodziłam do niej z tyłu, kiedy klęczała przed ołtarzem, w milczeniu wsuwałam głowę pod kurtynę czarnych włosów, przytulałam się do jej pleców i czułam, jak włosy Ommy spadają na moje własne ramiona i plecy.

Omma nigdy mnie nie besztła za przerywanie jej medytacji, ale również nigdy nie opuszczała swojego miejsca przed ołtarzem. Śpiewała dalej albo siedziała w milczącym skupieniu; czasami uśmiechała się do mnie i lekko kręciła głową, klęcząc z wyprostowanymi plecami i małymi stopami ledwie widocznymi spod skraju *hanboka*.

Rzadko nosiła włosy rozpuszczone; najczęściej skręcała je zręcznie i upinała na czubku głowy pojedynczą wypolerowaną drewnianą szpilą. Ruchy miała oszczędne, pełne wdzięku i boleśnie piękne. Siedziałam na łóżku i patrzyłam, jak unosi ramiona, żeby upiąć włosy, a rękawy *hanboka* zsuwają się z jej kruchych nadgarstków. Najpierw wymykały się pasemka, potem cała ciężka masa zaczynała się rozsypywać, a ona podgarniała i upinała włosy od początku.

Wieczorami, jeśli Omma nie była zbyt zmęczona, śpiewała „Arirang” i inne ludowe pieśni, które uwielbiałam, i tańczyłyśmy razem. Nauczyła mnie, że prawdziwy muzyk polega bardziej na *hung* – wewnętrznej inspiracji – niż na zapisanej formule. Stawałam w kącie i koncentrowałam się z zaciśniętymi oczami, a kiedy poczułam drgnienie *hung* w swoim małym ciele, obskurna izba z klepiskiem znikała. Potem w wyobraźni unosiłyśmy ciężkie atlasowe spódnice i wirowałyśmy po nieskończonej marmurowej posadzce w *Hwagwanmu*, Tańcu

Kwietnej Korony, utrzymując korony w idealnej równowadze na naszych gładkich, uperfumowanych głowach. Wszędzie wokół pulsowała muzyka i powietrze pachniało słodko jaśminem, który kwitnie nocą. Wreszcie bez tchu padałyśmy na łóżko jedna na drugą, z rozwianymi włosami, w wytartych bawełnianych *hanbokach*, znowu w izbie z klepiskiem i gołymi ścianami, wśród kłębow kurzu.

Omna śpiewała swoim słodkim, wysokim trelem:

*Arirang, Arirang, o Arirang,*

*Wejście na Arirang jest długie i zmudne,*

*Ale ty wejdiesz na szczyt wzgórza,*

*Gdzie zawsze świeci słońce.*

*Arirang, Arirang, o Arirang,*

*Żyjemy w czasach ciężkich i trudnych.*

*Dla tysięcy mil rzek i gór*

*Niech nadejdą pomyślność i pokój.*

Omna przyrządzała tylko kilka potraw, ale za to przepysznych. Jej *kimchi* stanowiło dzieło sztuki. Namaczała kapustę na noc w słonej wodzie i następnego dnia płukała trzy razy. W grubych ceramicznych garnkach układała warstwami kapustę z posiekaną szalotką, rzodkwią, czosnkiem i imbirem. Posypywała to solą, zalewała wodą i dodawała garść mocnego czerwonego pieprzu. Nakłuwała mieszaninę pałeczkami, żeby wypuścić powietrze, potem nakrywała pojemniki i obciążała pokrywy kamieniami. Zakopywałyśmy je na tylnym podwórzu, dopóki warzywa nie sfermentowały; wtedy nadawały się do jedzenia.

Rezultat był wspaniały.

Nie pamiętam, żebyśmy kiedyś z Ommą jadły mięso – nie wiem, czy dlatego że byliśmy za biedne, żeby kupować wołowinę ulubioną przez Koreańczyków, czy



też Omma wybrała wegetarianizm z własnych powodów.

Oprócz *kimchi* i ryżu Omma czasami przyrządzała ostrą sałatkę ogórkową z nieodzownym czerwonym chili, octem, czosnkiem i zieloną cebulą, a także zupę z pędów fasoli i szczypioru oraz wszelkich warzyw dostępnych w danym sezonie: pieczarek, marchewki lub zielonej papryki.

W naszym domu znajdowały się trzy meble.

Na drewnianym ołtarzu, który codziennie polerowałyśmy, stał mały posążek Buddy oraz fotografia bez ram, oparta o kamień. Zdjęcie przedstawiało młodego, uśmiechniętego mężczyznę w mundurze. Nigdy przedtem nie widziałam nikogo tak ubranego ani z takimi jasnymi oczami i włosami. Nigdy nie rozmawiałyśmy o fotografii, ale czasami późną nocą budziłam się i widziałam, że Omma klęczy przed ołtarzem i kołysze się w tył i przód, ściskając zdjęcie w obu dłoniach.

Naprzeciwko ołtarza stało nasze łóżko. Matka kazała mi spać od ściany, żeby własnym ciałem osłonić mnie jak najlepiej przed nocnym chłodem. W nocy tuliłyśmy się mocno do siebie, skulone w nietrwałym ciepłe naszego małego kokonu, podczas gdy na dworze świszczwał zimny wiatr.

Obok łóżka, które dzieliłam z Ommą, stał duży bambusowy kosz, gdzie trzymałyśmy nasze skarby: specjalny *hanbok*, który kupiła w Seulu przed moim urodzeniem; kawałek jedwabiu w czerwone, białe i niebieskie wzory, które nazywała „gwiazdy i pasy”; oraz moja ukochana tekturowa wioska i ludziki z patyków.

Omma stworzyła dla mnie cały świat ze starych pudełek i garści patyków. Patyki wystrugała, wypolerowała i ozdobiła strzępkami materiału. Dwie główne postacie to były matka i córka, ale miały też przyjaciół i sąsiadów, wszystkich z wiecznymi szczęśliwymi uśmiechami wymalowanymi na twarzach, w kolorowych *hanbokach* i spodniach wykonanych ze skrawków bawełny. Tekturowe budynki różniły się między sobą: pałac z dużymi oknami, przytulne chatki i świątynia

buddyjska. W naszym małym miasteczku z pudełek nikt nie był smutny ani samotny. Goście codziennie odwiedzali naszą matkę i córkę, cała wioska zbierała się w ich domu na posiłki i tańce.

Na kawałku ziemi za naszym domkiem Omma zbudowała góry dla tekturowej wioski: powtykała maleńkie gałązki w kupy błota, tworząc zbocza porośnięte lasem, a rozsypane płatki przedstawiały pola dzikich kwiatów. Czasami patykowa matka i patykowa córka wyruszały na wyprawę w góry, i za każdym razem cała patykowa wioska urządzała pożegnalne przyjęcie. Po ich powrocie znowu wydawano przyjęcie, a nasze dwie bohaterki zabawiały przyjaciół i sąsiadów cudownymi opowieściami o czarodziejskich krainach za górami.

W tym małym kartonowym świecie byłam królową. Wszystko było możliwe. Patykowi ludzie wznowili *Ch'uinbyangga*, gdzie wiejska dziewczyna znajduje swego księcia z bajki w Seulu; i tańczyli na klepisku do *Salp'uri*, żeby uwolnić ducha od kłopotów i cierpień.

Nauczyłam się od Ommy ludowych baśni, które z pewnością przekazywano z pokolenia na pokolenie. W przeciwieństwie do zachodnich podań ludowych, nasze nigdy nie miały „morału” – przynajmniej nie słyszałam go z ust Ommy. Opowieść miała tylko takie znaczenie, jakie zechciał jej nadać sam słuchacz.

Najbardziej lubiłam historię dobrych braci:

*Żyli niegdyś dwaj bracia, którzy kochali się serdecznie. Opiekowali się sobą nawzajem i dzielili wszystko na pół.*

*Po zbiorach wsypali swój ryż do worków i Starszy Brat pomyślał: „Mój Młodszy Brat dopiero się ożenił, więc ma dużo obowiązków. Zaniosę mu do spiżarni dodatkowy worek ryżu, ale nic mu nie powiem, bo pewnie by się nie zgodził, a przecież potrzebuje go bardziej niż ja”.*

*Tej nocy wszedł na palcach do spiżarni brata i postawił tam worek.*

*Ale następnego dnia Starszy Brat znalazł w swoim domu tyle samo worków ryżu, ile miał przedtem. Nic nie rozumiał, postanowił jednak, że po prostu odniesie bratu worek z powrotem. Zrobił tak i następnego ranka ze zdumieniem znalazł w swoim domu tyle samo worków ryżu, co przedtem.*

*Teraz naprawdę się zdumiał, ale postanowił spróbować jeszcze raz. Świecił księżyc w pełni i kiedy Starszy Brat szedł ścieżką, zobaczył, że ktoś idzie w jego stronę, niosąc coś na plecach. To był Młodszy Brat niosący worek ryżu. Zobaczyli się nawzajem i wybuchnęli śmiechem, ponieważ wreszcie zrozumieli, dlaczego liczba worków ryżu pozostała ta sama. Młodszy Brat zanosił dodatkowy worek Starszemu Bratu, ponieważ tak bardzo go kochał.*

\* \* \*

Byłyśmy biedne, ja jednak o tym nie wiedziałam. Wyobraźnia Ommy tworzyła pałace do tańca i coraz to nowe suknie z jedwabiu i brokatu do noszenia co wieczór. Nie dojadaliśmy ale ja nie znałam głodu. Z moją matką miseczka ryżu stanowiła ucztę. Żyliśmy w izolacji, ale ja nie czułam się samotna. W Ommie miałam matkę, bajarkę, towarzyszkę zabaw, zaufaną przyjaciółkę i opiekunkę.

Rankami, kiedy nie pracowałyśmy, czasami chodziłyśmy na rynek, by kupić herbatę, przyprawy i warzywa. W te poranki wszyscy wychodzili z domu, robili zakupy, plotkowali z przyjaciółmi, urządzali pranie. Nikt w samej wiosce nie odzywał się do nas, lecz z łagodną uprzejmością, która nigdy jej nie opuszczała, Omma nadal kłaniała się – nauczyła mnie tego samego – kiedy kogoś spotkałyśmy. Czasami, na wąskiej polnej ścieżce stawałyśmy twarzą w twarz z członkami rodziny Ommy. Bez słowa, odwracając wzrok, przepychali się obok nas, kiedy ustępowałyśmy im z drogi. Matka zawsze kłaniała się głęboko, całą postawą wyrażając miłość i żal. Jeśli nawet to zauważali, nie dawali nic po sobie poznać, a

Omna zawsze czekała, aż odejdą, zanim się wyprostowała i znowu wzięła mnie za rękę.

Nie oceniając ani słowem ich zachowania, powiedziała mi, kto jest kim w wiosce. Znałam stopień mojego pokrewieństwa z każdą osobą, którą spotykałyśmy na polach czy na ścieżkach, i wcale nie przejmowałam się faktem, że mój *haraboji* – dziadek – oraz inni krewni nie zwracają na mnie uwagi.

Wieczorami, kiedy inni plotkowali razem i popijali herbatę po dniu pracy na poletkach ryżowych, my zostawałyśmy na skraju wioskowego kręgu, siedziałyśmy przed naszym domkiem i bawiłyśmy się w nasze własne gry. Omna opowiadała historie o cudownym świecie za górami, gdzie zawsze wystarczało jedzenia, gdzie przez całą zimę jest ciepło i nie trzeba niczego się bać.

– Pewnego dnia opuścisz tę wioskę – powiedziała. – Pewnego dnia będziesz wielką panią, wszyscy będą z tobą rozmawiać i uśmiechać się do ciebie.

– A ty będziesz ze mną, Omma – odparłam, spoglądając z przejęciem na piękną, ukochaną twarz. Nie odpowiedziała, tylko pochwyciła mnie w ramiona, objęła mocno i obsypała moją zakurzoną twarz pocałunkami lekkimi jak motyle.

–

## Rozdział 4

Niewiele pamiętam z nocy po śmierci Ommy. Minęło chyba parę godzin, zanim odzyskałam zdolność myślenia i uświadomiłam sobie, że leżę skulona, jęcząca, w kącie naszej chaty. Pośladki i srom straszliwe mnie bolały od oparzeń. Ciało Ommy zniknęło. Moi krewni zajęci byli pakowaniem naszego skromnego dobytku i żaden z nich nie odezwał się do mnie ani nawet nie spojrzał w moją stronę. Tonęłam w rozpacz, ale wiedziałam dość, żeby zachowywać się jak najciszej.

Po chwili mój dziadek i wujek wyszli z domu, niosąc kosz oraz kilka tobołków. Ciotka wsadziła mnie na wózek i ruszyła wydeptaną ścieżką, ciągnąc wózek za sobą. Chociaż każdy wstrząs urażał mnie boleśnie, przysypiałam i znowu się budziłam, dopóki nie dotarliśmy do sierocińca na przedmieściach Seulu.

– Ona nie ma imienia – powiedziała moja ciotka urzędnicze w sierocińcu. – Nie znam daty jej urodzin i nie wiem, ile ma lat. Jest nikim. Jej matka popełniła samobójstwo i zostawiła ją na śmierć, a my ją znaleźliśmy.

W sierocińcu dostałam trochę maści i czyste bandaże, żeby zakryć spalone ciało, ale nikt nie mówił o moich ranach.

To była stara, znajoma historia w powojennym koreańskim społeczeństwie: dziewczyna ściągła hańbę na rodzinę, ponieważ ma nieślubne dziecko z amerykańskim żołnierzem, a po kilku latach nie może znieść pohańbienia i izolacji wyrzutka, więc odbiera sobie życie. Dzieci mieszanej krwi często były maltretowane przez ludzi, którzy nienawidzili ich za nieczyste pochodzenie. Wiele takich dzieci, porzuconych przez matki, zmieniało się w niewolników albo żyło na ulicach, żebrząc lub kradnąc jedzenie. Ludzie w sierocińcu widywali takie rzeczy, więc nie zdziwiły ich ani moje obrażenia, ani historia opowiedziana przez ciotkę.

Brak imienia stanowił kolejny element mojej hańby. Imiona w koreańskiej

kulturze są tak ważne, że rodzina często zasięga rady wróżbity, zanim nada dziecku imię. Imię może ukształtować przyszłość, ponieważ przynosi szczęście lub pecha. Koreańska rodzina opiera się na męskiej linii pokrewieństwa, a rodzinny rejestr zawiera imiona męskich przodków sprzed ponad pięciuset lat.

Brak daty urodzenia dodatkowo zwiększał mój wstyd. Przyszłość Koreańczyka w dużym stopniu zależy od *saju* – roku, miesiąca, dnia i godziny narodzin. Pomyślna kombinacja tych czterech składników może oznaczać szczęśliwe życie.

Z koreańskiego punktu widzenia lepiej umrzeć niż dźwigać taką hańbę jak moja: *honhyol*, kobieta, bezimienna, bez daty urodzenia.

Moja matka, jak pamiętam, nazywała mnie tylko Soon, swym prywatnym, miłym imieniem. Była to odmiana koreańskiej zdrobniałej formy określenia „małej dziewczynki” – bardzo kochanego dziecka. Nie powiedziałam tego ludziom w sierocińcu ani nie powiedziałam, co naprawdę się wydarzyło poprzedniej nocy. Zachowałam milczenie, zbyt głęboko pogrążona w rozpacz i zbyt gruntownie przyuczona do posłuszeństwa, żeby mówić.

Podczas długiej podróży z mojego domu do sierocińca ciotka nie odzywała się do mnie. Poprzedniej nocy wstawiła się do męża, żeby darował mi życie, ale nie wiem, dlaczego podjęto decyzję, żeby odesłać mnie do sierocińca. A jeśli wieśniacy wątpili w historyjkę opowiedzianą przez moją rodzinę – że młoda kobieta, przytłoczona wreszcie ciężarem własnych grzechów, powiesiła się i zostawiła córkę na pastwę losu – żaden z nich nic nie zrobił w tej sprawie.

Ostatecznie życie kobiety nie miało dużej wartości, więc odebranie go dla większego dobra, czyli dla zmazania rodzinnej hańby, stanowiło z dawna przyjęty sposób postępowania. Taka śmierć nie była morderstwem, tylko honorowym zabójstwem, uświęconym przez tradycję.

Sierociniec prowadzili chrześcijańscy misjonarze, tutaj więc otrzymałam swoją pierwszą lekcję religii zachodniej. Dzieci trzymane w kojach z listewek,

ustawionych jeden na drugim, po cztery w rzędzie. Kojce wyglądały zupełnie jak klatki dla zwierząt w schronisku – poczwórne rzędy wzdłuż trzech ścian wielkiego, obskurnego pokoju. Przednie ścianki kojców dawały się opuszczać i zamykać na skoble, ale nie można ich było otworzyć od środka.

Byłam przyzwyczajona do fizycznej swobody – po całych dniach pracowałam na poletkach ryżu albo bawiłam się na łąkach za naszym domem. Tylko raz zostałam zamknięta w ciasnej przestrzeni, kiedy patrzyłam z bambusowego kosza, jak mordują moją matkę. Kojec mnie przerażał – nie tylko dlatego, że był dla mnie za mały, ale głównie dlatego, że nie mogłam z niego wyjść, kiedy zechcę. Ktoś inny miał władzę nad moimi poczynaniami – zniewolenie ludzkiego ducha, jakiego nigdy przedtem nie zaznałam.

Pokój miał białe ściany, upstrzone tu i tam obrazkami Jezusa. Wszystkie powierzchnie były zmywalne, podłogę pokrywało gołe linoleum. Siedziałam skulona w mojej klatce – dziecko w wieku przedszkolnym, o wiele za duże do niemowlęcego kojca – otępiała z rozpacz. Od czasu do czasu, zmożona cierpieniem, waliłam głową o pręty, wrzeszczałam i wyrywałam sobie włosy, dopóki ktoś nie przyszedł i nie kazał mi być cicho. Oprócz przypadkowych kontaktów nie pamiętam, żeby ktoś mnie dotykał w sierocińcu.

Naprzeciwko mojej klatki znajdowały się drzwi. Godzina za godziną siedziałam, wlepiając oczy w szczeliny wzdłuż trzech krawędzi drzwi, skąd przebłyskiwało światło. Czasami światło przygasało na chwilę i wtedy wiedziałam, że ktoś zaraz otworzy drzwi i wejdzie do środka. Wstrzymywałam oddech, czekałam, aż drzwi się otworzą i ludzka istota stanie dokładnie przede mną. Rozpaczliwie oczekiwałam każdej twarzy, jaka pojawiała się w moim polu widzenia.

Obok drzwi stało biurko z żaluzjowym zamknięciem, porysowane i bez połysku. W środku znajdowały się sterty papierów. Fascynowało mnie i przerażało

to biurko. Czasami siadała przy nim jakaś kobieta i wyciągała plik papierów, kartkowała je i robiła na niektórych znaczki długopisem.

Niemal zaraz potem jedno z dzieci zniknęło. Nie wiedziałam wtedy, że te papiery to były dokumenty adopcyjne, ale zdawałam sobie sprawę, że mają jakiś związek z trzymanymi tutaj dziećmi. Zastanawiałam się, czy mnie też umieszczono w tym biurku, czy pewnego dnia moje papiery zostaną zaznaczone i ja także zniknę.

Przez lata, kiedy już dawno byłam dorosła, miałam nawracające koszmary o tym biurku. Przechodziłam obok niego boso po zimnej, twardej podłodze. Słyszałam świst jakby wiatru wiejącego w tunelu i czułam, że magnetyczna siła wsysa mnie do środka. Wciągała mnie, bezsilną, pod porysowaną żaluzjową pokrywą, do przegródek, gdzie przechowywano papiery. Znajdowałam się w izbie z podłogą z ubitej ziemi, przywiązana do stołu, a wokół stali ludzie i rozżarzoną żelazem wypalali mi na ciele brzydkie słowa.

W sierocińcu patrzyłam na przechodzących ludzi i snułam w myślach nieustanne fantazje: udawałam, że mogę sięgnąć przez pręty, złapać ich i przyciągnąć do siebie, zmusić, żeby otworzyli klatkę, rozmawiali ze mną i patrzyli mi w twarz.

Siedząc w klatce, wbijałam paznokcie głęboko w skórę, próbowałam wzbogacić swój żal, zwiększając fizyczne cierpienie. A tuż pod powierzchnią tej niedoli, dysząc rytmicznie niczym potwór gotów mnie pożreć, czyhała świadomość, że Omma zginęła przeze mnie. Moja twarz i niegodna krew zabiły jedyną osobę, którą kochałam, i jedyną osobę, która kochała mnie.

Sierociniec był przepełniony, brakowało personelu, znikąd pociechy. Każdy stanowił wysepkę własnego prywatnego nieszczęścia. Każde dziecko otrzymało jeden koc, który powinien być utrzymywany w czystości i zapewniać dostateczne ciepło. Wszyscy marzli. Wszystkie koce były brudne. Materac w moim kojcu był stary – popękany plastik, który trzeszczał przy każdym moim poruszeniu. Nakryty



był bawełnianym prześcieradłem we wzór z wyblakłych kwiatów pomarańczy. W za małym kojcu nie mogłam całkowicie się wyprostować, więc albo kuliłam się w pozycji płodowej, albo siedziałam w kucki.

Cierpienia mieliśmy w nadmiarze i niczyja historia nie ustępowała innej. Pewna maleńka dziewczynka, mniej więcej dwuletnia, została znaleziona – związana – przez ludzi, którzy grzebali w śmietniku. Była straszliwie wycieńczona i bez przerwy płakała.

Jakiegoś noworodka, jeszcze z niezwiązaną pępowiną, podrzuciono na frontowym ganku. Ponieważ wszystkie kojce były zajęte, niemowlaka opatrzone z grubsza i umieszczono w mojej klatce. Kazano mi nim się opiekować. Umierałam ze strachu o niego. Owinęli go w koc, ale bałam się, że to nie wystarczy do ogrzania dziecka, więc okryłam go również swoim kocem. Potem tylko siedziałam przyciśnięta do prętów, obejmując ramionami kolana, i pilnowałam go przez całą noc. Bałam się, że zrobię mu krzywdę, jeśli zasnę albo się poruszę. Czułam wielki ciężar odpowiedzialności za to maleńkie życie.

Następnego ranka zorientowałam się, że pomimo najlepszych zamiarów jednak zasnęłam w nocy. Uniosłam koc i dotknęłam twarzy dziecka. Była sina i zimna. Rozwinęłam koc i dotykałam jego ramion, stopek, wydętego brzuszka pokrytego zaskorupiałą krwią. Wiedziałam, zanim jeszcze dorośli przyszli sprawdzić, że niemowlę nie żyje.

Płakałam i płakałam nad tym niemowlakiem. Nie wiedziałam, skąd się wziął, ale myślałam o nim jak o własnym dziecku. Był niechciany i bezimienny, zupełnie jak ja. Całkowicie bezradny, zdany na cudzą łaskę jak ja. Czułam, że jeśli uratuję mu życie, w jakiś sposób odpokutuję za to, iż nie mogłam uratować życia matki. A kiedy umarł, byłam pewna, że to przeze mnie. Może za bardzo się zgrzał, bo nakryłam go dodatkowym kocem. Może za bardzo zmarł, bo rano podniosłam koc, żeby na niego spojrzeć.

\* \* \*

Oprócz płaczu – który właściwie przez cały czas dochodził z tego czy innego kojca – w sierocińcu panowała cisza. Ludzie nie rozmawiali ze sobą j nie grała żadna muzyka.

W sierocińcu znajdowało się kilkoro dzieci w moim wieku, ale większość była młodsza; wiele niemowląt. Wszystkie miałyśmy cechy fizyczne, które nas piętnowały: kręcone lub jasne włosy, okrągłe oczy albo piwne tęczówki. Każde było *honhyol*, ale nie czerpało pociechy od innych. Chociaż przebywaliśmy tak blisko siebie, nigdy naprawdę się nie poznaliśmy. Nie bawiłam się z innymi dziećmi, nawet rzadko z nimi rozmawiałam. Wszyscy byliśmy zamknięci w naszych własnych małych, żalonych świątkach i wyczuwaliśmy pomiędzy sobą konkurencję. Nie wiedząc właściwie, po co istnieje sierociniec ani co znaczy adopcja, zdawałam sobie sprawę, że rywalizuję z innymi dziećmi o względy każdego dorosłego, który nas odwiedził. Wiedziałam, że czasami gościom tak się podoba dziecko, że je zabierają.

Od czasu do czasu pojawiali się obcy i oglądali sieroty – albo przyszli rodzice, albo pośrednicy wybierający dziecko do adopcji dla kogoś innego. Te wizyty stanowiły torturę. Wstrzymywałam oddech, pragnąc, żeby goście zatrzymali się przy mojej klatce i otwarli drzwi. Staralam się wyglądać grzecznie i potulnie. Ale ludzie przechodzili dalej, zwykle szukając młodszego dziecka. Mieliśmy odwiedzających co kilka dni. Dla bezdziejnych par, którym nie przeszkadzał azjatycki syn lub córka, Korea stanowiła wówczas kraj obfitości. Tyle było porzuconych dzieci, produktu krótkich związków pomiędzy żołnierzami w drodze do domu a kobietami w drodze do piekła.

Jedynę zdjęcie, jakie mi zrobiono w sierocińcu, ukazuje dziewczynkę o

wilgotnych włosach i ponurej twarzy, opuchniętej i krostowatej od płaczu. Moja przybrana matka powiedziała później, że wyglądałam jak utopiony szczur. Zarządzająca kazała mi się uśmiechać, bo inaczej nikt mnie nie adoptuje. Nikt nie zechce naburmuszonej małej beksy.

Pewna para małżeńska przychodziła kilkakrotnie i dzieliła uwagę pomiędzy mnie a inną, młodszą dziewczynkę. Tamta miała jakieś dwa latka, była miłutka i przylepna. W końcu któregoś dnia małżeństwo przyszło i zabrało małą dziewczynkę, a mnie zostawili. Kobieta zarządzająca sierocińcem powiedziała mi, że wybrali ją, ponieważ jest mała, a ja jestem za stara; ponieważ jest ładna, a ja jestem brzydka.

Przekonanie, że jestem za stara i za brzydka, pokutowało we mnie przez całe życie. Wierzyłam, że każdy partner natychmiast porzuciłby mnie dla innej, młodszej i bardziej atrakcyjnej. Miałam poczucie niższości wobec każdej młodszej kobiety. Nieważne, że przewyższałam ją inteligencją, dowcipem czy czymkolwiek; sam fakt, że była młodsza, dawał jej władzę, jakiej ja nie miałam, jak na ironię, kiedy przekroczyłam trzydziestkę, interesowali się mną coraz młodszy mężczyźni. Moi przyjaciele na ogół byli ode mnie młodszy o dziesięć lub dwadzieścia lat, ale nigdy się tym nie przejmowali. Chociaż ja zawsze się bałam, że po prostu okazują uprzejmość starszej pani. Nieważne, ile miałam lat, zawsze czułam się za stara.

Codziennie w sierocińcu wykonywaliśmy te same rutynowe czynności. Budzono nas wcześnie rano i zabierano nam koce, żeby je wytrzeć i wywietrzyć. Najlepsza chwila dnia dla mnie nadchodziła, kiedy rano otwierano drzwi klatki. Wyłąziłam i szłam do wspólnej łazienki, przepychając się wśród innych, żeby zająć pierwsze miejsce w kolejce do jednej z niewielu ubikacji. Potem wszyscy musieliśmy szybko opłukać twarz i ręce w miskach z zimną wodą.

Sierociniec miał jeden duży pokój, zastawiony klatkami. W porach posiłków wnoszono stoły i krzesła, które ustawiano na środku pomieszczenia. Każde z nas

zawsze siedziało na tym samym miejscu. Każde dostawało miskę ryżu, czasami z dodatkiem odrobiny jarzyn.

W sierocińcu dostawałam więcej do jedzenia niż wtedy, kiedy mieszkałam z Ommą, ale wcale mi nie smakowało. Posiłki nie stanowiły już radosnych rytuałów, kiedy matka wybierała dla mnie najlepsze kąski i obie wymieniałyśmy spojrzenia nad ryżem i *kimchi*. Nikt już nie podawał mi herbaty z uśmiechem i ukłonem. W sierocińcu miska ryżu wystarczała na kilka sekund, ponieważ wszyscy starali się zjeść jak najszybciej.

Po śniadaniu, uprzątnąwszy naczynia zostawaliśmy przy stołach i misjonarze uczyli nas kilku chrześcijańskich hymnów, jak „Jezus mnie kocha”, oraz opowiadali historie z Biblii. Pieśni i opowieści stanowiły dziwną mieszankę angielskiego i koreańskiego, jako że pracownicy sierocińca byli Amerykanami, którzy opanowali podstawy mojego języka. Ponieważ jednak chodziło tylko o przysposobienie dzieci do adopcji – a znajomość angielskiego dodawała nam wartości – uczono nas angielskich słów, chociaż wcale nie znaliśmy ich znaczenia. Więc śpiewałam: „Jeeza mie kucha, wim o dym”, nie mając zielonego pojęcia, co właściwie śpiewam.

Potem, w zależności od pogody, czasami pozwalano nam wyjść na chwilę na dwór. Nie było placu zabaw, ale mieliśmy kilka zabawek rozrzuconych po wielkim podwórzu. W te dni, kiedy wychodziliśmy na dwór, zostawałam po drugiej stronie budynku, jak najbliżej gór. Siadałam w kurzu i bawiłam się patykami, co kilka sekund podnosząc wzrok na szarobłękitne góry w oddali.

Widok gór był moją jedyną pociechą w tym miejscu. Kiedy w mojej piersi wzbierały panika i rozpacz, spoglądałam na góry i czułam, że ucisk pod mostkiem trochę słabnie. W te dni, kiedy zostawaliśmy w budynku, siadałam jak najbliżej okna – wszyscy inni też chcieli siedzieć przy oknie – ponieważ widziałam stamtąd maleńki skrawek gór.

Misjonarze nigdy nie zachęcali nas do żadnej aktywności; nie organizowano gier zespołowych ani prac ręcznych. Oprócz nauki religii dzieci zwykle zostawiano samym sobie albo zamykano w klatkach, żeby nie plątały się pod nogami.

Przez większość czasu myślałam o Ommie. Niewiele rozmawiałam z innymi dziećmi w sierocińcu, ale w myślach prowadziłam nieustanny dialog z matką. Opowiadałam sobie takie same historyjki, jakie ona opowiadała: o naszych podróżach za góry, gdzie odkrywałyśmy cudowne światy. Popołudniami dawano nam przekąskę – zwykle krakersy albo coś w tym rodzaju, co nie wymagało naczyń – potem zamykano znowu w klatkach na leżakowanie i wypuszczano na obiad: ponownie ryż i warzywa, zwykle z dodatkiem *kimchi*.

Wieczorem przed snem słuchaliśmy kolejnych biblijnych opowieści oraz modlitwy. Lubiłam opowieść o narodzeniu Jezusa, ponieważ przypominała mi historię Ommy o początkach świata.

Hwanung, syn świętego stwórcy, zstąpił z niebios i rozglądał się po swoim królestwie, kiedy usłyszał modlitwę niedźwiedzia, który pragnął zostać człowiekiem. Więc Hwanung dał niedźwiedziowi czosnek i bylicę, i niedźwiedź zamienił się w pierwszą ludzką kobietę. Potem kobieta modliła się o syna i zaszła w ciążę – bez pomocy mężczyzny – i wydała na świat Tan'guna, założyciela Korei. Ponieważ żaden nie miał ziemskiego ojca i obaj byli wszechpotężni, zastanawiałam się, czy Jezus i Tan'gun są spokrewnieni, ale misjonarze powiedzieli mi, że to niemożliwe: Jezus jest prawdziwym Synem Boga, a Tan'gun to tylko mit. Pierwszy to biblijna prawda, drugi to pogańska ignorancja.

Wszystkie dzieci z sierocińca musiały zostać chrześcijanami, dobrowolnie lub nie. Dla mnie nie stanowiło to żadnej różnicy; chętnie zrobiłabym wszystko, żeby tylko zachować spokój, żeby zasłużyć sobie na odrobinę życzliwości i pochwały. Jeśli Jezus pomoże mi wydostać się z sierocińca, uwierzę w Niego.

Z czasem zaczęłam znajdować wielką pociechę w rozmyślaniach o Jezusie.

Przede wszystkim wydawał się taki łagodny. Jego wizerunki na ścianach sierocińca były śliczne – odziany w śnieżnobiałą lśniąca szatę, trzymał na rękach jagniątko i patrzył mi prosto w oczy. Kiedy trochę podrosłam, nabrałam zwyczaju szeptania Jego imienia, kiedy budziłam się z okropnych koszmarów dręczących mnie co noc. Wyobrażałam sobie, że On bierze mnie na ręce jak jagnię z obrazka i chroni przed wszelkim złem. Powtarzałam w kółko przez całą noc, jak zakłęcie przeciwko ciemności i rozpaczy: „Jezus. Jezus. Jezus”.

\* \* \*

Moją kolejną udręką w sierocińcu – i zresztą przez całe życie – był brak jakiegokolwiek pamiątki po matce. Bratowa Ommy nie pozwoliła mi niczego zabrać z naszego domu, więc siedziałam i wspominałam z tęsknotą moich kochanych patykowych ludzi i kartonową wioskę, którą zrobiła dla mnie Omma, małego drewnianego Buddę i piękny *hanbok* Ommy, i nawet zdjęcie Amerykanina.

Rozpaczliwie marzyłam o czymś, czego dotykała, czego używała. A odkąd przywieziono mnie do sierocińca i umyto środkiem dezynfekcyjnym, nie został mi nawet jej zapach na skórze.

Mój żal nie miał granic, ale gniew kierowałam przeciwko jednej osobie: sobie samej. Wierzyłam w dwie rzeczy: Moje życie jest okropnym błędem i nie zasługuję na nic innego, tylko na cierpienie. Nienawiść do siebie samej, zrodzona ze śmierci matki i podsycana w sierocińcu, rosła we mnie z każdym rokiem.

Więc leżąc w swoim kojcu, skulona w pozycji płodowej, wypracowałam wzorzec zachowania niemal na całe życie: wbijałam sobie paznokcie w ciało. Naciskałam skórę przedramienia, szyi lub nogi tak długo, aż następowała niewielka eksplozja bólu, a razem z nią drobna ulga od udręki i poczucia winy. Znałam tylko ten jeden sposób, żeby dać upust rozpaczy kipiącej w moim sercu.

\* \* \*

W sierocińcu starałam się jak najmniej spać. Sen był wrogiem. Czekałam na ratunek w swojej klatce i wiedziałam, że jeśli zasnę w nieodpowiedniej chwili, ratunek mnie ominie.

Więc siedziałam w swoich wytartych brązowych bawełnianych spodniach i koszuli, oplatając ramionami podciągnięte kolana, i patrzyłam przez pręty klatki. Moje długie kędzierzawe włosy, które Omma tak kochała, zostały krótko ścięte przez dużą milczącą kobietę, która codziennie podawała nam jedzenie i kąpała nas w piekącym środku antyseptycznym, mający zabić wszelkie pasożyty. Siedziałam, obejmując kolana, cierpiałam i czekałam. Za każdym razem, kiedy ktoś przychodził obejrzeć dzieci, uśmiechałam się bez końca. Dręczył mnie strach, że zasnę i ktoś, kto przyszedł mnie uratować, przejdzie obok. Nie zobaczy mnie, jeśli będę miała zamknięte oczy.

Minęły miesiące, zanim nadeszła moja kolej na opuszczenie sierocińca, ale nie w taki sposób, jaki sobie wymarzyłam. Moi nowi rodzice, para misjonarzy, załatwili wszystko, nie widząc mnie na oczy. Pewnego dnia po prostu zaprowadzono mnie do gabinetu, gdzie czekał wysoki biały mężczyzna – przedstawiciel agencji adopcyjnej – i po kilku minutach wyszliśmy. Rzeczywisty dzień mojego uwolnienia okazał się rozczarowaniem. Tak długo czekałam i czekałam, wpatrywałam się w drzwi naprzeciw swojej klatki i marzyłam, że ktoś wejdzie i zabierze mnie stąd, a kiedy wreszcie to nastąpiło, w jednej chwili było po wszystkim. Czułam się odrętwiała.

Nie miałam metryki urodzenia, więc data została wybrana przez urzędniczkę w sierocińcu – miesiąc i dzień, kiedy przyjęto mnie do sierocińca. Ktoś zajrzał mi w zęby i ocenił, ile mam lat. Nie miałam żadnych osobistych rzeczy, żadnych

dokumentów rodzinnych, nawet nazwiska. Nie miałam żadnej tożsamości prócz tej, jaką dali mi nowi rodzice.

\* \* \*

W Korei była wiosna i dzikie kwiaty kwitły w oszołamiającej obfitości. Dolina była zielona i żyzna; ukochane purpurowe góry w oddali wciąż nosiły czapy topniejącego śniegu. O tej porze roku Omma i ja jak najczęściej przebywałyśmy na dworze, bawiłyśmy się w naszą wymyśloną wioskę i codziennie zbierałyśmy świeże bukiety, które stawiałyśmy przed Buddą na naszym małym ołtarzyku.

W dniu mojego wyjazdu dostałam bawełnianą sukienkę, obszytą lamówką w czerwono-białą szachownicę, i podkolanówki. To ubranie, tak jak moje brązowe spodnie i koszula pochodzące z odrzutów przysłanych nam przez amerykańskie kościoły, było niewygodne i obce. Sukienka była za duża. Nosiałam zielone gumowe buty pomalowane w małe czerwone kwiatki, a w ręku trzymałam zdjęcia moich nowych rodziców. Nauczono mnie kilku słów, także „mama” i „tata”, ale wiedziałam tylko tyle, że te słowa mają związek z obcymi ludźmi na zdjęciach.

Dyrektorka sierocińca powiedziała mi, że wyjeżdżam daleko do wspaniałego miejsca zwanego Ameryką i zamieszkam tam na zawsze z miłą rodziną. Kazała mi zawsze pamiętać, jakie miałam szczęście.

Przeżyłam całe życie z Ommą wśród poletek ryżowych, dzikich azalii i potężnych koreańskich gór ze wszystkich stron. Nigdy nie widziałam samochodu ani telewizora; kiedy zapadał zmrok, szłyśmy spać, a o pierwszym brzasku zaczynał się następny dzień pracy. Nasze posiłki składały się ze wspólnej miski ryżu i *kimchi* zakopywanej w ceramicznych garnkach. Miało upłynąć dwadzieścia lat, zanim ponownie skosztowałam *kimchi*.

Rozrywki, które Omma dla nas obmyślała, to były nasze tańce, opowieści i



długie okresy milczenia, kiedy razem patrzyliśmy na góry. Nie rozumiałam, co to jest samolot, ale teraz miałam wejść na pokład i polecieć do jakiegoś nieznanego miejsca, gdzie nikt nie mówił moim językiem, gdzie nie znano ryżu, *kimchi* ani milczenia.

Zawsze wierzyłam, że kiedy odbędę podróż przez góry do czarodziejskich krain opisywanych przez Ommę, ona będzie tam ze mną. Bez niej przyszłość niewiele mnie obchodziła.

## Rozdział 5

Podróż z Korei do Ameryki stanowiła przyjemną odmianę po sierocińcu. Towarzyszył mi mężczyzna z agencji adopcyjnej i po raz pierwszy od śmierci matki znalazłam się sam na sam z dorosłym, który zwracał na mnie uwagę i opiekował się mną.

Ktoś wreszcie mówił bezpośrednio do mnie, przełamując milczenie, w jakim żyłam dotąd, dzięki niemu już nie czułam się niewidzialna. Znał podstawy: słowa na głód, pragnienie, łazienkę. Mówiłam: *mul*, i podawał mi szklankę wody. Mówiłam: *pyonso*, i prowadził mnie do toalety.

W dniu mojej podróży do Ameryki wzięliśmy taksówkę na lotnisko i weszliśmy na pokład samolotu. Byłam tak zmęczona i oszołomiona, opuściłam sierociniec z taką ulgą, że wcale się nie przestraszyłam wielkiego metalowego ptaka ani ludzi rojących się dookoła. To wszystko wydawało się surrealistyczne, jak sen – takie obce, że nie wzbudzało strachu. Mój nowy przyjaciel często uśmiechał się do mnie i niósł mnie przez większość czasu. Trzymałam się klapy jego marynarki jak liny ratunkowej. Lecz chociaż był dobry i troskliwy, stał się łącznikiem pomiędzy jednym samotnym, bezsensownym życiem, a drugim.

Kiedy wsiedliśmy do samolotu, stewardesa próbowała posadzić mnie na fotelu obok niego, ale płakałam i czepiałam się go; mój opiekun i ona zamienili kilka słów po angielsku, po czym stewardesa się uśmiechnęła, on też, i mogłam siedzieć mu na kolanach, dopóki nie zebrałam się na odwagę, żeby się przenieść na sąsiedni fotel. Dostaliśmy małe 4?

przekąski na tackach, które mnie zafascynowały. On dał mi swój kieszonkowy zegarek i białą lnianą chusteczkę do zabawy. Odkręciłam szklaną osłonę i patrzyłam, jak maleńkie wskazówki z tykaniem wędrują po tarczy, wreszcie

zawinęłam zegarek w chusteczkę. Ten kieszonkowy zegarek w złotej kopercie zajął mnie na kilka godzin. Amerykanin przespał się trochę i ja też spałam; czytał czasopismo, a ja bawiłam się zegarkiem i tak minęło parę godzin zawieszenia pomiędzy jedną niedolą a drugą.

Nasz lot miał kilkugodzinną przerwę na Hawajach i Amerykanin zabrał mnie do małego sklepiku obok lotniska. Tam, po raz pierwszy w życiu, dostałam coś całkiem nowego, coś kupionego specjalnie dla mnie.

Kupił mi mały zestaw futerkowych zwierzątek: mamę tygrysicę i troje kociąt oraz mamę pingwina z maleństwem. Każde mieściło mi się w dłoni. Tygrysy były czarnożłote, z białymi aksamitnymi podgardlami. Połączono je razem czarną jedwabną wstążką. Pingwiny były czarnobiałe, z czerwonymi filcowymi ustami wygiętymi w kupidynowym uśmiechu. Płetwy matki i dziecka połączono czubkami, jakby trzymały się za ręce. Nigdy w życiu nie widziałam równie pięknych i zdumiewających rzeczy. Matek i dzieci nie dało się rozdzielić, chyba że siłą, czego nigdy nie zamierzałam zrobić. Włożyłam najmniejsze z tygrysiątek we wgłębienie pomiędzy łapami tygrysicy, ponieważ wiedziałam, że przytulne miejsce na piersi Ommy było najcudowniejsze na świecie.

Dzień na Hawajach był ciepły i pogodny, i poczułam coś na kształt spokoju. Ktoś inny oprócz matki dobrze mnie traktował. Nieważne, że prawie nie znał mojego języka; był miły i uśmiechnięty. Znowu poczułam się bezpiecznie. Znałam go dopiero od paru dni, ale już stał się jedyną znajomą rzeczą w coraz bardziej obcym krajobrazie. Podczas lotu z Hawajów do Los Angeles bawiłam się zwierzątkami. Przestałam się martwić, co będzie dalej z moim życiem; wystarczyło, że wyostałam się z sierocińca i już nie siedzę w klatce, tylko obok kogoś, kogo lubię. Zastanawiałam się, czy mogłabym z nim zostać, i czułam się całkiem zadowolona.

Ale potem wylądowaliśmy w Los Angeles. Wysiedliśmy z samolotu i

Amerykanin ruszył po rozległej, lśniącej posadzce lotniska, niosąc mnie w ramionach. Patrzyłam, zdumiona i nieufna, jak ludzie tłoczą się wokół mnie. Ich buty stukwały o podłogę, głosy trajkotały w bełkotliwej mowie, której nie rozumiałam. Później, kiedy poznałam biblijną opowieść o wieży Babel, przypominałam sobie lotnisko i pomyślałam, że pewnie brzmiało tak samo.

Podeszło do nas dwoje ludzi: mężczyzna i kobieta. Mówili głośno, uśmiechali się i spoglądali na mnie, a ja wczepiłam się mocniej w marynarkę mego opiekuna i przycisnęłam twarz do sztywnej białej bawełnianej koszuli.

Bałam się tej kobiety, ponieważ nosiła na ramionach dwoje martwych zwierząt. Widziałam rudego lisa z puszystą kitą udrapowanego wokół szyi kobiety, jego ładny pyszczek zwisający bez życia na jej piersiach, z ogonem drugiego lisa wetkniętym pomiędzy zęby. Najbardziej przeraziły mnie oczy obu lisów, szeroko otwarte i błyszczące. Później się dowiedziałam, że oczy były ze szkła. Kobieta nosiła pantofle na wysokich obcasach, stukających o podłogę lotniska, i miała jasnobrązowe włosy spiętrzone w lśniąca chmurę. Uśmiechała się szeroko i krzyczała do mnie niepotrzebnie, jakbym mogła zrozumieć jej język, gdyby brzmiał dostatecznie głośno.

Towarzyszący jej mężczyzna był wysoki i szczupły, nosił czarny garnitur i białą koszulę. Nie mówił wiele i po kilku minutach wepchnięto mnie bezceremonialnie w jego ramiona. Mój przyjaciel odszedł, nie oglądając się za siebie, a ja wrzeszczałam i wyrywałam się, żeby pobiec za nim. Nowy ojciec trzymał mnie mocno i usiadł na lotniskowym krześle, żeby przeczekać mój napad.

Człowiek, któremu zaczęłam ufać, oddał mnie tym ludziom bez słowa wyjaśnienia czy pociechy. Nie rozumiałam, dlaczego znowu mnie porzucono – dlaczego mój nowy przyjaciel, który wydawał się mnie lubić, przekazał mnie obcym.

W następnych latach nigdy go nie zapomniałam. Skoro już wpuściłam go do

swojego serca – choćby nawet na parę godzin – pozostał tam na zawsze. Nigdy więcej go nie spotkałam, ale kiedy dorosłam, zaczęłam śledzić jego karierę, co było całkiem pouczające. Często chciałam do niego napisać, ale przypuszczałam, że mnie nie zapamiętał, więc obawiałam się narazić go na zakłopotanie, a siebie na upokorzenie. Tak naprawdę wcale nie pragnęłam odnowić naszej dziwnej przyjaźni, ale chciałam mu powiedzieć parę rzeczy. Chciałam mu podziękować, ponieważ sprawił, że znowu poczułam, że żyję. Chciałam mu podziękować, że patrzył mi w oczy z uśmiechem – pierwsza osoba od śmierci matki, która tak się do mnie odnosiła. W jego obecności nie byłam nieosobą, ciężarem czy sierotą bez szans na adopcję; byłam istotą ludzką. Chciałam mu podziękować, że kupił mi prezent i powierzył mi swój kieszonkowy zegarek, i dobrze mnie traktował. Chciałam mu podziękować, że niósł mnie w ramionach. Chciałam mu powiedzieć, że wspomnienie kilku spędzonych z nim godzin jest dla mnie bardzo cenne i że jego skromna, rozważna życzliwość wywarła trwałą wpływ na moje życie.

Myślę, że każdy akt miłości, nawet chwilowy, ma nieograniczoną moc dobra. To przekonanie w dużym stopniu wynika z moich wspomnień o Amerykaninie.

Przez wiele lat próbowałam odgadnąć, dlaczego przekazał mnie tak nagle, ale teraz myślę, że pewnie znał tylko ten jeden sposób. I pewnie szkolono go, żeby jak najszybciej usuwał się ze sceny, kiedy przyprowadzi sierotę do nowych rodziców.

Kiedy siedziałam na lotnisku, szlochając, podeszła do mnie jakaś dziewczynka i chciała mi dać gumę do żucia. Przekroczywszy granicę rozsądku i opanowania, szorstko odepchnęłam jej dłoń, kiedy podała mi gumę. Moi nowi rodzice byli zgorszeni i skarcili mnie głośno. Już po kilku minutach mojego amerykańskiego życia poczułam pierwsze wyrzuty sumienia. Nie wiedziałam, co mówią rodzice, ale oczywiście rozumiałam, że się gniewają. Żałowałam również, że uraziłam tę dziewczynkę, ale nie potrafiłam jej przeprosić.

Tamte chwile na lotnisku ustaliły scenariusz mojego przyszłego życia z nowymi

rodzicami. W wyobraźni postrzegałam mamę jako potwora, który ozdabia się martwymi stworzeniami. Tata okazywał milczące potępienie. Ja byłam niewdzięcznicą, która nie zachowuje się jak należy.

W ciągu kilku krótkich miesięcy przeszłam od rozmów tylko z Ommą do tego hałaśliwego miejsca, pełnego ludzi mówiących językiem, którego nie mogłam zrozumieć. Byłam całkowicie oszołomiona. Moi nowi rodzice nie potrafili mi pomóc – nie nauczyli się koreańskiego, nawet „tak”

*V*, i „nie”. Nazwali mnie nowym imieniem. Skarcili mnie za płacz. Nie znalazłam niczego znajomego w tym obcym, nowym pejzażu.

Podczas jazdy samochodem z lotniska do domu rodzice siedzieli z przodu i rozmawiali ze sobą, a ja płakałam na tylnym siedzeniu, aż usnęłam. Obudziłam się dopiero po paru godzinach, kiedy wjechaliśmy na podjazd mojego nowego domu.

## Część II

*Teraz już czas umierać.  
Już czas zamknąć drzwi.  
Już czas odnaleźć w sobie siłę,  
wymówić słowa pożegnania  
i nie płakać  
nigdy więcej.*

*Teraz już czas umierać.  
Już czas uprzątnąć dom.  
Już czas wziąć kąpiel  
i pożegnać  
ziemię i piekło  
dziś w nocy.*

*Teraz już czas umierać.  
Już czas spełnić twoje życzenie,  
żeby nie było więcej łez  
ani ciemności, ani strachu,  
ani życia.*

## Rozdział 6

Zbudziłam się na pustyni. Nigdy nie wyobrażałam sobie, że takie miejsce może istnieć. Na zewnątrz rozciągał się szeroki pas martwej, piaszczystej ziemi. Nie było zarośli dzikich azalii ani poletek ryżowych. Góry – tak, ale suche i jałowe. Zamiast porośniętych sosnami stoków, wznoszących się aż pod chmury, widziałam pozbawione wdzięku skupiska skał. Nie było miłorzębów. Nie było świętych lotosów. Rosły tutaj poszarzałe krzewy manzanity i kłujące iglaste rośliny zwane *cholla*.

Dzikie stworzenia w tej okolicy przystosowały się do życia w piekle. Skorpiony przemykały przez rozpalony asfalt na podjeździe. Solfugi [Solfuga (*Mastigoproctus giganteus*) – duży, niejadowity skorpionopodobny pajęczak, występujący na południu Stanów Zjednoczonych i w Meksyku, który podrażniony wydziela silny odór octu] kryły się w ciemnych zakamarkach, kąsały boleśnie i śmierdziały octem. Wynędziałe kojoty, sama skóra i kości, schodziły ze wzgórz o zmierzchu, żeby zjeść czyjś psa albo dzikiego królika. Wężę przepelzały spod jednego krzaka do następnego i wszędzie na piasku zostawiały kręte ślady. Pająki fantastycznych rozmiarów tkwały olbrzymie sieci w drewnianych okapach nad kuchennymi drzwiami. W szparach pomiędzy sztachetami kryły się brązowe pająki pustelniki, których jad zawierał truciznę wyzerającą całe warstwy tkanki miękkiej.

Panował żar jak w ogromnym piecu, z przelotnymi podmuchami jeszcze gorętszego wiatru, który wzbijał kurz, tworzył miniaturowe trąby powietrzne i siekł piaskiem w oczy. Nie było trawy. Ani odrobina prawdziwej zieleni nie rosła na tej ziemi jałowej.

Przed domem znajdowały się szerokie białe stopnie prowadzące do frontowych drzwi. Tato doniósł mnie do drzwi i postawił, a ja spojrzałam ze zdumieniem na



własne stopy, które tkwiły w czymś miękkim i włochatym – później dowiedziałam się, że to się nazywa „dywan” – po czym bałam się stąpać. Przed sobą zobaczyłam ogromne czarne pudło na trzech cienkich nóżkach. Nie miałam pojęcia, że to jest fortepian i że w następnych latach spędzę przy nim sporą część życia. Z boku stała czerwona aksamitna sofa, a drzwi w głębi wychodziły na gołe, pełne wędrownych chwastów tylne podwórze.

Ten skromny dom przytłoczył mnie rozległymi połaciami kosmatego beżowego dywanu i wielkimi, dostojnymi meblami. Po drugiej stronie korytarza, na wprost salonu, znajdowały się trzy sypialnie i łazienka wyłożona różowymi kafelkami. Nowi rodzice zaprowadzili mnie do mojego pokoju, żeby mi pokazać łóżko i nowe zabawki. Orzechowe łóżko z czterema kolumnkami nakrywała żółta kordonkowa narzuta z wielką stokrotką na środku. Dostałam wypchanego tygrysa, czarnego kota i różową lalkę z plastikową buzią. Później powiedzieli mi, że nie okazywałam żadnej wdzięczności ani entuzjazmu i że rozczarował ich mój brak manier.

Nigdy przedtem nie spałam w łóżku i nie bardzo wiedziałam, co robić z tym potężnym meblem. Nie zdawałam sobie sprawy, że pokój i zabawki przeznaczono dla mnie.

Strach narastał we mnie z każdą chwilą. W Korei doświadczyłam wyobcowania, żalu, straty i samotności – ale ten strach był nowy. Nie wiedziałam, co mnie czeka za chwilę, i nikt nie mógł mi niczego wytłumaczyć. Wszystko, co widziałam, słyszałam albo smakowałam, było całkowicie nieznane.

Rozglądałam się i nie mówiłam nic. Na lotnisku przekonałam się, że tych dwoje ludzi mnie nie rozumie i ja ich nie rozumiem, więc próby porozumienia nie miały sensu.

Po szybkim obchodzie domu moja nowa matka natychmiast zaczęła urabiać mnie na swój obraz idealnego dziecka. Zdjęła mi zielone gumowe buty i wypłóviała bawełnianą sukienkę i ubrała mnie w bładoniebieską sukienkę z

dwoma rzędami falbanek i drapiącą halką. Wyrwała mi z rąk torbę Koreańskich Linii Lotniczych, zawierającą mój skromny komplet zwierzątek. Później, kiedy nauczyłam się trochę angielskiego, wyjaśniła mi, że zwierzątka były niehigieniczne i musiała je wyrzucić. Ale wtedy byłam zbyt wyczerpana, żeby dalej płakać. Z rezygnacją przyjąłam do wiadomości, że muszę nieuchronnie utracić każdą drogą mi rzecz.

Wpełzłam pod fortepian, zabrawszy ze sobą jedno z nieskazitelnie nowych wypchanych zwierzątek z nieskazitelnie nowej sypialni, i przywarłam do ściany. Pomimo kielkującej klaustrofobii to miejsce wydawało mi się najbezpieczniejsze w całym domu, wielkim i oszołamiającym po jednoizbowej chatce Ommy i zamkniętym kojcu w sierocińcu.

W porze obiadowej wyciągnięto mnie spod fortepianu i zaprowadzono do jadalni, gdzie podano pieczone kurczęta i tłuczone ziemniaki. Wiedziałam, że to jest jedzenie, ale obcy wygląd i zapach przyprawiał mnie o mdłości. Rodzice złościli się i próbowali wepchnąć mi porcje jedzenia do ust, które trzymałam uparcie zamknięte. Chciałam ryżu. Chciałam herbaty. Chciałam, żeby się zamknęli i przestali zasypywać mnie niezrozumiałymi słowami.

Myślę, że oni także byli już porządnie zmęczeni, więc wszyscy poszliśmy spać. Niewiele więcej pamiętam z tej nocy, tylko że budziłam się kilka razy, stawałam na łóżku i zaglądałam za wezłowie, które dzieliła od ściany dwucalowa szpara. Bałam się, że w nocy coś wylezie z tej szpary.

Drugiego dnia w Ameryce podjęłam decyzję: postanowiłam zrozumieć tych ludzi i ich dziwaczne zachowanie. Do tej pory skojarzyłam ich z fotografiami otrzymanymi w sierocińcu i założyłam, że zostanę z nimi, dopóki im się nie znudzę albo tak ich nie rozzłoszczę, że odeślą mnie do sierocińca. Leżałam w łóżku i rozmyślałam, patrząc na swoją nową sypialnię. Nie przypuszczałam, że ten nowy związek będzie trwały, nie bardziej niż poprzednie. Sądziłam, że tylko od mojego

zachowania i wyglądu będzie zależało, czy mnie wyrzucą, czy zatrzymają.

Pokazano mi najpierw w Korei, a teraz w Ameryce, że jestem niezdolna. Pomyślałam jednak, że jeśli bardzo się postaram, może zdołam na tyle zmienić swój wygląd i zachowanie, żeby zadowolić ludzi z mojego otoczenia.

Na śniadanie drugiego dnia próbowałam zjeść jajko i bekon, które mi podano na talerzu. Wiedziałam, co to jajka, ale nigdy jeszcze nie widziałam bekonu. Jajko było śliskie i galaretowate, i zakrztusiłam się pierwszym kęsem. Nigdy nie miałam w ustach czegoś równie słonego jak bekon, jeszcze bardziej słony niż *kimchi*. Moi nowi rodzice mieli zdecydowane poglądy na rodzaj jedzenia przynależny do danego posiłku, więc dopóki z nimi mieszkałam, co rano jadłam na śniadanie smażone jajka na bekonie. Nigdy ich nie polubiłam. Próbowałam naśladować sposób, w jaki moi rodzice trzymali widelce, których używałam kilka razy w sierocińcu. Najlepszą część śniadania stanowił sok pomarańczowy, nalewany z wielkiego plastikowego dzbanka do małej rżniętej szklaneczki. Był taki świeży, czysty i słodki. Wypiłam go kilkoma haustami i spojrzałam tęsknie na dzbanek, żałując, że nie dostałam więcej. Nawet gdybym znała angielski, nie poprosiłabym o dolewkę. Dowiedziałam się później, że należy zjadać i wypijać to, co się dostało. Nikt nigdy przy tym stole nie dostał więcej soku pomarańczowego.

Utraciłam to, co wiedziałam, moje życie stało się kompletnie obce. *Mul* zmieniło się w wodę. *Pyonso* zmieniło się w łazienkę. Ja zmieniłam się w Elizabeth, dziewczynkę, którą jeszcze nie umiałam być. Ommy nic nie zastąpiło. Została tylko pustka w miejscu, gdzie przedtem brzmiało to słowo.

Mój trening – żeby zmienić się w Elizabeth, jakiej pragnęli – rozpoczął się natychmiast i trwał nieprzerwanie. Kontrolowano każdą chwilę; analizowano każdy gest, myśl i słowo w świetle kryteriów moich rodziców oraz reguł podyktowanych przez Biblię, i zwykle nie spełniałam oczekiwań.

Zetknęłam się już przelotnie z chrześcijaństwem podczas pobytu w sierocińcu,

ale widziałam tylko wierzchołek góry lodowej. Znałam dziękczynienia przed posiłkiem, lecz niekończące się modlitwy taty były dla mnie nowością. Modlitwy przed posiłkami w moim nowym domu składały się ze szczegółowej listy wszystkich potraw na stole, katalogu grzechów z całego dnia z wyrazami skruchy włącznie, prośby o zdrowie i dobrobyt dla wszystkich chorych oraz lamentu nad polityczną i moralną rozwiązłością naszych czasów.

Po trochu zaczęłam rozumieć moich rodziców. Mniej niezręcznie czułam się w towarzystwie nowego taty, który nie gadał bez przerwy i nie gapił się na mnie. Po śniadaniu tego drugiego dnia wzięłam go za rękę i prowadziłam po całym domu, wskazując różne przedmioty. Bardzo szybko zrozumiał, czego chcę, i dwukrotnie wymawiał nazwę każdej rzeczy, aż powtórzyłam ją, kiwnęłam głową i przeszłam dalej. Miło trzymał mnie za rękę – uścisk nie za mocny, ale bezpieczny – i zaczęłam go lubić. Wskazywałam na siebie i na niego, na niebo, trawę i obrazki różnych rzeczy w książkach – na wszystko, co tylko mi przyszło do głowy. Proces nazywania zajął większość dnia.

Po południu zdrzemnęłam się pod fortepianem, w moim już ulubionym miejscu. Stąd widziałam nadchodzące i odchodzące stopy rodziców, i czułam się odrobinę bezpieczniej, mając ścianę za plecami. Słuchałam uważnie, co mówią rodzice, i próbowałam szeptem powtarzać słowa oraz modulację. Wydawali się zadowoleni – mama klasnęła w ręce, kiedy pokazałam na nią i powiedziałam: „matka”. Ten drobny objaw aprobaty dodał mi otuchy i pomyślałam, że może jednak ich zadowolę.

Kiedy obudziłam się z drzemki pod fortepianem, miałam mdłości i zawroty głowy. Wyczołgałam się stamtąd, doczłapałam do czerwonej aksamitnej sofy i zwymiotowałam robaki na wszystkie poduszki. Nie byłam jeszcze u lekarza i nosiłam w ciele pasożyty – prawdopodobnie na skutek niehigienicznych warunków w sierocińcu. Nie wiem, dlaczego wybrałam akurat sofę – chyba nie wystarczyło

mi czasu na podjęcie świadomej decyzji. Mama wrzasnęła, a tata chwycił mnie za ramię i odciągnął od sofy. Wiedziałam, że zrobiłam coś okropnego, więc czułam wstyd i strach. Krzyczeli na mnie przez kilka minut, a ja stałam pośrodku salonu, rozpaczliwie chora, trzęsąc się i płacząc. Z lekcji języka z tatą rozpoznałam parę słów: „sofa” i „zwierzę”.

Rodzice posprząтали; ja stałam nadal w tym samym miejscu. Nie wiedziałam, co robić. W końcu tata chwycił mnie za ramię i wepchnął do łazienki, gdzie mama napełniała wannę gorącą wodą. Poprzedniego wieczoru poszłam do łóżka zaraz po obiedzie, więc teraz po raz pierwszy zetknęłam się z wanną. W Korei podgrzewaliśmy z Ommą wodę i wlewałyśmy do małego drewnianego cebrzyka, żeby się wykąpać. Chociaż w sierocińcu była duża łazienka ze splukiwanymi toaletami, obmywano nas tylko co jakiś czas gąbką ze środkiem dezynfekującym.

W łazience zobaczyłam ogromny biały kocioł, dostatecznie duży, żeby mnie połknął, z gorącą wodą tryskającą z małych srebrnych ust. Spojrzałam na tatę i powiedziałam: *anyo, anyo, anyo* (nie, nie, nie), kilka razy. Mama ściągnęła mi sukienkę i wpakowali mnie do wanny. Próbowałam ustać na nogach, ale kilka razy upadłam i zanurzyłam się z głową w gorącej wodzie. Myślałam, że walczę o życie. W trakcie szamotaniny zachlapaliśmy całą łazienkę i ubrania rodziców; w pewnym momencie tata uderzył mnie w twarz. Woda była strasznie gorąca i głęboka, i myślałam, że to kara za robaki.

Po kilku minutach tata wyciągnął mnie z wanny i popchnął do mamy, która mnie wytarła. Stałam naga i drżąca w łazience, a oni besztali mnie i wycierali ręcznikami ściany i podłogę. Potem mama nałożyła mi koszulę nocną i powiedziała: „spać”.

\* \* \*

Przez lata po incydencie z robakami przepraszałam za każdym razem, kiedy mama o tym wspomniała. W kółko powtarzała, że byłam „całkiem jak zwierzę”, kiedy mnie dostali, czego dowodziło zwymiotowanie robaków na jej piękną aksamitną sofę. Czułam się winna i zawstydzona z tego powodu i chociaż mama nigdy nie robiła mi wymówek, że miałam robaki, twierdziła jednak, że człowiek musi zrobić coś obrzydliwego, na przykład usiąść na gołej ziemi bez bielizny, żeby się nimi zarazić. Ale najczęściej powtarzała, że nie rozumie, dlaczego w domu mającym ładną łazienkę musiałam zwymiotować akurat na sofę.

Mama dostała obsesji na punkcie tego wypadku. Opowiadała o nim wszystkim znajomym; wykorzystywała go jako anegdotę, kiedy spotykała kogoś po raz pierwszy.

– Miło mi panią poznać. To jest moja córka, Elizabeth. Adoptowana, pani rozumie. Och, na początku przeżyliśmy z nią ciężkie chwile. Była zupełnie jak zwierzę. Parę dni po przyjeździe do nas poszła i zwymiotowała robaki prosto na moją śliczną czerwoną aksamitną sofę. Wyobraża pani sobie? No, oczywiście sofa nigdy już nie była taka sama. Po prostu nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Robaki wiły się dosłownie wszędzie. A łazienka była tylko parę kroków dalej w korytarzu. Dlaczego dziecko wołało zwymiotować robaki na sofę, to przerasta moje pojęcie. Słyszała pani kiedyś o takim wypadku?

Osoba, z którą mama rozmawiała, słuchała uprzejmie, nieco zmieszana i zażenowana. Co kilka minut zerkła na mnie, stojącą cicho obok mamy. Zawsze myślałam, że ci ludzie patrzą na mnie z niesmakiem i że to ja wywołałam wstręt widoczny na ich twarzach. Teraz jednak, kiedy cofam się w przeszłość, myślę, że większość słuchaczy czuła niesmak wobec mamy. Myślę, że spoglądali na mnie ze współczuciem i jeśli ta opowieść budziła w nich zgrozę, to dlatego, że mama ją powtarzała. Pamiętam, że każdy starał się jak najszybciej zmienić temat.

Mama zawsze sugerowała, że rodzona matka i moja koreańska kultura były

kompletnie barbarzyńskie i dlatego zaraziłam się pasożytami. Ale moja matka, moja Omma, nigdy do tego nie dopuściła. To nie brak zachodniej kultury spowodował moją chorobę, tylko amerykański sierociniec i panujący tam brud. To biali chrześcijańscy misjonarze, którzy mieli mnie uratować, ponosili winę za moją chorobę. To ich złe traktowanie odcierpiałam.

Ten wypadek – i nieustanne opowiadanie mamy o nim – najbardziej umocnił we mnie poczucie wstrętu wobec siebie samej. Wierzyłam, że wszystko w moim wnętrzu, duchowe czy fizyczne, jest odrażające. Ostatnio córka powiedziała mi, jak często mama – a jej babcia – opowiadała tę historię, gdy była dorastającą dziewczynką. Za każdym razem, mówiła Leigh, obserwowała mnie uważnie. „Zmieniałaś się na twarzy”, mówiła. „Wyglądałaś na straszliwie zasmuconą. Potem stawałaś się bardzo odległa i milcząca”.

\* \* \*

W domu, gdzie mieszkaliśmy, ściany były pokryte obrazami. W salonie wisiały reprodukcje znanych religijnych malowideł: Jezus pukający do bramy ogrodu; „Rozmodlone dłonie” Durera i stary mężczyzna pochylający głowę w modlitwie przed zjedzeniem nędznego kawałka chleba. Po wyjściu z salonu, kiedy szło się korytarzem, obrazy stawały się bardziej złowieszcze: Jezus stojący przed Piłatem, zanim Go ukrzyżowano; Jego droga na Golgotę z krzyżem na plecach. Tuż przy drzwiach mojej sypialni wisiał obraz przedstawiający Chrystusa z oczami wyróconymi w męce, kiedy cierniowa korona wbija się w czoło. Te oczy śledziły każdą przechodzącą osobę.

Na ścianie nad moim łóżkiem wisiał tryptyk Hieronima Boscha, artysty, który żył u schyłku średniowiecza. Obraz przedstawiał Sąd Ostateczny. Na lewym skrzydle znajdował się raj, gdzie kilku ludzi spacerowało po zielonej dolinie.

Nawet jednak w raju na drugim planie znalazł się anioł, wygrażający mieczem komuś, kto widocznie tutaj nie przynależał. Panel środkowy pokazywał sam sąd, z Chrystusem na tronie, otoczonym przez świętych i anioły. Na ziemi tłoczyły się wszelkiego rodzaju potwory: półczłowiek, półkaczka niósł kogoś przytroczonego do drąga, przeszytego przez pierś długim mieczem. Ludzka głowa pływała w beczce, a zielony smok gotował się ją pożreć. Tłusty mężczyzna siedział za stołem, a czerwone demony wlewały mu coś do gardła z dużej baryłki. Ciało zniknęło w nabijanych kolcami szatkownicach. Odcięte głowy jeździły na kółkach. Na prawym skrzydle tryptyku pokazano piekło. Jęzory płomieni buchały z kraterów w ziemi. Kosmate potwory obmacywały nagie kobiety; bezbożnikom wbijano sztylety w genitalia. Ptakopodobne stwory rozdziobywały ciała potępieńców.

Bosch i moi rodzice mieli wiele wspólnego. Jako moralisci wierzyli, że człowiek jest zły z natury i pozostawiony samemu sobie, niechybnie skończy w piekle.

W domu panował półmrok, ponieważ mama nie chciała, żeby słońce zniszczyło masywne, stare mahoniowe meble. Podwójne zasłony trzymano szczelnie zaciągnięte dniem i nocą. Dom był zagrożony do granic możliwości – religijne obrazy i książki, porcelanowe ozdóbki, dreźdeńskie pasterki i setki innych małych, kruchych przedmiotów, które należało traktować delikatnie i co tydzień odkurzać.

Fortepian był nakryty udrapowanym jedwabnym szalem z frędzlami. Na fortepianie, podobnie jak prawie na każdej płaskiej powierzchni, stał bukiet plastikowych róż. Po całym domu porozstawiano kryształowe salaterki na słodczyce, ale do żadnej nie włożono ani jednego cukierka. Dom był pedantycznie sterylny i bałam się czegokolwiek dotknąć.

\* \* \*



W trzecim dniu tata rozpoczął ze mną lekcje gry na fortepianie. Do tej pory rozumiałam już ich język całkiem dobrze i wiedziałam, co to jest fortepian, ponieważ tata grał na nim codziennie. Tamtego wieczoru wrócił do domu z książką dla mnie, którą nazwałam „książką fortepianu”. Były tam kawałki w rodzaju „Kotki na klawiszach” i „Dzielny Indianin”. Żywiłam ambiwalentne uczucia wobec tego instrumentu, ale chciałam sprawić przyjemność tacie. Na pierwszej lekcji uczył mnie gamy w tonacji c. Patrzyłam, jak wtyka kciuk pod trzeci palec, grając gamę, i próbowałam go naśladować, ale miałam dwa razy mniejsze dłonie i niezręczne palce. Tata, który szkolił się na zawodowego pianistę, nie miał do mnie cierpliwości i każda lekcja stawała się męczarnią. Co rano uczył mnie przez godzinę, zanim wyszedł do pracy, i prawie po każdej lekcji wypadał z pokoju, wściekły na moją niezdarność.

– Dlaczego nie potrafisz zagrać zwykłej gamy? Tyle razy ci pokazywałem.

Mówiłam mu, że nie sięgam palcami.

– To śmieszne. Wystarczy, że rozłożysz dłonie. Wcale się nie starasz. Dlaczego jesteś taka niedobra?

Z trudem rozumiałam muzykę klasyczną. Fascynował mnie fortepian i klawisze barwy kości słoniowej, ale muzyka Zachodu wprawiała mnie w zmieszanie. Uszy miałam nastrojone na pięcionutową gamę Ommy, a ta nowa gama mnie onieśmielała. Bałam się przyznać, jak niewiele rozumiem, więc sporo oszukiwałam, podglądając tatę i naśladowując to, co robił przy instrumencie. Co jakiś czas powtarzałam mu, że nie rozumiem muzycznej teorii, której próbował mnie nauczyć.

– Oczywiście, że rozumiesz. Nie starasz się. Jesteś po prostu niedobra.

Powiedziano mi, że muzyka jest na chwałę Boga. Więc jeśli źle grałam, zawiodłam nie tylko tatę, ale również Boga.

Wykazywałam smykałkę do muzyki, która pozwalała mi czasami uniknąć gniewu taty, kiedy opanowałam to, czego mnie uczył, chociaż niczego nie rozumiałam. Mogłam naśladować, nie rozumiejąc, muzykę, język i życie, które nie było moim życiem. Jeśli zagubiłam gdzieś siebie taką, jaką znałam przedtem, nie uświadamiałam sobie poczucia straty. Nie chciałam pozostać dawną koreańską sobą. Chciałam tylko się dopasować, znaleźć akceptację w tym nowym świecie.

\* \* \*

Pewnego wieczoru podczas mojego pierwszego tygodnia w Ameryce jakaś pani przyszła do domu moich rodziców i przyniosła pudełko z dwoma kociakami w środku. Powiedziała, że kotki są dla mnie, bo na pewno czuję się samotna, i chciała mnie rozweselić. Należała do kościoła moich rodziców, pulchna, pogodna kobieta, zawsze roześmiana. Mama i tata podziękowali jej z uśmiechem, a ja usiadłam na podłodze przed pudłem. Kociaki były białoszare, raczej poważne, całkiem jak ja. Wzięłam je na kolana, gdzie węszyły, mruczały i trochę pomiaukiwały. Oczarowały mnie. Głaskałam je, tuliłam i szeptałam do nich.

– Musisz obchodzić się z nimi bardzo delikatnie – ostrzegła mnie kobieta. – To jeszcze maleństwa.

Kiwnęłam głową. Wiedziałam, co znaczy delikatność. Wiedziałam, że nie zrobię im krzywdy. Kobieta roześmiała się i powiedziała, że powinno się zrobić mi zdjęcie z nowymi ulubieńcami, więc wszyscy wyszliśmy przed dom. Zgarnęłam kociaki do podołka bawełnianej sukienki i pospieszyłam za dorosłymi na patio. Tata przyniósł aparat fotograficzny, a ja przykucnęłam na ziemi i obejmowałam dłońmi kociaki, które opierały łapki na moich nogach.

Były takie mięciutkie i śliczne, więc zostałam z nimi na tylnym podwórzu, dopóki obca pani nie wyszła. Podeszła do mnie, pogłaskała kotki, potem uścisnęła

mnie serdecznie i życzyła wiele radości. Jak tylko wyszła, wszystko się zmieniło. Mama powiedziała mi, że koty są niehigieniczne i wymagają mnóstwa pracy. Oświadczyła, że nie wie, czy jestem dostatecznie odpowiedzialna, żeby się nimi opiekować. Potem spojrzała na moją dłoń. Kociaki podrapały mnie podczas zabawy, więc mama zabrała mnie do domu, gdzie zajadynowała zadrapania i wygłosiła przemowę o chorobach przenoszonych przez koty. Przedtem w ogóle nie zauważyłam tych zadrapań, ale jodyna piekła dostatecznie mocno, żeby wywołać łyzy. Zapytałam, czy mogę wrócić na podwórze do kociaków, ale mama powiedziała, że bawiłam się z nimi dostatecznie długo jak na jeden dzień i już najwyższa pora spać. Zaczęli z tatą rozmawiać zniżonymi głosami.

Rano pobiegłam zobaczyć kociaki, ale znikły razem z pudełkiem. Zapytałam rodziców, którzy wyjaśnili, że je odesłali.

– Podrapały ci rękę. Może będziemy musieli zabrać cię do lekarza. Żadnych kotów w domu.

Jeszcze raz udzielono mi wyraźnej lekcji: Wszystko, co pokocham, zostanie mi odebrane bez mojej wiedzy i zgody, tak jak Omma, tak jak mój komplet zwierzątek. Nie będzie przedtem ostrzeżenia, nie będzie potem pociechy.

W moim nowym domu płacz czy strach były nie tylko czymś wstydlwym – były absolutnie grzeszne. Takie emocje pochodzą od diabła, powiedzieli mi rodzice, ponieważ pokazują brak wiary w Boga. Widocznie każde uczucie poza Radością Pana graniczyło wręcz z bluźnierstwem. Kiedy karano mnie za coś złego – „brzydkie” spojrzenie na mamę, mówienie „opryskliwym tonem”, niedokładne wypełnianie obowiązków – przede wszystkim starałam się powstrzymać łyzy. Czasami nie bardzo mi się udawało i usta zaczynały mi drżeć. „Nie rób do mnie takiej miny!”, mówili rodzice i na moje drżące usta spadał klaps.

Po jakimś czasie zrobiło się łatwiej. Nauczyłam się przełykać strach, gniew i łyzy, aż utworzyły twardą kulę u podstawy gardła. Wkrótce płacz stał się

niemożliwy. Po prostu nie mogłam płakać. Przy tych nielicznych okazjach na przestrzeni lat, kiedy uroniłam parę łez, poczułam wręcz przerażający fizyczny ból.

Moi rodzice zawsze wymyślali sposoby, żeby pomóc mi przezwyciężyć strach i nauczyć mnie ufać Bogu. Na przykład ułożyli dla mnie małe ćwiczenie, żeby pokonać mój nieopanowany lęk przed ciemnością. Na końcu długiego korytarza znajdował się mój pokój. Na podłodze położyli mojego wypchanego tygrysa. W korytarzu było ciemno; rodzice i ja siedzieliśmy w salonie. „Przejdź przez korytarz i przynieś tygrysa – nakazywali – i skończ z tymi bzdurami”. Chciałam tygrysa, ale bałam się ciemnego korytarza i stworów, które mogą czyhać w ciemnym pokoju. Rodzice nie zgodzili się zapalić światła ani pójść ze mną, ponieważ, jak mi powiedzieli, próbują nauczyć mnie czegoś dla mojego własnego dobra. Wreszcie, po długich płaczliwych błaganiach, jakoś zdobywałam się na odwagę, żeby przejść korytarzem, ponieważ nie mogłam znieść myśli o tygrysie samotnym w ciemnościach.

Dom, w którym mieszkaliśmy, wydawał mi się złośliwy. Z niewiadomych powodów wyłącznik światła w ciemnej klatce schodowej znajdował się u stóp schodów do sutereny, a wieczorami mama często wysyłała mnie na dół, po mydło albo papier toaletowy, albo żebym sprawdziła, czy wszystko jest pozamykane. Nienawidziłam schodzenia w ciemność, ale powrót był jeszcze gorszy. Stałam u stóp schodów z ręką na przełączniku i tak koordynowałam ruchy, żeby popędzić na górę w chwili, kiedy zgaśnie światło.

– Zwolnij i wejdź po schodach jak należy – nakazywała mama. – Zachowujesz się jak dzikuska. Zejdź na dół jeszcze raz i wejdź jak dama.

Więc schodziłam po schodach odmierzonymi krokami, z twarzą bez wyrazu. Zatrzymywałam się na dole, zapalałam światło, gasiłam i wchodziłam z powrotem.

– Za szybko. I cała się trzęsiesz. Taki strach to wielki grzech. Co sobie pomyśli nasz Pan? Zejdź jeszcze raz i zrób to od początku. I tym razem uśmiechaj się,

wchodząc po schodach. Pamiętaj, że cokolwiek robimy, każdą najmniejszą rzecz, nawet przyniesienie mydła z sutereny, musimy robić na chwałę bożą.

\* \* \*

Pewnego popołudnia, wkrótce po moim przyjeździe do Ameryki, wyszłam ze swojego nowego domu i zawędrowałam na drugą stronę ulicy. Chciałam lepiej się przyjrzeć wynędzniałym dzikim kwiatom i chwastom, rosnącym tam na pustej parceli. Zerwałam kilka na bukiet dla mamy. Mama ucięła sobie drzemkę, tata był w pracy, a ja czułam się samotna i znudzona. Więc po prostu otworzyłam drzwi i wyszłam. Myślałam, że dzięki temu mama bardziej mnie polubi; przecież Omma uwielbiała bukiety, które dla niej zbierałam na polach wokół naszego domu, i stawiała je obok samego Buddy na naszym ołtarzyku.

Wyszłam tylko na kilka minut, przynajmniej według moich obliczeń. Ale kiedy weszłam frontowymi drzwiami, mama rozmawiała przez telefon z tatą i usłyszałam, jak powiedziała: „No, wreszcie wróciła”. Potem odłożyła słuchawkę i stanęła z rękoma na biodrach.

Cisza panowała we frontowym holu, gdzie stałyśmy, tylko zegar dziadka tykał. Mama miała na sobie białą suknię w czerwone maki, plecy proste, włosy gładko uczesane. Ja byłam zgrzana i brudna, kurz pokrywał moje czarne skórkowe buciki i wykończone koronką skarpetki. Patrzyła na mnie przez chwilę, kiedy stałam tuż za drzwiami; jaskrawe słońce paliło mi plecy, a więdnący bukiet zaczynał drżeć w mojej dłoni.

– A ty dokąd się wybrałaś, młoda damo? Twój ojciec musiał przez ciebie wcześniej wyjść z pracy. Kiedy wróci do domu, sam ci powie, jaka jesteś niegrzeczna.

Nie podałam jej kwiatów, bo wyrwała mi je z ręki i wyrzuciła za drzwi.

– Nie przynos do domu chwastów. Mam alergię na zielsko. Chcesz mnie wpędzić w chorobę?

Kiedy tata wrócił do domu, usiedliśmy wszyscy w salonie i rodzice wyrecytowali katalog moich grzechów: kradzież roślin z cudzego terenu, wyjście z domu bez pozwolenia, zdenerwowanie mamy.

– Dlaczego jesteś taka niegrzeczna? Co mamy z tobą zrobić?

Dostałam porządne lanie – pierwsze w życiu. Tata trzymał moją głowę w mocnym uchwycie pod pachą i bił mnie po tyłku i nogach drewnianą linijką. Gorszy od fizycznego bólu był strach przed tą nową, nieznaną karą. Nie wiedziałam, że lanie zwykle kończy się po kilkunastu uderzeniach; nie wiedziałam, co będzie dalej.

Niemniej doszłam do wniosku, że zasłużyłam sobie na najgorsze. Wiedziałam, że jestem niegrzeczna; wierzyłam dorosłym. Moje życie w Korei nauczyło mnie skrajnej pokory. A ponieważ jeszcze nie rozumiałam, co jest niegrzeczne, a co nie jest, umierałam ze strachu.

Tej nocy, kiedy położono mnie do łóżka, wymknęłam się ze swojego pokoju, przeszłam korytarzem i usiadłam pod drzwiami sypialni rodziców. Nadal bałam się ciemności, czułam się samotna i przerażona. Zastanawiałam się, czy odeślą mnie z powrotem do sierocińca. Wiedziałam, że nie powinnam ich wołać w nocy, ale pomyślałam, że posiedzę bardzo cichutko i tylko posłucham ich głosów. Chciałam poczuć, że na świecie jest ze mną ktoś jeszcze. Usłyszałam, jak tata mówi:

– Myślę, że adoptowanie jej było wielkim błędem.

Wróciłam na palcach do łóżka i wpatrywałam się w sufit, wbijając sobie paznokcie w skórę.

Wbijanie paznokci stanowiło jedyny znany mi sposób na poskromienie targającej mną udręki. Stosowałam go przez wiele lat. Fizyczny ból i gorący strumyczek krwi nigdy nie sprawiały mi ulgi, ale przynajmniej pozwalały zająć

czymś myśli. Przynosiły również poczucie odpokutowania za nieznośny ciężar hańby i winy. Samookaleczenie w jakiś sposób zaspokajało moje pragnienie sprawiedliwości.

Kiedy podrosłam, tak często wbijałam sobie paznokcie w szyję, że wokół gardła miałam obwódkę z czerwonych strupów. Kaleczyłam paznokciami delikatną skórę wokół oczu. Często budziłam się w nocy i odkrywałam, że leżę skulona na łóżku w pozycji płodowej, łzy płyną mi z zamkniętych oczu, a paznokcie zagłębiają się w jakieś wrażliwe miejsce. Budziłam się i odkrywałam, że wbijam sobie paznokcie w pochwę. Czasami po tych przebudzeniach szeptałam: Teraz już czas umierać. Teraz już czas umierać. Prawie co rano znajdowałam plamy krwi na prześcieradłach i zaschniętą krew na skórze.

Rodzice chyba nigdy nic nie zauważyli; a jeśli tak, za bardzo się krępowali, żeby o tym wspomnieć. Zresztą kilka miesięcy po przyjeździe zaczęłam zajmować się praniem, więc tylko ja miałam do czynienia z zakrwawionymi prześcieradłami.

Spoglądając wstecz nie mogę się nadziwić, jak gorliwie starałam się przystosować i zasłużyć na pochwałę. Nauczyłam się dość płynnie mówić po angielsku w niecały tydzień; grać na fortepianie w niecały miesiąc; i niemal z dnia na dzień nauczyłam się zachowywać jak grzeczna chrześcijańska córeczka, której sobie życzyli. Gotowa byłam na wszystko, byle tylko zdobyć ich aprobatę. Rozpaczliwie pragnęłam zasłużyć na ich miłość.

## Rozdział 7

Po kilku dniach w Ameryce nauczyłam się uśmiechać. Uśmiechałam się tak często, że to bolało. A jeśli zapomniałam, mama rozglądała się obojętnie po pokoju i mówiła: „Hmm. Słyszę jakiś głos, ale nikogo nie widzę. Gdyby jakaś mała dziewczynka się uśmiechnęła, pewnie bym ją zobaczyła”. Więc rozciągałam wargi szeroko i szczyrzyłam zęby jak wariatka, a wtedy ona przyjmowała do wiadomości moją obecność.

Owa mała gierka stanowiła symbol mojego życia w tym domu: jeśli nie wyglądałam i nie postępowałam tak, jak życzyli sobie rodzice, nie istniałam. Jeśli się nie uśmiechałam, mama mówiła, że „Wielki Wódz Chmura Gradowa” zakradł się do pokoju i powinien natychmiast wyjść. A mój uśmiech musiał być dostatecznie szeroki i słoneczny, żeby mama powiedziała: „O, jaka miła dziewczynka. Chyba pozwolimy jej zostać”.

Byłam niewidzialna, jeśli nie robiłam dokładnie tego, czego wymagali. Zaczęłam wierzyć, że jeśli nie stanę się idealnym dzieckiem, po prostu zniknę.

Rozpaczliwie chciałam się dopasować, upodobnić się do ludzi z mojego otoczenia. Kiedy tata stał przed lustrem i poprawiał krawat albo nakładał kapelusz przed wyjściem do pracy, stawałam obok niego i porównywałam nasze twarze. „Wyglądam zupełnie jak ty”, mówiłam, patrząc na odbicie swojej skóry barwy ochry, ciemnych kręconych włosów i migdałowych oczu obok jego stuprocentowo amerykańskiej jasności.

Nienawidziłam swojego wyglądu. Czy w Korei, czy w Ameryce uważałam, że moja twarz nie pasuje. W Korei moje oczy były zbyt amerykańskie; w Ameryce były zbyt azjatyckie.



\* \* \*

Mieszkając tu, gdzie mieszkam dzisiaj, w eklektycznym społeczeństwie, które kocham, trudno mi uwierzyć, że moja ameroazjatycka twarz tak bardzo przeszkadzała. Byłam jedyną przedstawicielką mniejszości w tamtym miasteczku, w dodatku dość marnym okazem. Nie wyobrażam sobie, co by powiedzieli ci ludzie na widok Murzyna albo Azjaty pełnej krwi. Natomiast z mojej twarzy wyśmiewano się przez cały czas. Nigdy nie pozwolono mi zapomnieć, jak dalece inaczej wyglądałam. („Elizabeth, nie ściągaj tak włosów do tyłu. Wyglądasz bardziej po amerykańsku, kiedy wiją się wokół twarzy. Nie siedź na słońcu. Wyglądasz jak czerwonoskóry Indianin, nie jak ładna amerykańska dziewczynka”).

Moja przybrana matka była wysoka i smukła, o jasnobrązowych włosach, nawet w późnym wieku bez śladu siwizny, zawsze ubierała się tak, jakby oczekiwała gości. Każdego dnia mogłeś wejść do domu o siódmej rano i zastać ją ubraną w pończochy, pas, pantofle na dwucalowych obcasach i suknię. Chępiła się, że nigdy nie stosuje podkładu – tylko róż, szminkę i puder. Raz w miesiącu tleniła sobie włosy.

W tamtym okresie tata był pastorem małego kościoła fundamentalistycznego. Zawsze nosił garnitur, nawet w soboty – zwykle ciemny, z białą koszulą i ciemnym krawatem. Był życzliwie nastawiony do świata i szczerze zainteresowany innymi ludźmi. Jego wdzięk polegał głównie na umiejętności okazywania innym, że spotkanie z nimi stanowi ukoronowanie dnia, że nie potrzeba mu do szczęścia nic więcej oprócz ich towarzystwa. I nie udawał.

Większość czasu poświęcał na zajmowanie się cudzymi sprawami. Odwiedzał chorych. Przychodził do kościoła na każde wezwanie. Odprawiał nabożeństwa w miejscowych domach emerytów. Załatwiał kartki żywnościowe, kiedy ludzie nie mieli pieniędzy, i zawoził ich do sklepów spożywczych. Ale rzadko bywał w

domu. Nie licząc codziennych lekcji religii i gry na fortepianie, byłam ostatnia na liście jego zajęć.

Tata stanowił studium kontrastów. Z jednej strony religia wpoila mu bardzo zawężone poglądy na dobro i zło oraz wiarę w absolutny grzech i absolutne potępienie. A jednak w głębi duszy był dobrym i kochającym człowiekiem, który karał mnie surowo za grzeszną myśl, a potem spędzał noc na klęczkach, we łzach, modląc się za moją duszę.

Rozpaczliwie pragnęłam go zadowolić. I z niejasnych powodów czułam się odpowiedzialna za jego szczęście. Zaczęło się to zaledwie w parę dni po moim przybyciu. Wszyscy byliśmy w kuchni i mama wręczyła mi ostatnie ciastko ze słoja – ciepły gest, nietypowy dla niej. Wzięłam je, potem spojrzałam na twarz taty i natychmiast włożyłam mu ciastko do ust. Uśmiechnął się i zjadł je, a ja byłam wniebowzięta – zrobiłam coś, co go ucieszyło.

Przez lata wkładałam mu ciastka do ust. Jeśli w coś graliśmy – w monopol albo w „Nie irytuj się” – oszukiwałam, żeby tata wygrał. Płakałam, ilekroć okazał się niedoskonały albo nie postawił na swoim. Pewnego lata na obozie dzieciaki wykradły mu piżamę z domku i wciągnęły na maszt, a ja dostałam hysterii i próbowałam opuścić mechanizm, żeby nikt nie śmiał się z taty.

Z jakiegoś powodu obsesyjnie starałam się go chronić. Wydawał mi się taki bezbronny, chociaż często traktował mnie dość szorstko, toteż przyjął na siebie odpowiedzialność za jego spokój i bezpieczeństwo.

Niemniej wiele razy doprowadzałam go do gniewu i ciągle myślałam, że moje zachowanie jest rozmyślnie grzeszne. Pewnego grudniowego wieczoru, mniej więcej rok po mojej adopcji, skończyliśmy wieczorne czytanie Biblii i nadeszła moja kolej na modlitwę. Zaledwie jednak powiedziałam: „Drogi Panie Jezu”, wybuchnęłam płaczem. Od pewnego czasu czułam się coraz bardziej zagubiona i zgnębiona, ale nie znałam powodu.

I nagle poznałam.

– Czuję, że moja mama umiera – wyznałam zaszokowanym rodzicom. – Czuję, że ja też umrę. Chcę, żeby wróciła. Czy Jezus nie może sprawić, żeby wróciła?

Trzęsłam się od szlochu i nie potrafiłam wyrazić całej głębi mojego cierpienia.

Tata wpadł w furję.

– Natychmiast przestań płakać – nakazał mi. – Mówię poważnie. Przestań w tej chwili.

Próbowałam ze wszystkich sił, ale moja rozpacz była zbyt silna, by ją stłumić, chociaż wiedziałam, że tata mnie ukarze – skoro rodzice krzyczeli na mnie nawet za smutny wyraz twarzy, nieopanowane łkanie traktowali jak zbrodnię.

Tata uderzył mnie w twarz, z lewa i z prawa, i łkanie przycichło, zmieniło się w kaszel, potem w dławiącą czkawkę. Ból od powstrzymanego płaczu rozdzierał mi klatkę piersiową.

– Ona nie jest twoją matką! – wrzasnął tata. – To grzeszna kobieta, która wcale cię nie kochała. Poszła do piekła. Czy myślisz, że wiesz więcej niż Bóg? Czy krytykujesz Jego decyzje? Czy wiesz, co się dzieje z ludźmi, którzy tak robią?

I zaczął mi objaśniać, odczytując z Biblii przykład za przykładem, w których ktoś miał czelność oceniać Boga.

W każdym przypadku na zuchwalca spadała straszliwa kara.

– Bóg jest Bogiem pomsty! – oznajmił tata. – Jak śmiesz podważać Jego prawa?

Mama siedziała cicho, obserwowwała całą scenę i z niedowierzaniem kręciła głową nad moimi grzechami.

– Tak bardzo mi przykro, że jesteś taką złą dziewczynką – powiedziała. – Myślałam, że dostaliśmy wyjątkowe dziecię boże. On poprowadził nas, żebyśmy wybrali właśnie ciebie ze wszystkich dzieci w tym sierocińcu, więc nigdy nie myślałam, że tak się zachowasz.

Stałam przed nimi, wpatrując się w podłogę z bolesnym uciskiem w piersi. Czułam znajomy mętlik narastających emocji: strach, gniew, samotność – ale głównie wstyd.

Wkrótce nauczyłam się wyrzucać Ommę z myśli. Rodzice powiedzieli mi, że była bardzo złą i grzeszną osobą, zwaną prostytutką. Nie kochała mnie, tak mówili; nie obchodziło jej, czy przeżyję, czy umrę.

Mieli stały zwrot, który powtarzali *ad nauseam* przez cały okres mojego dorastania: „Twoja matka porzuciła cię, żebyś umarła na polu ryżowym”. Włączali go niemal do każdego kazania, pouczenia czy nagany. „Powinnaś bardziej szanować mamę. Ona kocha cię znacznie bardziej niż twoja rodzona matka, która cię porzuciła, żebyś umarła na polu ryżowym”. „Bądź posłuszna i wypełniaj swoje obowiązki na chwałę Boga. Pamiętaj, jakie masz szczęście, że mieszkasz w Ameryce, chociaż twoja rodzona matka porzuciła cię, żebyś umarła na polu ryżowym”. „Jak możesz obrażać Boga, oplakując rodzoną matkę? Ona wcale cię nie kochała. Pamiętaj, ona cię nie chciała. Porzuciła cię, żebyś umarła na polu ryżowym”.

Kilka lat temu przycisnęłam rodziców w sprawie tego zwrotu. Dlaczego tak mówili? Dlaczego tak myśleli? Mama odparła, że na pewno ktoś im kiedyś tak powiedział. Tata jednak przyznał, że sami to wymyślili. Podobno uważali, że łatwiej mi będzie uwierzyć w tę historię. Łatwiej niż co, tego nie wyjaśnił.

Nigdy nie drążyliśmy głębiej tej sprawy. Powiedziałam, że nie szkodzi, że na pewno postępowali jak najlepiej. Wciąż nie chciałam im się narazić.

\* \* \*

Rodzice powiedzieli, że Omma nie przyjęła Jezusa jako swojego Zbawiciela, więc teraz jest w piekle, gdzie będzie się smażyć przez całą wieczność. Nieustannie

torturowały mnie myśli o śmierci, piekle i wiecznym potępieniu. Zawsze uważałam za ironię, że w fundamentalistycznym chrześcijaństwie myśl o życiu pozagrobowym uważa się za pociechę, a przecież sama koncepcja jest wręcz przerażająca. Rodzice mówili, że nieustannie otaczają nas hordy demonów, które tylko czyhają, żeby porwać nasze dusze i zaciągnąć do piekła. Dla mnie demony były bardzo rzeczywiste. Widziałam je w wyobraźni, pochylone nade mną, czyhające. Były wysokie i pokryte łuskami, miały ogromne dłonie zakończone krzywymi szponami i rozwarte paszcze, pełne zębów ostrych jak brzytwy. Z nadejściem nocy wydawały się groźniejsze. Kiedy szorowałam zęby, myłam twarz i nakładałam piżamę, mój strach narastał.

Jedyną obronę stanowiła modlitwa. Klękałam na wytartym dywaniku w mojej sypialni i recytowałam litanie całodziennych grzechów:

– Dzisiaj wpadłam w złość. Dzisiaj niegrzecznie odpowiedziałam tacie. Dzisiaj czułam zazdrość.

Oczyszczałam duszę przez piętnaście czy dwadzieścia minut, ponieważ jeden niewyznany grzech oznaczał, że demony mogą mnie pochwycić. Oczy miałam zamknięte, ale co kilka sekund uchylałam lekko jedną powiekę, żeby zerknąć. Rodzice mówili, że anioły i demony można zobaczyć tylko oczami duszy, nie fizycznymi. I mówili, że podczas modlitwy oczy duszy są otwarte. Więc uważałam na demony w czasie modlitwy.

Po modlitwie kładłam się do łóżka i gasiłam światło. Próbowałam oszukać demony, które na pewno chowały się przede mną: udawałam, że zasnęłam, a potem szybciotko otwierałam oczy i sprawdzałam kąty pokoju. Czasami prawie je widziałam. Czasami myślałam, że demony Boscha zeszły z tryptyku i to one krążą w ciemnościach.

Piekło było dla mnie równie realne jak koszmary, które nawiedzały mnie co noc. Jedno i drugie miało w sobie więcej realizmu niż moje życie na jawie. Wcale

nie czułam się prawdziwa. Kiedy spoglądałam w lustro, czasami zdumiewał mnie widok odbitej twarzy. Myślałam, że to pewnie czyjś zły sen, i żałowałam tego kogoś. Ale w końcu, zakładałam, śniący obudzi się w słonecznym świetle, a ja zniknę niczym ostatnia ciemna smużka dymu ze świecy.

W domu z różowej cegły leżałam skulona w swoim wczesnoamerykańskim łóżku, ubrana we flanelową koszulę nocną. Czytałam Biblię i odmawiałam modlitwę, a kiedy obraz zbliżał się coraz bardziej, podciągałam kolana pod brodę i szeptałam: „Jezu, Jezu”, bez przerwy. Ale On nigdy nie przyszedł.

Tam, widzisz, jak się gromadzi? W kącie pokoju formuje się kształt kobiecego ciała, zawieszzonego pomiędzy niebem a ziemią. Nie widzę twarzy, ale nagie stopy są wydłużone i wiotkie, duże palce wskazują prosto na szmaciany dywanik, który jakimś sposobem zmienił się w czysto zamiecioną podłogę z ubitej ziemi. Kobieta ma na sobie białą sukienkę, obrębioną na niebiesko i przepasaną szarfą pod stanikiem. Teraz zaczyna lekko się poruszać w powiewie od otwartego okna. Muszę otworzyć oczy, zanim jej twarz odwróci się do mnie. Jezu. Jezu. Odpycham się aż pod sufit. Jeśli dotknę sufitu, obudzę się. Jezu. Omma.

W najciemniejszej godzinie nocy leżę w łóżku zdyszana, z sercem walącym tak głośno, że bolą mnie uszy, z głową ociekającą potem, z paznokciami oblepionymi krwią i strzępkami skóry.

\* \* \*

Powtarzano mi w kółko, jakiej łaski dostąpiłam, że rodzice mnie adoptowali i przyjęli do chrześcijańskiej rodziny, że zabrali mnie z Korei i z sierocińca. „Tamte dzieci wszystkie umarły, a Bóg wybrał cię, żebyś żyła”, mówili. „On nas poprowadził, żebyśmy ze wszystkich tamtejszych sierot wybrali właśnie ciebie. Bóg ma specjalne plany wobec twojego życia i musisz zawsze Go słuchać i

szanować”. Drżałam na myśl, że co chwila sprawiam zawód Bogu. Powinien był wybrać kogoś innego.

Miałam potworne poczucie winy z powodu tamtych dzieci. Rodzice kręcili głowami i przybierali poważny wyraz twarzy, kiedy wyliczali okropności popełnione na porzuconych dzieciach z wojny koreańskiej. Wspominałam te, które znałam osobiście – dziewczynkę w kubie na śmieci, chłopczyka bez rąk – i nie potrafiłam sobie wyobrazić, dlaczego ja zasługiwałam na ocalenie, a one nie.

Rodzice przypominali mi codziennie o wszystkich dzieciach śpiących w bocznych zaułkach Seulu i walczących o kęs strawy, i porównywali tamten świat z wygodnym domem, który mi dali. Prześladowały mnie cierpienia tamtych dzieci. Gniewała mnie niesprawiedliwość, która pozostawiła je tam, a mnie przeniosła do Ameryki. Modliłam się za nie – bo nie wiedziałam, co innego mogę zrobić – ale czułam, że to stracony wysiłek. Złościłam się na Boga, że dokonał takiego wyboru: ja nie zasługiwałam na ratunek, a one może zasługiwały.

Zastanawiałam się, czy istniał określony kontyngent dzieci, które można ocalić, a powyżej tej liczby wszystkie pozostałe odrzucano niczym kosmiczne śmiecie. Bałam się tak myśleć; bałam się boskiej pomsty i kary.

Podczas rodzinnego czytania Biblii omawialiśmy doktrynę „predestynacji”. Tata wyjaśniał ją następująco: Bóg wybierał pewnych ludzi – Biblia mówi: „jeszcze przed stworzeniem świata” – żeby ich zbawić. Kilka osób miało szczęście; reszta spędzi wieczność w piekle. Moim zdaniem to przypominało zabawę sadystycznego obłąkańca, ale rodzice tłumaczyli, że ponieważ myślimy ziemskimi umysłami, nie wystarcza nam mądrości, żeby zrozumieć dzieła Boga. W Księdze Izajasza Bóg mówi: „Boć zaiste myśli moje nie są jako myśli wasze, ani drogi wasze jako drogi moje”. [Izajasz, 55, 8; wszystkie fragmenty biblijne wg Biblii Gdańskiej]

A wrzaski i bicie się pięściami po twarzy, ponieważ Bóg nie zechciał ocalić mojej Ommy to zwykły grzech, powiedzieli mi rodzice. Jeśli Omma poszła do

piekła, to przez własną złą naturę, a ja powinnam pogodzić się z wolą boską.

Strach rządził moim życiem. Bałam się moich rodziców. Bałam się piekła i Boga. Bałam się dzieciaków w szkole, które szeptały o mnie i chichotały. Bałam się, że odeślą mnie z powrotem do sierocińca. Bałam się zasnąć. Bałam się świecącej w ciemnościach głowy Jezusa w cierniowej koronie, która wisiała w holu.

\* \* \*

Rodzice nagrali na taśmę wiele godzin z mojego dzieciństwa na dużym szpulowym magnetofonie, który stał w kącie salonu. Wiele epizodów dotyczyło kary. Historia – zwykle osnuta wokół jakiegoś mojego lęku – rozwijała się poprzez wyjaśnienia, błagania i łzy aż do kulminacji: kary i skruchy.

Magnetofon zawsze był przygotowany. Przy każdym kryzysie – na przykład kiedy niedokładnie nauczyłam się na pamięć wersetu z Biblii albo bałam się zejść do piwnicy – tata wstawał i włączał zapis. Przechadzał się tam i z powrotem i wygłaszał kazanie, a ja usiłowałam nie płakać. Zawsze wiedziałam, że magnetofon jest włączony, ale tak się przyzwyczyłam, że nie widziałam w tym nic dziwnego.

Dość często tata spuszczał mi łanie przy włączonym nagrywaniu. Przesłuchując później te taśmy, słyszało się wyraźnie każdy klaps oraz moje szlochy. W tle rozlegał się głos mamy dogadujący: „No i co, żałujesz, że byłaś taką niegrzeczną dziewczynką? Nie chcesz poprosić Jezusa o przebaczenie?”.

Nagrywanie taśm trwało mniej więcej do dziesiątego roku mojego życia. Rodzice ciągle je odtwarzali, kiedy dorastałam; siadywaliśmy razem w salonie i słuchaliśmy. Rodzice je uwielbiali. Nagrania tworzyły główny element rodzinnej rozrywki. Siedzieliśmy w salonie po obiedzie i mama mówiła:

– Och, posłuchajmy tych cudnych taśm Elizabeth.



Podczas scen, kiedy wrzeszczałam lub płakałam, rodzice chichotali i kręcili nade mną głowami. To wszystko miało być zabawne, a jednocześnie stanowić lekcję pogładową na temat ceny grzechu. Próbowалам uśmiechać się razem z rodzicami, a kiedy podrosłam, nauczyłam się głośno wyśmiewać moje zarejestrowane nieszczęścia.

Zaczęłam również komentować zachowanie nieznośnego dziecka z tych taśm.

– Tylko mnie posłuchajcie – mówiłam do rodziców. – Naprawdę byłam niegrzeczna. Jak mogliście ze mną wytrzymać? Za coś takiego naprawdę należało mi się lanie.

Kilka lat temu tata kazał przegrać wszystkie taśmy na kasety i podarował mi oprawne w skórę portfolio z kopiami wszystkich nagrań jako prezent gwiazdkowy. Oszołomiona, podziękowałam mu i wepchnęłam kasety na dno szuflady. Nigdy ich nie słuchałam i nigdy nie wyjmowałam, dopiero parę lat temu w oczyszczającej gorączce sprzątnięcia wyrzuciłam je do śmieci.

Była to kolejna nienormalna rzecz w domu rodziców, którą przyjmowałam za normę. Zdumiewa mnie, że ludzie traktują to z takim niedowierzaniem, chociaż teraz sama zdaję sobie sprawę, jakie to dziwaczne. Ale nagrania magnetofonowe stanowiły dla mnie część zwykłego życia, równie rutynową jak zmywanie naczyń po śniadaniu. Ludzie kierujący się przesadnym fanatyzmem religijnym robią rzeczy niepojęte dla innych. Nagrania magnetofonowe po prostu nieodłącznie należały do tego karzącego, surowo fundamentalistycznego stylu życia.

## Rozdział 8

Moje małe rodzinne kółko składające się z mamy, taty i kościoła powiększyło się nagle i niewygodnie, kiedy zapisano mnie do szkoły. W domu i w kościele poznałam zasady wystarczająco dobrze, żeby dać sobie radę, ale szkoła okazała się jeszcze jednym obcym, nieprzyjaznym światem.

Pierwszego dnia w szkole nauczycielka przedstawiła mnie klasie, po czym kazała mi powiedzieć coś o sobie. Stałam tam oniemiała, mnąc w palcach satynową szarfę na mojej zbyt strojnej sukience. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Rodzice nie lubili, kiedy opowiadałam o Korei, więc nie mogłam opowiedzieć dzieciom, skąd jestem. Nie miałam żadnych przyjaciół ani zainteresowań. Nie miałam żadnych ulubionych zwierzątek. Nie przychodziło mi do głowy nic, co wzbudziłoby chociaż cień zainteresowania tych dzieciaków. Ukłoniłam się lekko, kiedy nauczycielka mnie przedstawiła, co wywołało szydercze śmiechy. Nauczycielka czekała przez kilka sekund, po czym szorstko kazała mi usiąść.

Wtedy mieszkałam już w Ameryce od ponad roku, a mój wiek oceniano na około siedmiu lat. Przeszłam już przez amerykański proces naturalizacyjny, toteż moja znajomość historii Ameryki i niuansów języka angielskiego przewyższała wiedzę większości kolegów z klasy. Pierwszego dnia narysowałam obrazek w zeszyte, kiedy nauczycielka prowadziła wykład. Zapytała, czy mnie nudzi, a ja odpowiedziałam zgodnie z prawdą: „Tak”. Więc następną godzinę spędziłam w kącie, nie bardzo wiedząc, jak się tam znalazłam i co mam robić.

Moi przybrani rodzice nauczyli mnie czytać, zanim poszłam do szkoły, i tak dobrze się spisali, że po kilku dniach nauczycielka w drugiej klasie zrewidowała swoją opinię o mnie i uznała mnie za cudowne dziecko. Musiałam czytać na głos szóstoklasistom z ich podręcznika angielskiego. Nauczycielka zawstydziała ich, że

drugoklasistka, która zna angielski dopiero od niedawna, potrafi czytać o tyle lepiej od nich.

Oczywiście tym sposobem przypieczętowała mój los w szkole. Uczniowie, zwłaszcza starsi, nie znali litości. Wyśmiewali się z moich kędzierzawych, niesfornych włosów. Wyśmiewali się z moich lekko skośnych oczu i spłaszczzonego nosa. Wyśmiewali się z mojej precyzyjnej wymowy i pojawiającego się czasami koreańskiego akcentu. A ponieważ wszyscy w naszym miasteczku znali moich rodziców, dzieciaki wiedziały również, że mnie adoptowano, więc naturalnie z tego też się wyśmiewały.

Przez całą szkołę podstawową nic się nie zmieniło: byłam bystra, ale godna pożałowania. Nie miałam żadnych przyjaciół i stale grałam rolę kozła ofiarnego na szkolnym podwórku. Jadałam lunch sama; podczas przerwy siadywałam na samym końcu podwórka, czytając Karola Dickensa.

Uwielbiałam Dickensa. Czytając go czułam się tak, jakby mówił właśnie do mnie, jakby dokładnie rozumiał mój smutek i samotność. Poszukiwałam emocjonalnej mapy drogowej, żeby mi pokazała, jak przejść przez lata alienacji. W prawdziwym życiu nikt mnie nie nauczył, jak sobie radzić ze stratą i opuszczeniem, odkryłam jednak, że literatura może mnie połączyć z czymś większym niż moje własne życie, i to mnie zachwyciło.

W piątej klasie napisałam wypracowanie na temat „Dawida Copperfielda”. Postanowiłam, że to będzie najlepsze wypracowanie w historii i moi koledzy z klasy wreszcie przekonają się do mnie, ponieważ nieszczęścia Dawida Copperfielda poruszą ich serca. Wyrysowałam dwa drzewa genealogiczne: jedno pokazujące biologiczną rodzinę Dawida i drugie, żeby pokazać jego prawdziwą, emocjonalną rodzinę. Opowiedziałam, jaki był niekochany i zaniedbywany. Wyrecytowałam końcowy, żenująco kwiecisty ustęp o Agnieszce „wskazującej w górę”.

Przede mną uczniowie wiercili się i szeptali. Widziałam, 7, 1

jak ziewają, wymieniają znaczące półuśmiechy, bazgrzą w zeszytach.

Kiedy skończyłam i z powrotem usiadłam w swojej ławce, chłopiec za mną wychylił się do przodu i powiedział:

– To było najgłupsze wypracowanie na świecie, ćwoku.

W całym tym okresie tylko raz nawiązałam pewnego rodzaju koleżeństwo z innymi dziećmi, kiedy jeden z moich nielicznych krótko żyjących psów – odratowany chart, подарowany mi przez jednego z parafian – patrzył, jak wsiadam do autobusu, a potem ścigał go przez dwanaście mil od naszego domu do szkoły.

Najpierw zobaczyły ten pościg inne dzieci w autobusie i zwróciły mi uwagę.

– Popatrz na swojego psa. Goni autobus. Nie chce, żebyś odjechała.

Wezbrała we mnie miłość do tego psa; zdumienie i wdzięczność, że druga istota przywiązała się do mnie tak mocno, żeby gonić za mną po gorącym asfalcie i piaszczystych, pustynnych poboczach drogi. Ścisnęło mnie w piersi i paliło w gardle, kiedy patrzyłam na niego przez szerokie tylne okno autobusu.

Pies kłusował wytrwale za autobusem, z wywieszonym językiem, wzbijając smukłymi nogami tumany kurzu. Dzieci zaczęły go dopingować.

– No dalej! Dobry pies! Jejku, naprawdę masz fajnego psa.

W tamtej chwili poczułam, że dzieciaki niemal mnie akceptują. Ponieważ podziwiały mojego psa – a mój pies wyraźnie mnie kochał – mówiły właściwie do mnie. Zjednoczeni wspólnym podziwem patrzyliśmy, jak mój fajny pies ściga autobus.

Kiedy dojechaliliśmy do szkoły, dałam mu trochę wody, a dzieciaki zebrały się dookoła, głaskały go po gładkich bokach i klepały po łbie, i wypytywały mnie o niego. Uprzejmie machał ogonem, ale tylko mnie lizał i szturchał pyskiem. Zadzwoiłam do rodziców, żeby przyjechali do szkoły i go zabrali.

Przyjechali, ale tamtego popołudnia, kiedy wróciłam do domu po lekcjach, pies

zniknął.

– Nie możemy rzucać wszystkiego i jeździć po twojego psa – oświadczyli. – Miał zostać w domu. Za dużo z nim kłopotu.

Dowiedziałam się, że rodzice oddali mojego pięknego psa do hycła, i cierpiałam męki, wyobrażając sobie jego los – znowu porzucony, zamknięty w klatce, pewnie zdychający, niechciany i wystraszony. Przynęłam sobie, że pewnego dnia podaruję własnemu dziecku czworonożnego ulubieńca, którego nigdy mu nie zabiorę.

\* \* \*

Moi rodzice byli nauczycielami; dom zmienili w szkołę. Codziennie, co chwila wbijali mi kolejne lekcje do głowy: Biblia jest prawdziwym Słowem Bożym; Chrystus stanowi jedyne odkupienie za grzechy; gniew, strach, ciekawość czy pożądanie pochodzą od szatana; posłuszeństwo musi być natychmiastowe, niekwestionowane i absolutne.

Irytowało ich, że boję się tak wielu rzeczy. Podczas niekończących się sesji w salonie, po wieczornych rodzinnych „nabożeństwach” albo czytaniu Biblii i modlitwie, wyjaśniali mi, dlaczego mój strach jest takim grzechem. Kazali mi nauczyć się na pamięć Mateusza 10, 28: „A nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, lecz duszy zabić nie mogą: ale raczej bójcie się tego, który może i duszę, i ciało zatracić w piekielnym ogniu”.

A jeśli Bóg postanowi zakończyć moje życie? Biblia miała również na to odpowiedź: „Chociaż On mnie zgładzi, ja Mu ufam”.

Boleśnie uświadamiałam sobie swoje liczne wady. W Korei byłam podczłowiekiem. Tutaj byłam podchrześcijanką. Wiedziałam, że nie jestem dość dobra dla nikogo, i to mnie doprowadzało do rozpacz. Nie spełniałam niczyich

wymagań. Rodzice powiedzieli mi, że zostałam wyratowana z Korei, żeby mogli przetworzyć mnie na boski obraz i podobieństwo, ale okazałam się nie dość podatną bryłką gliny.

Wiem, że się powtarzam, ale i tak nie potrafię należycie przedstawić ogłupiającej monotonii mojego życia w tym domu. Wpadłam w kierat, który obracał się wiecznie w tym samym kręgu.

\* \* \*

Coraz częściej znajdowałam ratunek w książkach. Pożerałam wszystko, cokolwiek znalazłam na półkach w naszym domu. Gabinet taty wypełniały książki; regały sięgające od podłogi do sufitu zawierały zbiory kazań, traktaty teologiczne i ponad dwadzieścia Biblii – Biblie rodzinne, Biblie tradycyjne, Nowy Amerykański Standard, wersja Króla Jakuba, hebrajska i grecka. Rozproszone w tej masie kryły się klejnoty: Szekspir, Austen i Dickens, żeby wymienić chociaż kilka. Czytanie stało się dla mnie ucieczką od szarej, ograniczonej wegetacji w tym fundamentalistycznym chrześcijańskim domu i tym miasteczku, zagubionym na pustyni.

Kiedy miałam około dziesięciu lat, poszłam z rodzicami odwiedzić pewną parafiankę ojca. Nienawidziłam tych wizyt u staruszek przykutych do łóżka, gdzie musiałam siedzieć w idealnym bezruchu, uśmiechać się, słuchać banalnej rozmowy dorosłych i udawać zainteresowanie. Ale tym razem zdarzyło się coś zdumiewającego.

Kobieta, którą odwiedziliśmy, mieszkała w przyczepie, gdzie każdą powierzchnię zagracaly bibeloty: porcelanowe kocięta z kraciastymi kokardami na szyjach i ozdobne talerze na podstawkach. W tym śmietniku leżał cienki tomik poezji w sztywnej oprawie, wyglądający tak, jakby nigdy go nie otwierano.

Zapytałam, czy mogę poczytać, a kobieta odpowiedziała, że owszem, jeśli nie podre i nie pobrudzę książki. Zaniiosłam tomik do kuchennego stołu i położyłam ostrożnie na plastikowej macie w kształcie motyla.

To popołudnie zmieniło moje życie. Siedząc w zagraconym pokoiku, gdzie pyłki kurzu tańczyły w promieniach słońca, dowiedziałam się, że nie jestem sama.

Wiersz, który przeczytałam, napisała osoba, która właśnie utraciła ukochanego towarzysza. Ten wiersz prześladował mnie przez lata. „Czym jest dla mnie moje życie? I czym ja jestem dla życia? / Statek, którego gwiazda zgasła. Strach, który mnie budzi w środku nocy... „ [Wiersze nieopatrzone przypisem w przekładzie tłumaczki.] – tylko te dwie linijki zapamiętałam. Nie znałam nazwiska autora. Wreszcie niemal uwierzyłam, że sama wyśniłam te strofy.

Jako nastolatka zaczęłam szukać tego wiersza, tego autora. Lecz w naszej małomiasteczkowej bibliotece znajdowało się niewiele książek z poezją i żadna nie zawierała tego, czego potrzebowałam. Ale szukałam dalej.

Po tym pierwszym spotkaniu z poezją sama zaczęłam pisać wiersze. Były bardzo złe, ale podobały się nauczycielom i zwykle wisały przypięte pineskami do tablicy ogłoszeniowej w szkole. Próbowałam haiku i limeryków, pisałam na tematy, za które nauczyciele wystawiali najwyższe oceny: deszcz i zachody słońca, i pokój na ziemi. Prawdziwa poezja nagich emocji była czymś prywatnym i nikt oprócz mnie nie czytał utworów, które zapisywałam w pamiętniku:

*Mówisz że jestem brzydka*

*Mówisz że jestem dziwna*

*Przelknęłam każde słowo*

*Każdą żrącą kroplę bólu.*

*Życie wepchnęło mi fakty do ściśniętego gardła.*

*Życie, możesz karmić mnie na siłę cierpieniem,*

*aż się zadławię.*

*Więc płaczę, bo życie jest niesprawiedliwe?*

*Trudno, suko, przykra sprawa.*

*Nie jestem godna ziemskich radości*

*Nie jestem stworzona do miłości.*

*Bóg jest Dobrem, tak mówią.*

*Nie jestem pewna.*

*Myślę, że Bóg jest szalonym naukowcem*

*w białym laboratoryjnym kitlu*

*eksperymentującym na klatkach z ludźmi.*

*Może On się śmieje, kiedy biegamy w kółko,*

*wrzeszcząc i krzycząc.*

*Może On robi notatki pod małymi nagłówkami:*

*„grupa kontrolna”*

*„grupa testowa”*

*patrzac, jak popłakujemy po kątach*

*i obgryzamy palce.*

*A może On śpi w swojej sypialni na górze*

*pod jedwabnym baldachimem,*

*podczas gdy my wyjemy z bólu w piwnicy*

*gnijąc w zardzewiałych klatkach*

*kompletnie zapomniani przez Boga Szalonego Naukowca.*

*Nie mamy pojęcia o cudzym cierpieniu.*

*Ja osądzam ciebie, ty osądzasz mnie; patrzymy*

*krzywo na włosy, ubranie, skórę,*

*uśmiech lub brak uśmiechu.*

*Myślę, że śmiejesz się za głośno i lubisz okropną muzykę.*



*Myślisz, że gadam za dużo i noszę okropne buty.*

*A przez cały czas w środku szlochamy, szlochamy, szlochamy.*

*Wyglądamy przerażeni na świat, który nas nie zna,*

*i tęsknimy za kimś, kto zobaczy, że zasługujemy na miłość.*

*Mijamy się nawzajem; na twarzach staranne maski obojętności Twój ból krzyczy do mojego;*

*moje serce cierpi całkiem jak twoje.*

Rodzice znaleźli pamiętnik, kiedy byłam w szóstej klasie, i ciężko to odpokutowałam. Pamiętnik był zamykany na małą klódeczkę i naiwnie zakładałam, że otwiera go tylko kluczyk, który chowam pod materacem.

Ale wystarczyło trochę pokręcić tarczą, żeby zamek ustąpił, i kiedy wróciłam do domu ze szkoły, rodzice czekali na mnie z pochmurnymi minami. Tata otworzył pamiętnik i nie tylko oboje go przeczytali, ale umówili się na spotkanie z dyrektorem mojej szkoły, żeby pokazać mu swoje znalezisko i dopilnować, żeby mnie ukarano za rzeczy, które wypisywałam o nauczycielach oraz kolegach i koleżankach z klasy.

Pisałam o ćwiczeniu na poduszce pocałunków „z języczkiem”, żeby nabrać wprawy na przyszłość. Pisałam o nauczycielce z szóstej klasy, która była fajna, bo mówiła „cholera”. Pisałam o dziewczynce, która nazwała mnie „paskudną żółtaczką” i o tym, jak bardzo pragnę, żeby smażyła się w piekle przez całą wieczność.

Po – zdawało się – całych godzinach wysłuchiwania, jak rodzice wrzeszczą i pomstują na mój zły charakter, odesłali mnie do mojego pokoju, żebym czytała Biblię. Nie dostałam lania, ale spotkała mnie znacznie gorsza kara.

Następnego dnia pomaszerowałam z rodzicami do gabinetu dyrektora szkoły, gdzie musiałam przeczytać mu na głos to, co napisałam. Usiedliśmy przed jego

biurkiem i zaczęłam czytać drżącym głosem, z drżącymi rękami. Dyrektor kilkakrotnie próbował mi przerwać, ale rodzice oświadczyli, że jeszcze nie skończyłam. Myślę, że był zażenowany całą sprawą – odnosił się do mnie z pewnym współczuciem, a do rodziców odrobinę szorstko. Niemniej, na nalegania rodziców, przez tydzień musiałam za karę zostawać po lekcjach.

Rodzice nie komentowali poezji, którą zapisałam w pamiętniku, chociaż zawierała „brzydkie słowa” i bluźniercze komentarze na temat Boga. Wątpię, czy ją przeczytali, ponieważ była wierszowana. Poezja w ogóle ich nie interesowała – pewnie nawet jej nie rozpoznawali.

Ja znajdowałam w poezji prawdziwą ziemską pociechę, czy były to moje własne nieporadne wiersze, czy wspaniałe sonety Szekspira, jak: „Żegnaj mi, zbyt kosztowny jak na moje mienie!” [William Szekspir, sonet LXXXVII] Dowiedziałam się, że temat straty jest uniwersalny, dzięki czemu poczułam się mniej samotna. Dowiedziałam się, że każdy ból mojego życia to coś, czego inni ludzie doświadczali już nieskończenie wiele razy w przeszłości i będą doświadczali nieskończenie wiele razy w przyszłości.

Poezja pierwsza zapoznała mnie z koncepcją, że ból można postrzegać jako „ten ból”, nie „mój ból”. Że smutek, samotność i opuszczenie należą do kondycji ludzkiej, nie są moją wyłączną własnością.

Tymczasem ciągle próbowałam się dopasować. Obserwowałam, jak Amerykanie chodzą, mówią, gestykują; i stałam się mistrzynią naśladownictwa. Rozumiałam język lepiej niż dzieci urodzone w Ameryce, które chodziły ze mną do szkoły. Więc dlaczego nie mogłam zmienić także swojej twarzy? Dlaczego te azjatyckie oczy nie zrobiły się niebieskie i okrągłe? Dlaczego moje znienawidzone włosy nie pojaśniały do koloru blond? Dlaczego mój tępy, spłaszczony nos nie nabrał bardziej kanciastego kształtu?

Na szkolnych przedstawieniach stałam na scenie – śpiewając, recytując coś albo

odbierając nagrodę – patrzyłam na małe, dobrane towarzystwo homogenicznie anglosaskich dzieci i nienawidziłam każdego z nich. Zawsze kilkoro trzymało palce w kącikach oczu i podciągało je do góry, szydząc ze stojącego przed nimi wyrzutka.

\* \* \*

Ukryty na dnie szafy w mojej sypialni, za pudłem kwadratowych ścinków na kołdry, które obrębiałam co tydzień dla Kobiecego Towarzystwa Misyjnego, spoczywał mój sekret.

Zrobiłam sobie blond perukę ze starannie pociętych pasków papieru tej samej długości i szerokości, które pokolorowałam po obu stronach żółtą kredką. Zszyłam je razem na jednym końcu i zarzucałam blond szopę na głowę, kiedy byłam sama w pokoju.

Wtedy stawałam się rodowitą Amerykanką i moja twarz dawała mi przyrodzone prawo do akceptacji. Na imię miałam Cindy. Należałam do drużyny czirliderek. Miałam kilka piegów na nosie i oczy błękitne jak niezapominajki. Byłam wysoka i smukła, a na ścianach mojej sypialni wisiały czirliderkowe pompony, szkolny proporczyk oraz zdjęcia ładnych chłopców wycięte z czasopism. Na stoliku obok łóżka miałam różowy telefon w stylu księżniczki oraz książeczkę z adresami i numerami telefonów w winylowej oprawie, wypełnioną numerami – byłam najbardziej popularną dziewczyną w szkole. Moja szafa pękała w szwach od spódnicospodni, minispódniczek, dopasowanych kompletów i butów.

W rzeczywistości na ścianach mojej sypialni nie wisiało nic oprócz religijnych obrazków. Na nocnym stoliku leżała Biblia i stała lampa. Nie pozwalano mi na żadne czasopisma, nawet gdybym jakoś zdobyła pieniądze, żeby je kupić. Sama szyłam sobie sukienki z materiałów z taniego sklepu, gdzie mama robiła zakupy, i

nosiłam je bez przerwy. Z powodu zasad dotyczących chrześcijańskich ubiorów, jakie wprowadzili moi rodzice, sukienki były proste i niegustowne. Lata sześćdziesiąte dobiegały końca i moda dyktowała minispódniczki, wysokie buty do kolan, dzinsy biodrówki i gorseciki. Moje sukienki sięgały do pół łydki. Miały bufiaste rękawy i okrągłe kołnierzyki.

W szkole te sukienki wywoływały kupę śmiechu.

Nauczyłam się szyć w kościele, na sobotnich spotkaniach Kobiecego Towarzystwa Misyjnego. Szyłyśmy kołdry, ubranka dziecięce i podstawowe artykuły odzieżowe, jak rozszerzane spódnice, wysyłane do misji. Pod nadzorem pań z kościoła nauczyłam się robić zakładki, wszywać zamki błyskawiczne, obrębiać dziurki i wykańczać wstawkami. Od siódmej klasy sama szyłam wszystkie swoje ubrania z wyjątkiem bielizny.

Powiedziałam rodzicom, że dzieci w szkole śmieją się ze mnie i krytykują. Myślałam, że jednym z powodów są noszone przez mnie rzeczy, więc zapytałam, czy mogę pilnować dzieci u kogoś z parafian i zarobić dodatkowe pieniądze na ubranie. Chciałam nosić spódnicospodnie, dzinsy i bluzy jak wszyscy zamiast sukienek w kwieciste desenie, uszytych z niegniotącego się poliestru. Tata uznał tę prośbę za śmieszna i potraktował ją surowo.

– Dlaczego tak się przejmujesz światowymi pragnieniami? „Bo człowiek patrzy na zewnętrzny pozór, ale Bóg patrzy w serce”. Pilnuj, żeby twoje serce było czyste. Nieważne, co inni myślą o tobie. „Bóg zbliża się do pokornych, ale dumnych zna i odtrąca”. Poza tym masz pracę tutaj, w domu i w kościele. Nie starczyłoby ci czasu na pracę w obcych domach.

Rodzice uznali, że skoro wyraźnie dostałam bezbożnej obsesji na punkcie strojów, potrzebuję lekcji pokory. Tamtego wieczoru przy obiedzie mama ogłosiła nową zasadę.

– Ojciec i ja modliliśmy się o wskazówkę, jak przełamać twoje światowe

podejście do strojów. Odtąd będziesz nosić jedną sukienkę przez cały tydzień. Możesz zmieniać ubrania po tygodniu, ale będziesz nosiła tę samą sukienkę od poniedziałku do piątku. W niedzielę możesz włożyć lepszą.

Byłam przerażona. Nie przyszło mi do głowy, że mogą zaproponować coś takiego. Zrozumiałam, że popełniłam olbrzymi błąd taktyczny, więc zaczęłam się w panice wycofywać.

– Proszę, nie każcie mi tego robić. Już nie będę miała światowego podejścia do strojów, przysięgam. Nigdy nic więcej nie powiem. Proszę, proszę, proszę. Dzieci będą się ze mnie wyśmiewały. Umrę, jeśli każecie mi to zrobić.

– Widzisz? Właśnie na tym polega twoje światowe podejście. Powinnaś się cieszyć, że w ogóle masz ładną sukienkę. Dzieci w Korei nie mają takich ładnych sukienek jak twoje. Nosiłyby je z wdzięcznością. Zabraliśmy cię z sierocińca i daliśmy ci wszystko, czego potrzebujesz, a ty ciągle chcesz więcej. Jeśli inne dzieci wyśmiewają się z ciebie, powinnaś to potraktować jak błogosławieństwo. Dostałaś ukrzyżowania razem z Chrystusem, żebyś mogła dzielić Jego wieczystą chwałę.

Przeskoczyłam dwie klasy, więc byłam trochę młodsza od większości kolegów i koleżanek z klasy, którzy za to wyprzedzali mnie o lata świetlne pod względem wyrafinowania. Wiedziałam, że nigdy się do nich nie dopasuję. I po jakimś czasie przestali wyśmiewać się z moich sukienek. Po prostu mnie ignorowali.

Więc odtąd przez całą szkołę podstawową nosiłam jedną sukienkę przez pięć dni w tygodniu. Kiedy poszłam do szkoły średniej, rodzice zmiękli i pozwolili mi uszyć pięć sukienek, każdą na inny dzień tygodnia. Nadal były niegustowne, ale przynajmniej miałam ich pięć.

\* \* \*

Z wiekiem coraz bardziej bałam się Boga i Jego listy wymagań. Biblia powiada: „Bądźcie doskonali, jako wasz Ojciec w niebiosach jest doskonały”. To wydawało się niemożliwe. Przez cały czas musiałam błagać o wybaczenie, ponieważ nawet nasze myśli podlegają osądowi. Nie mogłam wygrać w tej grze. Jeżeli się rozgniewałam, ale zdołałam powstrzymać gniewne słowa, nadal musiałam prosić o przebaczenie za gniewne myśli. A jeśli czułam się dumna z siebie, że powściągnęłam swój język, musiałam prosić o przebaczenie za swoją dumę. Jeśli pomyślałam o seksie, musiałam prosić o przebaczenie. Ale ta prośba przypominała mi o grzesznych myślach, więc nie mogłam ich wykorzenić do końca. To było błędne koło, sytuacja bez wyjścia.

Najbardziej się bałam, że umrę niespodziewanie, zanim zdążę poprosić o przebaczenie za ostatnią grzeszną myśl, a wtedy pójdę do piekła.

W naszym kościele tematowi piekła poświęcano wiele uwagi. W piekle, jak mnie poinformowano, jest płacz i zgrzytanie zębów, a potępieńców wrzuca się do jeziora ognia, który pali przeraźliwym żarem przez całą wieczność. Pokutujący mogą widzieć niebo i ten widok niedostępnego szczęścia dodatkowo potęguje ich cierpienia. Rozumiałam ich doskonale; przez większość życia oglądałam widoki niedostępnego szczęścia.

Rodzice mówili, że każdy potępieńiec w piekle wie, że mógł być w niebie z Jezusem, gdyby tylko Go przyjął. Ale jeśli w ogóle o Nim nie słyszał, kara wydawała mi się oburzająco niesprawiedliwa, bez względu na to, co moi rodzice mówili o predestynacji.

Czasami zastanawiałam się, czy Bóg śmieje się w kułak, kiedy gorączkowo usiłujemy wypełniać Jego niemożliwe przykazania. Starłam się jednak zdławić takie myśli, ponieważ mój strach przed bożym sądem pokonał wszystko, nawet racjonalne myślenie.

Będąc w buntowniczym nastroju, próbowałam logicznie przedyskutować tę

kwestię z rodzicami; oświadczyłam, że moim zdaniem predestynacja to inne określenie uprzedzenia; najwyraźniej ten sam Bóg, który stworzył koreańskie prawo głoszące, że dzieci mieszanej krwi są mniej niż ludźmi, stworzył również amerykańskie przekonanie, że tylko ponownie narodzeni chrześcijanie pójdą do nieba. Zarzucili mi bluźnierstwo.

Doszło do tego, że prawie przez cały czas czułam się winna – grzechu poprzez działanie lub zaniechanie – ale wciąż szukałam sposobów, żeby zadowolić moich wiecznie niezadowolonych rodziców. Wiedziałam, że ułagodzę ich nauką gry na fortepianie. Wyznaczyli mi wielkie muzyczne cele – chyba chcieli, żebym została wędrowną muzykującą misjonarką, krzewiącą jednocześnie ewangelię Chrystusa i klasyczną kulturę muzyczną.

Nadal pobierałam codzienne lekcje gry u taty, a zanim skończyłam dziesięć lat, grywałam już w kościele. Mimo to fortepian stanowił dla mnie źródło nieustannego niepokoju, czy ćwiczyłam w domu pod okiem rodziców, czy występowałam publicznie. Nie przeszkadzało mi granie hymnów w kościele, ponieważ każdy przeciętnie sprawny pianista to potrafi, ale nie znosiłam recitali.

Tata często zgłaszał mnie do recitali, albo w kościele, albo w domu kultury. W wieku dwunastu lat zagrałam Patetyczną Beethovena – wszystkie trzy części sonaty z pamięci – i trzęsłam się nieopanowanie przez cały czas. Moje wykonanie było poprawne aż do trzeciej części, kiedy opuściłam takt w arpeggio. Kątem oka zobaczyłam, że tata kręci głową i przenosi spojrzenie ze mnie na podłogę. Serce we mnie zamarło. Po zakończeniu recitalu, kiedy tata nie odezwał się do mnie, ogarnęło mnie znajome poczucie mdlącej samotności.

\* \* \*

Zanim się spostrzegłam, objęłam obowiązki pełnoetatowej sprzątaczkii i

kucharki. Żyłam w niewoli bardziej cywilizowanej niż ta, przed którą ocaliła mnie Omma, ale wszystkie codzienne domowe czynności – od szorowania toalet do gotowania posiłków – należały do mnie.

Kontrast pomiędzy dwiema matkami w moim życiu był uderzający: Omma pracowała bardzo ciężko dzień po dniu, a jednak utrzymywała porządek i znajdowała czas na rozpieszczanie dziecka. Mama nie robiła prawie nic, tylko leżała na sofie i stroiła się na kościelne uroczystości.

Zdawałam sobie sprawę, że inne dzieci nie miały tylu obowiązków co ja – słyszałam na przykład, jak opowiadają w szkole, co ich mamy przygotowały poprzedniego wieczoru na obiad – i zżerała mnie zazdrość.

Oczywiście, ponieważ zazdrość to grzech, zżerało mnie również poczucie winy.



## Rozdział 9

Kiedy już myślałam, że poznałam i opanowałam rytm naszego domu, matka mamy przyjechała z nami zamieszkać. Byłam wtedy w piątej klasie i wierzyłam, że ta kobieta uosabia najgorsze cechy obojga moich rodziców. Wszystko, czym sprawiali mi ból, u niej występowało w powiększeniu. Z jej punktu widzenia oczywiste było, że adoptując mnie rodzice popełnili najgorszy błąd swojego życia. Pewnego dnia, po lekcji wychowania seksualnego w szkole, przepełniona dziecięcą ciekawością zapytałam mamę, czy ona i tata mieli stosunek. Babcia odwróciła się do mamy w triumfie.

– Widzisz? Ona jest kompletnie zdegenerowana. Macie za swoje.

Babcia nie chciała, żeby adoptowali koreańskie dziecko. Uważała, że każdy nie biały to barbarzyńca, i bardzo się pyszniła blond włosami i niebieskimi oczami występującymi w jej rodzinie. Mówiła, że moje oczy są „koloru błota”. Jej zaściankowa arogancja przejawiała się w każdym geście. Zanim wprowadziła się do nas, mieszkała w domu niedaleko, gdzie zatrudniała czarnego ogrodnika. Nie pozwalała mu wchodzić do mieszkania, chociaż przyznawała, że jest „dobrym pracownikiem”. W piątkowe popołudnia, zanim poszedł do domu, dawała mu butelkę 7-Up, którą wypijał na tylnym ganku. Dostawał butelkę, ponieważ babcia nie życzyła sobie, żeby kolorowy dotykał brudnymi rękami jej pięknych szklanek z rżniętego szkła.

Zdecydowałam, że chcę być taka jak on: miał cięty dowcip i ten sam szacunek dla żywych roślin co Omma.

Dla mnie był miły, bawił mnie i traktował mnie jak równą sobie. Dla babci był po prostu użyteczną rzeczą. Nigdy nic nie mówił, kiedy babcia wręczała mu butelkę 7-Up, ale spoglądał na mnie z kamienną twarzą i unosił jedną brew, a ja

wybuchałam śmiechem. Rozmawialiśmy o tym, jacy ludzie są śmieszni, i o kwiatach.

Zdecydowałam, że również chcę pić 7-Up z butelki, nosić kombinezon i nauczyć się przycinać róże. Wstrząśnięta babcia poskarżyła się rodzicom, którzy wyjaśnili mi, że w przyzwoitym społeczeństwie należy zachować określone formy.

Chociaż nie rozumiałam, co to za formy, zaczynało do mnie docierać, że nawet w Ameryce nie jestem jedyną osobą izolowaną i znieawidzoną tylko dlatego, że wyglądam inaczej niż otaczający mnie ludzie.

\* \* \*

Babcia była niska i krępa. Miała około metra pięćdziesięciu wzrostu, nosiła elastyczny pas i sznurowane ortopedyczne buciki. Co tydzień chodziła się czesać do jedyne go salonu piękności w miasteczku i codziennie nakładała świeżo wyprasowaną suknię. Nie lubiła kolorowych, Azjatów, Żydów ani hipisów. Często powtarzała, że świat zmierza ku zagładzie.

Uśmiechała się tylko w kościele, gdzie miała zarezerwowane miejsce w drugiej ławce od ołtarza. Zostawiała na tym miejscu swoją uświęconą poduszkę i biada nieszczęśnikowi, który usiadłby tam przez pomyłkę.

Po lekkim zawale babcia postanowiła przeprowadzić się do nas. Jej mąż, którego nigdy nie poznałam, nie żył już od wielu lat. Rządziła w domu przywiedłą żelazną ręką, a oboje rodzice jej słuchali. Dowiedziałam się później, że pożyczyła im pieniądze na kupno domu z zastrzeżeniem, że zamieszka tam z nimi. Jedyne telewizor stał w jej pokoju, podobnie jak wyściełany fotel i otomana.

Z przybyciem babci moja i tak pokaźna lista codziennych obowiązków wydłużyła się jeszcze bardziej, ponieważ musiałam dbać o wszystkie jej potrzeby. Chociaż nic nie stało na przeszkodzie, żeby sama zatroszczyła się o siebie,

traktowała wszystkich dookoła – zwłaszcza osoby nie należące do czystej rasy aryjskiej – jak swoich służących.

Musiałam pomagać jej przy kąpieli i ubieraniu, i czyścić jej protezy. W jej bliskości zbierało mi się na wymioty. Nienawidziłam jej stęchłego zapachu, cmokających sztucznych zębów i wyniosłego zachowania. Chodziła o lasce i jeśli wypełniałam jej polecenia nie dość szybko albo niedokładnie, waliła mnie laską po nogach. Ciągłe mnie besztła. Mówiła, że jestem powolna, niezdarna, krnąbrna.

Babcia często mi powtarzała, że ludzie powinni „trzymać się ze swoimi” i że mieszanie ras nigdy nie przyniosło nic dobrego. Wzdychała, jaka to szkoda, że nigdy nie będę równie ładna jak amerykańskie dziecko. Raz, kiedy tak powiedziała, wstałam w nocy, poszłam do łazienki, którą z nią dzieliłam, wyjęłam jej protezy ze szklanki pianistego polidentu na umywalce i położyłam na najwyższej półce apteczki. Następnego dnia mama znalazła je po długich, gorączkowych poszukiwaniach.

– No, babciu – powiedziałam – czasami starsi ludzie zaczynają tracić rozum i chowają rzeczy w dziwnych miejscach. Widać i ciebie to spotkało. Jaka szkoda, że już nigdy nie będziesz młoda i bystra.

Sypialnia babci znajdowała się obok mojej i miałyśmy wspólną łazienkę połączoną z jej pokojem. Jej pokój był duży i słoneczny, ale zawsze zaciągała zasłony, ponieważ miała zaćmę i światło ją raziło. Siedziała w fotelu przez cały dzień, oglądając seriale „Tak kręci się świat” i „General Hospital”. Od czasu do czasu wrzeszczała na mnie, żebym coś jej przyniosła: szklankę wody, chustkę do nosa albo program telewizyjny i szkło powiększające.

Mój pokój miał jedno okno, ale kazano mi je zasłaniać, żeby meble nie wypłowiały od słońca. Ponieważ umeblowanie składało się z orzechowego łóżka o czterech kolumnkach i komody od Searsa, nie bardzo rozumiałam taką troskę. Niemniej robiłam, co mi kazano.

Nasza wspólna łazienka została zbudowana jako główna i miała dwie umywalki obok siebie. Lekarstwa babci, szklanka na protezy, krople do oczu i sole epsomskie zajmowały większość miejsca na blacie. Nie znosiłam korzystać z tej samej ubikacji co ona i wycierać rąk w ten sam ręcznik.

Mniej więcej w tym czasie zaczęłam pozwalać sobie na skromne akty buntu. Powoli zmieniał się mój stosunek do rodziny – już nie skupiałam się wyłącznie na tym, żeby ich zadowolić. Zamiast tego sama próbowałam szukać zadowolenia. Ponadto zaczęłam odczuwać zdrową pogardę dla wielu rzeczy, które przedtem po prostu akceptowałam, i rozwijać w sobie poczucie humoru, chociaż tylko ja śmiałam się z moich żartów. Czasami robiłam babci kawały, które doprowadzały mnie do histerycznego śmiechu, ale również wpędzały w kłopoty.

Na przykład babcia przejawiała krańcowo zaborczy stosunek do fotela stojącego w jej pokoju przed telewizorem. Nikomu innemu nie pozwalała tam usiąść, ponieważ twierdziła, że ułożyła poduszki „akurat” i nie chciała, żeby ktoś to zepsuł. Miałam lalkę prawie równie wysoką jak ja. Dostałam ją w prezencie gwiazdkowym i podobno potrafiła chodzić obok osoby, która trzymała ją za rękę. Mechanizm chodzenia nigdy nie działał, a lalka była za duża i nieporęczna do zabawy, więc leżała wepchnięta na dno mojej szafy.

Pewnego dnia, kiedy babcia była w łazience, posadziłam lalkę w fotelu przed telewizorem. Nałożyłam jej na głowę kosmaty czarny kapelusz mamy. Przekręciłam fotel tak, że tylko fragment lalki był widoczny z progu sypialni. Liczyłam, że przy swojej zaćmie babcia weźmie lalkę za mnie i pomyśli, że siedzę w jej fotelu. Schowałam się w jej szafie i czekałam.

Usłyszałam otwieranie drzwi łazienki i stukanie babcinej laski po podłodze. Otworzyła drzwi sypialni i stanęła, a ja obserwowałam ją przez czterocalową szczelinę w drzwiach szafy.

– Elizabeth! Natychmiast wstań z mojego fotela, młoda damo! Wiesz

doskonale, że nie wolno ci tam siadać. No i zrujnowałaś poduszki. Słyszysz mnie? Wstawaj, powiedziałam. Jeszcze nigdy nie spotkałam takiego podłego dzieciaka. Dostaniesz taką karę, że popamiętasz, panno Nieposłuszna.

Babcia wpadła w furję. Jej protezy zgrzytały i klekotały, kiedy wrzeszczała na lalkę. Zakryłam sobie usta, żeby nie wybuchnąć głośnym śmiechem. Pokuśtykała do fotela, uniosła laskę i walnęła lalkę w ramię, pomstując bez przerwy. Lalka chwiała się przez kilka sekund, zanim się przechyliła. Czarny kosmaty kapelusz spadł na podłogę, a lalka przewróciła się do góry nogami. Babcia wrzasnęła i rzuciła laskę. Wyskoczyłam z szafy, śmiejąc się do rozpuku.

Przybiegli rodzice i kiedy odkryli, co się stało, dostałam „lanie dla wypędzenia szatana”, jak to określiła babcia. Ale chociaż chodziłam obolała przez kilka dni, warto było pocierpieć.

Ponieważ świat babci kręcił się wokół telewizora, większość moich kawałów również go dotyczyła. Robiłam małe świństewka: zakradałam się do jej pokoju, kiedy wychodziła do łazienki – dość często – i zmieniałam kanał. Więc kiedy wracała, mamrotała coś do siebie, potem ponownie dźwigała się z fotela i kuśtykała do telewizora, żeby zmienić kanał z powrotem.

– Co to za świat? Ten zwariowany telewizor ciągle schodzi z nastawionego kanału. W tych dniach muszę wezwać mechanika.

W kościele babcia była miła i uprzejma na nieco kwaśny sposób, toteż ludzie wychwalali ją przede mną.

– Och, twoja babcia jest wręcz urocza! Siedzi na swoim specjalnym miejscu jak mała królowa. Na pewno bardzo kochasz babcię, prawda?

Zwykle nawet nie chciało mi się przytakiwać – tylko patrzyłam z niedowierzaniem na rozmówcę. Jak ktoś mógł kochać tę złośliwą, pomarszczoną starą wiedźmę?

\* \* \*

W stosunkach mamy z babcią dostrzegałam ten sam dramat dominacji i hańby rozgrywany z pokolenia na pokolenie. Po latach przypomniałam sobie obraźliwy, poniżający sposób zwracania się babci do mamy i zrozumiałam, że jej szykany wobec mnie w dużym stopniu stanowiły echo jej własnego dzieciństwa. Dopiero kiedy sama urodziłam córkę, zweryfikowałam swoją wiedzę o macierzyństwie. Chociaż Omma dawała mi miłość i akceptację, opuściła mnie zbyt szybko. Właśnie ten krótki okres czystej miłości służył mi za model macierzyństwa. Model był jednak niekompletny. Pozostały tylko drobiny ciepła, a reszty procesu musiałam się nauczyć sama.

\* \* \*

Raz na tydzień babcia brała pełną kąpiel. W sobotnie wieczory wchodziła do łazienki, zdejmowała ubranie i zostawiała w kupce na podłodze, żebym je pozbiierała. Potem trzymałam ją za ramię, kiedy wchodziła do wanny i siadała na plastikowym stołeczku. Opłukiwałam ją wodą z dzbanka, następnie mydliłam myjkę kostką mydła Palmolive. Myłam ją, poczynając od szyi i posuwając się w dół. Wyciągała w górę ramiona, żebym umyła jej pachy; unosiła się trochę, wsparta ciężko na moich barkach, żebym umyła jej pośladki. Jej zapach przyprawiał mnie o mdłości. Wstrzymywałam oddech, odwracałam oczy i co kilka sekund wykręcałam głowę, żeby zaczerpnąć łyk powietrza. Podczas kąpieli dogadywała:

– Tylko porządnie wyszoruj mi plecy. Ostatnim razem opuściłaś jedno miejsce. Stój spokojnie, kiedy się na tobie opieram. Upadnę przez ciebie, jeśli nie będziesz uważać. Tyłek mnie boli. Tylko opłucz go dokładnie. Nie bądź taka niezdarna.

Po kąpieli znowu opierała się na mnie, żeby wyjść z wanny. Za każdym razem,

kiedy się opierała, podczas kąpieli czy przy wsiadaniu i wysiadaniu z samochodu, wbijała paznokcie w zagłębienia moich barków i obojczyków. Babcia była kościstą kobietą, pomarszczona skóra zwisała fałdami z jej ciała. Była drobna, ale kiedy się na mnie opierała, ważyła co najmniej tonę.

W łazience wycierałam ją, usiłując odgrodzić własne dłonie od jej ciała kilkoma warstwami ręcznika. Bardzo uważałam, by nie dotykać jej zwiotczalej skóry. Czasami ta odraza, jaką czułam, odbijała się na mojej twarzy i babcia warczała:

– Co jest z tobą? Krzywisz się, jakbyś połknęła cytrynę.

Nakładała nocną koszulę i czystą bieliznę, stawiała przy umywalce i czyściła protezy. Podnosiłam koniuszkami palców jej brudne rzeczy i wkładałam do łazienkowego kosza, a potem musiałam znowu ich dotykać, kiedy robiłam pranie.

\* \* \*

Miałam mieszane uczucia wobec spraw ciała. Czułam odrazę do nagiego ciała babci, które musiałam regularnie oglądać. Wstydziałam się własnego ciała i pączkującej kobiecości. Wiedziałam, że moje ciało ma być świątynią Boga, więc nie czułam się jego właścicielką. Podczas komunii spożywaliśmy ciało i krew Pana, co dokładało kolejną warstwę do mojej piramidy cielesnych problemów.

Moje pierwsze doświadczenie z odkrywaniem własnego ciała, jego potencjału i wrażliwości zakończyło się groteskowo. Miałam około dziesięciu lat. W tym wieku nic nie wiedziałam o seksie. Rodzice oczywiście potępiali wszystko, cokolwiek wiązało się z fizyczną przyjemnością. Seks omawiano tylko w kontekście grzechów nieczystości i cudzołóstwa oraz straszliwej kary spadającej na każdego, kto dopuścił się tych występków. Pewnego ranka obudziłam się w łóżku i zaczęłam dotykać się na wpół sennie. Za mało wiedziałam o seksie, żeby podejrzewać w tym coś złego. Nigdy nie słyszałam słowa: „masturbacja”. Nigdy nie słyszałam słowa:

„lechtaczka”. Wiedziałam tylko, że było to nowe odczucie, więc chciałam zbadać je głębiej. Mama przysła wyciągnąć mnie z łóżka i zobaczyła, co robię. Skamieniała ze zgrozy, a ja oczywiście natychmiast się połapałam, że zrobiłam coś okropnego, ale jeszcze nie rozumiałam, jak bardzo okropnego. Mama i babcia zaciągnęły mnie do łazienki, kazały mi się rozebrać i wejść do wanny.

Przez cały czas obie na mnie krzyczały, że jestem brudna i odrażająca. Mama powtarzała: „Nie wstyd ci? Jak mogłaś zrobić coś takiego? Myślałam, że jesteś porządną chrześcijańską dziewczynką”. Przytrzymała mnie w wannie z rozwartymi nogami, żebym nie mogła złączyć kolan, a babcia odkręciła do końca kran z gorącą wodą.

Woda parzyła, potwornie bolało. Po kilku minutach pozwoliły mi wstać, a ja gorliwie przyrzekłam nigdy więcej nie robić czegoś tak złego.

Następny incydent miał miejsce w tym samym wieku. Wzięłam wieczorną kąpiel i posypałam się talkiem. Byłam czysta i nałożyłam ciepłą flanelową piżamę. Rozkoszowałam się zmysłowym wrażeniem czystości, miękkim dotykiem bawełnianej flaneli na skórze, wilgocią włosów skręconych od pary w łazience. Położyłam się do łóżka, a rodzice przyszedli wysłuchać mojej modlitwy. Po odmówieniu pacierza i życzeniach dobrej nocy wyrzuciłam z siebie, co czułam w tamtej chwili.

– Uwielbiam tak się czuć. Kocham czystość i ciepło. Podoba mi się, jak pachnę. Chciałabym wyjść za mąż, żeby mój mąż też mógł się tym cieszyć.

Pamiętam poczucie wdzięczności za zdolność odbierania takich wrażeń, radowania się własną skórą, włosami, zapachem i miękkością. Wiedziałam, że małżeństwo jest „świętym związkiem, ustanowionym przez Boga”, że pragnienie małżeństwa jest w porządku. Zresztą sami rodzice mówili, że celem bogobojnej młodej kobiety jest małżeństwo. Więc zdawało mi się, że dziękuję Bogu za moją przyszłość.



Tata jednak natychmiast zmienił się w oburzonego cenzora. Czy jestem lubieżna? Czy odczuwam nieczyste żądze?

Nie wiedziałam nawet, co to znaczy „lubieżna”, ale poczułam się winna i zbita z tropu. Zdumiewało mnie, że uczucie równie czyste i słodkie mogło tak rozgniewać rodziców. Powiedziałam:

– Nie, tato, nie jestem lubieżna. Chciałabym tylko wyjść za mąż.

Tata wygłosił zaimprovizowane kazanie: Dlaczego pragnę wyjść za mąż, chociaż jestem jeszcze małą dziewczynką? Dlaczego w ogóle myślę o takich rzeczach? I dlaczego skupiam się na własnym ciele? Nie powinnam w ogóle o tym myśleć. Nie powinnam przywiązywać takiej wagi do cielesnych przyjemności.

Więc znowu wiedziałam, że zrobiłam coś złego, powiedziałam coś złego i w dodatku czułam coś złego. Nawet moje uczucia były złe.

Dorastając w tym domu, codziennie poddawałam skrupulatnej ocenie swoje uczucia. Ponieważ, jak podkreślał tata, liczyło się to, co jest w naszych sercach. Bóg zna nasze serca i myśli, wedle których nas osądzi. Nie wystarczy postępować właściwie ani powstrzymać się od grzechu w czynach i słowach. Myśli również podlegają osądowi; zatem nie ma ucieczki od grzechu. Więc nawet ta chwila błogości z powodu ciepła, zapachu i miękkości mojej skóry okazała się złem.

Po długiej, gniewnej tyradzie tata kazał mi wstać z łóżka, uklęknąć i prosić Boga o przebaczenie za moje lubieżne myśli i przywiązanie do materialnego świata.

\* \* \*

Dzisiaj przedkładam bliskość drugiej osoby niemal ponad wszystko. Nie chodzi tylko o seksualną rozkosz. Chodzi o fizyczną bliskość; zmysłowa radość ciała dotykającego drugiego ciała to coś, czego nigdy nie mam dosyć. Nawet jako

dziecko nie rozumiałam, kiedy rodzice mówili o grzechach ciała i pożądania. Oboje powtarzali mi często, kiedy dorastałam, że nie interesują się seksem i ja też nie powinnam się interesować.

Zdumiewa mnie, że jako dorosła osoba jestem zauroczona seksem. Uwielbiam w nim wszystko; jestem wyjątkowo wrażliwa na świat fizycznych doznań, na związane z nim rozkosze i cierpienia, i gorąco wdzięczna za wszystkie odcienie fizycznych odczuć.

\* \* \*

W następnych latach babcia miała jeszcze kilka zawałów i coraz bardziej podupadała na zdrowiu. Wreszcie została przykuta do łóżka, zdolna jedynie kiwać lub kręcić głową. W dniu, kiedy umarła, jeden jedyny raz widziałam mamę płaczącą. Najpierw zdumiało mnie, że w ogóle jest zdolna do łez. Po drugie byłam zaskoczona, że oplakuje tak podłą osobę. Babcia i ja nigdy nie zbliżyłyśmy się do siebie; nie przypominam sobie ani jednej okazji, kiedy okazała mi miłość czy przynajmniej aprobatę.

Byłam w gimnazjum, kiedy babcia umarła, i przeżyłam chwilę czystej, niezmaconej radości, niemal natychmiast zabarwionej wyrzutami sumienia. Tłumiłam moje poczucie winy, tłumacząc sobie, że babcia jest teraz w niebie z Jezusem, więc mam prawo się cieszyć. Właściwie, wmawiałam sobie, cieszę się ze względu na nią. Rodzice mówili, że babcia przebywa wśród świętych. Mówili, że doświadcza wiekuistego szczęścia. Więc wywnioskowałam, że chyba nie szkodzi, że zatańczyłam na cmentarzu po jej pogrzebie.

## Rozdział 10

W wieku trzynastu lat zaczęłam miewać sny o lataniu. Zawsze zaczynały się w ten sam sposób: śniło mi się, że budzę się nagle w środku nocy w mojej sypialni. Stałam przy otwartym oknie w swojej flanelowej nocnej koszuli. Gwiazdy świeciły jasno; noc była ciepła i pogodna. Unosiłam się na palcach i wyfruwałam przez okno, a potem wzbijałam się wyżej i wyżej. Wzlatywałam w górę nad dachem naszego domu, nad drutami telefonicznymi, wysoko w roziskrzone nocne niebo. Czułam się podekscytowana i całkowicie szczęśliwa. Pikowałam z ramionami rozłożonymi szeroko jak skrzydła, szybowałam nad małym pustynnym miasteczkiem, potem nad wzgórzami na zachodzie. Włosy płynęły za mną, ożywczy zimny wiatr dmuchał mi w twarz. Mogłam polecieć wszędzie; mogłam zrobić wszystko.

Przelatywałam nad miasteczkiem, nad rozległymi połaciami pustyni, nad Los Angeles i przybrzeżnymi miejscowościami, aż do Pacyfiku. Po drodze pikowałam w dół, żeby musnąć palcami korony drzew, a czasami sfruwałam tuż nad ziemię, żeby zaglądać w okna miejskich domów. Nad oceanem szybowałam w prądach powietrza, czasami przekręcając się na plecy, żeby w locie patrzeć na księżyc.

Odwiedzałam różne kraje, zawsze tak realistyczne, tak bogate w szczegóły. Zatrzymywałam się w wybranych miejscach i lądowałam na ziemi, żeby lepiej się przyjrzeć. Za każdym razem, kiedy zobaczyłam małą dziewczynkę, lądowałam i próbowałam z nią porozmawiać, ale zwykle mówiła w niezrozumiałym dla mnie języku.

Sny o lataniu odchodziły i powracały przez lata, a gdy mi się nie śniły, miałam poczucie ogromnej straty. Wiele razy modliłam się o nie: „Proszę, Panie Boże, ześlij mi dzisiaj w nocy sen o lataniu”. Naprawdę to były najcudowniejsze

przeżycia, jakich doświadczyłam kiedykolwiek, we śnie czy na jawie, i wciąż za nimi tęsknię. Często już myślałam, że zaczyna się sen o lataniu, ale potem uderzałam w sufit albo zaplątywałam się w gałęziach drzewa i nie mogłam lecieć dalej.

Nie czułam strachu w tych snach i jedynie wtedy przestawałam się bać w nocy. Ciemność nadal mnie przerażała. Rodzice jednakże wciąż powtarzali, że strach oznacza brak zaufania do Boga, więc nie pozwolili mi mieć nocnej lampki ani zostawiać zapalonego światła. Według nich powinnam pokonać swoje lęki na chwałę Boga. Czasami budziłam się z krzykiem z koszmaru, a oni przybiegali do mojego pokoju zapytać, co się stało. Szczękając zębami, z głową mokrą od potu, powtarzałam tylko w kółko dwa słowa: „On przyjdzie. On przyjdzie”. To im się nie podobało. „Nikt nie przyjdzie. Nikogo tu nie ma oprócz twojego taty. Przestań odgrywać komedię i śpij”.

Irytowało ich, że kiedy mam koszmary, głowa mi się poci i moczy poduszkę. Co rano musiałam zmieniać powłóczkę.

Jedynie chwile w moim życiu, kiedy czułam się naprawdę bezpieczna, spędziłam na kolanach Ommy przed naszym małym domkiem w Korei. Siedziała na ziemi ze skrzyżowanymi nogami, opierając się o ścianę. Mościłam się na jej kolanach, opierałam kark o jej pierś, a ona opasywała mnie ramionami. Nosila stary *hanbok* z wytartej bawełny, wybluszczony w niektórych miejscach, miękki i otulający. Wsuwała dłonie w szerokie rękawy, prawą w lewy i na odwrót, więc w jej objęciach otaczał mnie nieprzerwany krąg miękkiej tkaniny z mocnymi ramionami Ommy w środku. Podciągałam kolana, a ona podtykała mi pod bosc stopy rąbek rękawów, żebym nie zmarzła.

Tak opatulona czułam się jak mała poczwarka w dopasowanym bawełnianym kokonie bezpieczeństwa i miłości. Czułam, jak pierś Ommy unosi się i opada w oddechu. Wiedziałam, że Omma spogląda na góry ponad moją głowę. Również

skupiałam się na nich przez chwilę, dopóki powieki nie zrobiły mi się ciężkie. Przepelniona rozkosznym poczuciem bezpieczeństwa, spokoju i zadowolenia, zasypiałam w jej ramionach. A odpływając w sen, czułam pocałunki lekkie jak motyle, którymi co jakiś czas muskała moje włosy.

\* \* \*

Mam przyjaciół, którzy pamiętają chodzenie do kościoła w dzieciństwie, ale żaden z nich nie rozumie, dlaczego religia zaciążyła tak złowieszczo na wszystkich moich wspomnieniach. Oczywiście moi rodzice nie przypominali żadnych innych, jakich znałam, a nasz dom nie przypominał żadnego innego chrześcijańskiego domu, jaki odwiedziłam.

Byli zelotami o stalowych oczach i zastygłych uśmiechach, wykutymi z tego samego kruszcu co męczennicy i krzyżowcy. Wrogiem był szatan, a zaraz po nim humanizm. Prawa osobiste nie istniały. W imię Boże można było popełniać okropne rzeczy.

Moi rodzice przypominali automaty. Nie mówili i najwyraźniej nawet nie myśleli niczego, co nie pochodziło z Biblii. Niezależne myślenie było złe, twierdzili, ponieważ powinniśmy tak dokładnie wypełnić nasze serca i umysły słowem Bożym, żeby nie wystarczyło miejsca na żadną inną myśl – idea, którą uznałam za głęboko klaustrofobiczną.

– Ale tato, dlaczego wierzymy we wszystko w Biblii? – rzucałam wyzwanie. – A jeśli coś źle zapisano? A jeśli ludzie sami wymyślili różne rzeczy?

– Ludzie, którzy spisali Biblię, byli natchnieni przez Boga, więc każde słowo zostało bezpośrednio przeniesione z umysłu Boga do rąk piszących. Wierzymy w Biblię jako całość.

– Dlaczego?

- Ponieważ Bóg każe nam wierzyć.
- Ale skąd wiemy, że Bóg naprawdę tak kazał?
- Ponieważ Biblia tak mówi.

Czasami czułam się tak sfrustrowana tymi bezsensownymi odpowiedziami, że miałam ochotę wrzeszczeć. Ale ponieważ nie pozwalano mi nawet płakać, nie mówiąc o wrzaskach, przelykałam gniew i przybierałam obojętną minę.

Oto siedzimy w salonie, trzy zaprogramowane przez Biblię roboty. Rodzice spoczywają w fotelach, a ja zwinęłam się w kłębek w rogu sofy i przebieram frędzle leżących tam poduszek. Czasami wyobrażam sobie, co by było, gdybym wstała i głośno wyraziła swoje myśli. „Dlaczego nie wolno %

mi myśleć samodzielnie? Dlaczego uważacie, że wiecie wszystko? Może nie wiecie!”.

A kiedy oglądam w wyobraźni ten kataklizm, tata modli się głośno, a mama odpowiada jako chór.

– Panie Boże, wybacz nam wszelkie wątpliwości wobec Twojego świętego słowa.

– *Wybacz nam, Panie.*

– I oczyść nasze umysły i serca ze wszystkich światowych myśli, abyśmy byli równie święci jak ty.

– *Spraw to, Jezu.*

– I nie dopuść, byśmy wpuścili szatana do naszego życia.

– *Och, błagamy cię, Panie.*

– Gdyż Ty jeden możesz nas zbawić. A my chcemy dzielić Twe cierpienie i hańbę, by pewnego dnia dzielić Twą chwałę i zasiadać po Twojej prawicy.

– *Tego chcemy. Tak, Panie.*

– I obdarz Elizabeth czystym sercem, i tchnij w nią prawą duszę.

– *Och, przekuj ją na chrześcijańskie podobieństwo, Panie.*

Potem przychodziła moja kolej na modlitwę, stosownie długą, wystarczająco żarliwą, zawierającą wymaganą dawkę pokory i werbalnego samobiczowania, żeby zadowolić rodziców i żeby pozwolili mi pójść spać.

– Panie Boże, proszę, wybacz mi, że zważyłam w Twoje święte słowo. Proszę, wybacz mi, że pozwoliłam szatanowi podważyć we mnie wiarę w Biblię. Proszę, wybacz mi, że niegrzecznie odpowiadałam mamie i tacie i dęsałam się dzisiaj rano. Pomóż mi być lepszą dziewczynką. W imię Jezusa Chrystusa, amen.

Kiedy wreszcie kładłam się do łóżka, z dala od moich rodziców i Biblii, czułam ogromną ulgę. W mroku własnej sypialni mogłam snuć własne myśli – nawet jeśli się bałam, że stanowią bluźnierstwo i przez nie pójde do piekła – mogłam marzyć, śnić na jawie, uciekać do własnego wymyślonego świata.

W swoim świecie na niby naśladowałam fantazje, jakie tworzyłyśmy wspólnie z Ommą: uciekałam i mieszkalam gdzieś wśród zielonych wzgórz, gdzie miałam dużo przyjaciół i dużo miłości. Najbardziej lubiłam marzenie, w którym jakiś mężczyzna pukał do drzwi i oświadczał, że moja adopcja okazała się wielkim nieporozumieniem: on jest moim prawdziwym ojcem, ale wcześniej nie mógł po mnie przyjechać. Zabierał mnie do Anglii, gdzie miał posiadłość na wsi, z wielkim ogrodem. Uczył mnie jeździć konno. Miał kucharkę i gospodynię, która mnie uwielbiała. Codziennie piłam z nim popołudniową herbatę w ogrodzie, a w końcu dorosłam i zostałam słynną aktorką szekspirowską.

\* \* \*

Niestety zawsze budziłam się z tych snów, a jeśli miałam pecha, budziłam się w niedzielę.

W niedzielę wstawałam o siódmej. Szkółka niedzielna rozpoczynała się o wpół do dziesiątej, a ja uczyłam tam, odkąd poszłam do gimnazjum. Po śniadaniu i

zmyciu naczyń ubierałam się do kościoła i przeglądałam swoją lekcję do szkółki niedzielnej – nigdy nie poświęcałam czasu na ich przygotowanie, jak sądził tata, jego aprobatą zaś wtedy już znaczyła dla mnie coraz mniej.

Grałam na fortepianie podczas „ćwiczeń wprowadzających”, kiedy wszystkie klasy szkółki niedzielnej gromadziły się razem na piętnaście minut śpiewania hymnów i modlitwy, zanim rozeszły się do oddzielnych pomieszczeń.

Potem zabierałam swoją nieliczną klasę pierwszo – i drugoklasistów do naszej sali, gdzie graliśmy w różne gry. Zwykle opowiadałam im bajkę, ilustrując ją wyciętymi z filcu figurkami na filcowym tle, a potem pozwalałam im samym opowiadać bajki i bawić się filcowymi ludzikami. Dyscyplina nie istniała, a religijną część zajęć starałam się ograniczyć do minimum.

O dziesiątej trzydzieści kończyła się szkółka niedzielna. Potem musiałam nałożyć swoją szatę chórzystki, ustawić poranne nuty na fortepianie i przygotować się do nabożeństwa. Co tydzień grałam inne preludium, zwykle coś Bacha lub Chopina, kiedy wierni zbierali się w świątyni. Zawsze złościło mnie, że nikt nie zwraca uwagi na muzykę, nad którą pracowałam bardzo ciężko przez cały tydzień. Podczas nabożeństwa siedziałam przy fortepianie na oczach całej kongregacji. To znaczy, że przez pełną godzinę musiałam wyglądać słodko i po chrześcijańsku, i na zainteresowaną kazaniem. Kiedy byłam starsza, od czasu do czasu opadała ze mnie idealna fasada; czasami nie zadawałam sobie fatygi, by stłumić ziewania czy ukryć nudę.

Po kościele zwykle odbywała się „przekąska”, kiedy pomagałam nalewać kawę i herbatę. Potem zawsze pomagałam zmywać w kuchni. Mamie nigdy nie udało się zmyć ani jednego naczynia.

Zdumiewało mnie, ile darmowej pracy kościół wyciska od swoich członków, a zwłaszcza członkiń. Koteria około dziesięciu kobiet w naszym kościele harowała jak woły: gotowały i piekły na kościelne spotkania, zmywały naczynia, układały



kwiaty, kroily i zszywały koldry dla misjonarzy. Nikt jednak specjalnie tego nie doceniał. Po pobożnej kobiecie spodziewano się takiego poświęcenia.

W duchu szydziłam z rywalizacji członkiń naszego kościoła o żalosne okruchy chwały. Dokładkę czyjego ciasta wziął pastor, czyje naczynie z zapiekanką wyskrobano do czysta, czyją tacę kanapek ustawiono z przodu przed innymi – te błahostki były sprawą życia i śmierci dla Kobiecego Stowarzyszenia Misyjnego.

Te panie na ogół były bardzo słodkie, niektóre nawet miłe dla mnie. Jedna z nich, wdowa imieniem Helen, traktowała mnie z życzliwością, jakiej nigdy nie zaznałam we własnym domu. Marzyłam nawet, że mama umarła – pokonana przez migrenę czy inną dolegliwość – i tata poślubił Helen. Piekłybyśmy razem ciasta i zabierałyby mnie na zakupy, i nie karałyby mnie, gdybym nie zasłała łóżka w idealny prostokąt.

Zawsze się zastanawiałam, co Helen robi w tym kościele. Śmiała się często i głośno, a czasami mrugała do mnie, kiedy inne kobiety klóciły się, czyją aranżację kwiatową ustawić na pulpicie. Słyszałam, jak inne szeptały o Helen: była kobietą „rozwiązań” – pewnie dlatego, że wyjeżdżała na weekendy z przyjaciółmi, nosiła spodnie i malowała usta czerwoną szminką do kościoła i paliła papierosy na parkingu.

Raz w roku, na Dzień Matki, nabożeństwo poświęcano kobietom w kościele. Co znaczyło, że z Biblii odczytywano Przypowieści: XXXI „Któż znajdzie niewiastę stateczną, gdyż nad perły daleko większa jest cena jej? Serce męża jej ufa jej, a na korzyściach schodzić mu nie będzie. Dobrze mu czyni, a nie źle... „. Cnotliwa kobieta to taka, która ciężko pracuje, nigdy się nie skarży, okazuje posłuszeństwo Bogu i mężczyznom w swym życiu oraz zachowuje czystość ciała i myśli.

Za to została nagrodzona jednym nabożeństwem w roku na jej cześć, kiedy mogła nosić biały goździk i nawet otrzymać bukiet róż, jeśli urodziła więcej dzieci

niz jej siostry w kongregacji. Potem podawała lunch i sprzątała po zakończeniu uroczystości.

\* \* \*

Powiedziano mi, że pobożna kobieta wyrasta z pobożnego dziecka, co oznacza zbawianie dusz w jak najwcześniejszym wieku.

Według moich rodziców jeśli ktoś, kogo znałam, poszedł do piekła, na mnie spada odpowiedzialność. Moim obowiązkiem było przyprowadzić moich przyjaciół do Boga i wiedziałam, że jeśli zawiodę, będą cierpieć przez wieczność. Co wieczór po rodzinnym czytaniu Biblii padało sakramentalne pytanie: „Czy przyprowadziłaś swoich małych przyjaciół do Pana naszego, Chrystusa? Bo jeśli umrą bez Boga, spędzą wieczność w piekle i to będzie twoja wina”.

Co tu mówić o presji: Teraz moim zadaniem było nie tylko uszczęśliwić wszystkich dookoła i sprawić, żeby Jezus Chrystus był ze mnie dumny, zadowolić Boga i rodziców – na moich barkach spoczywało również wieczne zbawienie wszystkich znajomych.

Wśród tych niewielu dzieciaków, które w ogóle chciały się ze mną zadawać, była rudowłosa dziewczynka imieniem Brenda. Kiedy przeszłam do szóstej klasy, zaczęłam chodzić do szkoły pieszo, gimnazjum bowiem znajdowało się zaledwie kilka mil od naszego domu, nie musiałam więc jeździć autobusem szkolnym. Brenda mieszkała dwie przecznice od nas i byłyśmy w tej samej klasie, więc codziennie razem chodziłyśmy do szkoły i z powrotem. Lubiłam Brendę i nie chciałam, żeby przez wieczność smażyła się w piekle, więc próbowałam zbawić jej duszę.

Pewnego dnia po szkole odwiedziłam ją w domu. Zabrałyśmy szklanki lemoniady do jej pokoju, usiadłyśmy na łóżku i rozmawiałyśmy o różnych

rzeczach. Wreszcie zebrałam się na odwagę i palnęłam:

– Brenda, pójdziesz do piekła, jeśli nie przyjmiesz Jezusa Chrystusa za swojego zbawiciela. Czy chcesz zaprosić Jezusa do swego serca?

Brenda siedziała na łóżku w spódnicospodniach i swetrze i gapiła się na mnie dziwnym wzrokiem. Powiedziała, że jej rodzina to Żydzi i że nie jest zainteresowana.

Ostrzegłam ją, że naraża swoją nieśmiertelną duszę.

Wyszłam kilka minut później – nie zbawiwszy Brendy – i wróciłam do domu. Już nigdy nie powróciła nasza dawna zażyłość. Odtąd Brenda unikała mnie i sama chodziłam do szkoły. Rodzice powiedzieli, że za mało się starałam. Oświadczyli, że na Sądzie Ostatecznym, kiedy „zabrzmie ostatnia trąba i zmarli w Chrystusie powstaną pierwsi”, będę musiała stanąć przed Bogiem i wyjaśnić, dlaczego Brenda jest w piekle i dlaczego nie przyprowadziłam jej do Pana. Jeszcze bardziej pogłębili moje poczucie winy, dodając: „Jej krew spadnie na twoją głowę”.

Strata jedynej przyjaciółki złamała mi serce. I daremnie próbowałam usprawiedliwić się przed rodzicami. Nie obchodziło ich, że Brenda jest Żydówką – a nawet, skoro należała do „narodu wybranego”, który odrzucił Mesjasza, zbawienie jej duszy stanowiłoby jeszcze większe osiągnięcie.

Rzekomo powinnam posiadać moc, żeby doprowadzić wszystkich znajomych do zbawienia. Ale nie wiedziałam, w jaki sposób można pogodzić tę wiarę z wiarą w predestynację. I nigdy nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego to moja wina, skoro oni i tak już byli predestynowani do piekła.

Od czasu do czasu pytałam nieśmiało o buddyzm, szukając strzępka pociechy dla mojej matki.

– Buddyzm to miła religia, nie sądzicie? Spokojna. Wierzy w bycie dobrym, jak Jezus. Nie uważacie za możliwe, że buddyści pójdą do nieba?

Tata zawsze odpowiadał twardo:

– Buddyści będą smażyć się w piekle przez całą wieczność, tak jak wszyscy, którzy nie przyjęli Jezusa za swego zbawiciela. Bycie dobrym czy miłym nie ma znaczenia. Najlepsi i najmiłsi ludzie bez Chrystusa pójdą do piekła.

Kontrast pomiędzy buddyzmem mojej matki a fundamentalistycznym chrześcijaństwem rodziców był uderzający. W tym pierwszym nie musiałeś nic robić, w tym drugim harowałeś bez końca. Omma nigdy nie kazała mi w nic wierzyć; mogłam śpiewać razem z nią albo nie, jeśli wolałam się bawić, mogłam medytować razem z nią albo iść spać. Po prostu była i po prostu pozwalała mi być. Jeśli wierzyła w cokolwiek, to chyba w niezaprzeczalną słusność życia. Nie wiem, czy wierzyła w reinkarnację, czy wierzyła w Boga. Odprawiała małe rytuały tylko na swój użytek.

Wiara moich rodziców wymagała czujności dwadzieścia cztery godziny na dobę. Czytali mi List św. Piotra: „Trzeźwymi bądźcie a czujcie; albowiem przeciwnik wasz diabeł krąży jako lew ryczący, szukając, kogo by pożarł”. Wymóg czujności dotyczył nie tylko własnej duszy, ale także innych ludzi. Praca nie miała końca i nawet największe starania czasem nie wystarczały. „Wielu jest powołanych – powiada Biblia – ale niewielu jest wybranych”.

W soboty musiałam odbywać „wizyty domowe”. Zamiast zostać w domu i oglądać kreskówki, wstawałam wcześniej i ubierałam się jak do kościoła. Kilkoro najbardziej zagorzałych krzewicieli ewangelii spotykało się w kościele o ósmej na kawę i omówienie strategii. Tata, który wówczas piastował stanowisko pastora, dowodził atakiem.

Rozłożywszy na stole plan ulic, zbieraliśmy się dookoła i planowaliśmy, jak podzielić nasze miasteczko i zwyciężyć. Potem, trzymając się za ręce, odmawialiśmy modlitwę, prosząc Boga, by dotknął serc ludzkich i przygotował żyzną glebę pod nasz siew „nasienia słowa Bożego”. Jako nastolatka zmieniałam tekst modlitwy i dla zabawy mówiłam „nasienia Bożego”. Nikt nigdy nie zauważył

nic dziwnego w tej mojej frazeologii.

Potem wyruszaliśmy. Tata i ja zawsze jeździliśmy razem odrapaną żółtą kościelną furgonetką. Dla mnie poranna wizyta domowa była udana, jeśli nikt nie otwierał. Wstrzymywałam oddech, podchodząc do każdego domu i bezgłośnie odmawiałam moją sobotnioporanną mantrę: „Proszę nie bądź w domu proszę nie bądź w domu”. Okropne było, kiedy drzwi się otwierały. A jeszcze bardziej okropne, kiedy drzwi otwierało inne dziecko. Ściskając Biblię w spoconych dłoniach, mówiłam:

– Cześć. Jak leci? Przyszłam cię zaprosić na nabożeństwo w naszym kościele.

Szkolono nas, jak odpowiadać na każde ewentualne słowa wizytowanego:

– Jestem już członkiem kościoła.

– Świetnie! Którego? Ponieważ to ważne, żeby pani/pana kościół nauczał Słowa Bożego w całości i żeby nauczał zbawienia przez Jezusa Chrystusa.

– To mnie nie interesuje.

– Naprawdę? Nie interesuje pana/panią możliwość wyboru pomiędzy wiecznym potępieniem a wieczną chwałą po prawicy Boga? Ponieważ bez Chrystusa jest pan/pani zgubiony/a na wieczność.

– Wynoś się z mojej posesji.

– Nie zatwardzaj serca swego przeciwko Panu, przyjacielu.

Jeśli taty nie było w zasięgu słuchu, po prostu zapraszałam ich do kościoła, przepraszałam, że przeszkadzam, i wynosiłam się jak najszybciej.

Może jedna wizyta na miesiąc „wydawała owoc”, jak to nazywał nasz mały zespół zbawicieli dusz. Od czasu do czasu ktoś rzeczywiście przyjmował zaproszenie i przychodził do kościoła w następną niedzielę.

\* \* \*

Przez całe życie fundamentalistyczne chrześcijaństwo sprawiało mi wielkie kłopoty, ponieważ jest pełne sprzeczności. Nie ma sensu. Nawet w tym wieku nie potrafiłam pogodzić zaprzeczających sobie nawzajem twierdzeń: „Serce jest zdraдлиwe i ponad wszystko zepsute” z jednej strony i „człowiek został stworzony na boskie podobieństwo” z drugiej. Więc zastanawiałam się: czy to znaczy, że serce Boga jest zdraдлиwe i ponad wszystko zepsute?

A teoria predestynacji stała w całkowitej sprzeczności z ewangelicznym zapalem. Poza tym fragmenty Biblii, które traktowaliśmy dosłownie i według których żyliśmy, wydawały mi się wybrane zbyt arbitralnie, zwłaszcza jeśli chodziło o Stary Testament. Wyłożono tam tak wiele zasad, a my wcale nie przestrzegaliśmy wszystkich.

Na przykład miesięczkujących kobiet nie wypędzano poza granice miasta, jak robiono w czasach biblijnych. Ale pewne rzeczy w Starym Testamencie, zwłaszcza dotyczące homoseksualizmu, fundamentalistyczni chrześcijanie przejęli z absolutnym przekonaniem. Więc kto decyduje, które rzeczy w Starym Testamencie są istotne, a którym odebrała znaczenie śmierć Chrystusa? Rodzice wytłumaczyli mi, że nie trzeba już składać krwawych ofiar jak w Starym Testamencie, ponieważ kiedy Chrystus przyszedł, swoją ofiarą raz na zawsze odkupił nasze grzechy. Okay, pomyślałam, *W3*

świetnie. Ale wciąż przestrzegaliśmy wielu nakazów ze Starego Testamentu, a wiele pomijaliśmy. Kto ustalał reguły?

Kolejna sprawa, która nie dawała mi spokoju, to nauki świętego Pawła z Nowego Testamentu. Nie lubiłam Pawła jako dziecko i umocniłam się w tej antypatii jako nastolatka. Paweł, myślałam, był mizoginistycznym, wrednym, zadufanym świrem. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego rodzice go szanują. Racjonalizowali niektóre jego nauki, na przykład zasadę, że kobiety powinny zachowywać milczenie. No, kobiety w naszym kościele z pewnością nie

zachowywały milczenia, a najmniej mama. Więc chociaż uważałam całą filozofię Pawła za bzdury, nie rozumiałam, dlaczego – skoro uznajemy Nowy Testament *in toto* – nie przestrzegamy tej reguły.

Rodzice wyjaśnili, że Paweł mówił do pewnego rodzaju kobiet w szczególnym czasie, kiedy istniały wielkie problemy. Ale to samo można powiedzieć o każdym twierdzeniu z Biblii. Z którejkolwiek strony do nich podejść, wciąż nie miały sensu. Nigdy nie łączyły się w logiczny sposób. Zawsze, kiedy dochodziłam do tego punktu w rozumowaniu, tata odpowiadał, że musimy przyjmować te rzeczy na wiarę.

Więc przyjmowałam. Chociaż fundamentalistyczne chrześcijaństwo stanowiło dla mnie absolutną kwintesencję mętnego, nielogicznego myślenia, przyjmowałam wszystko na wiarę. Czynniki strachu działał tak mocno, że nawet jeśli nie mogłam czegoś przyjąć całym sercem, starałam się ze wszystkich sił, żeby tylko nie spędzić wieczności w jeziorze ognia, torturowana przez legiony demonów szatana.

\* \* \*

Nie było ucieczki przed wszechwidzącym okiem Boga. Religia przenikała absolutnie wszystkie dziedziny naszego życia. Nawet coś tak trywialnego jak pójście do McDonalda stawało się próbą ognia.

Nie znośłam chodzić z rodzicami do restauracji, bo zawsze musieliśmy modlić się przed jedzeniem. Nieważne, czy jedliśmy publicznie, czy w domu, tata zawsze mówił równie głośno, modlił się równie elokwentnie, składaliśmy ręce i twarz płonęła mi z zażenowania. Wszyscy w lokalu gapili się na nas. Mieszkaliśmy w małym miasteczku, więc dokądkolwiek poszliśmy, zawsze musiałam natknąć się na znajomych. Ci oczywiście rechotali szyderczo, ja się skręcałam, a rodzice mówili, że to zaszczyt znosić wstyd dla Chrystusa.

To był dla mnie kolejny dylemat. Dlaczego wstyd miał być powodem do dumy? „Dziękuj Bogu – mówili rodzice – jeśli ludzie wyśmiewają cię lub lżą na chwałę Pana”.

Na przykład, musiałam się ubierać i czesać niegustownie, a kiedy próbowałam protestować, rodzice mówili, że powinnam być dumna, iż znoszę wstyd dla Chrystusa i dzielę Jego cierpienie.

Chociaż nigdy nie wyjaśnili, w jaki sposób moja brzydka sukienka przyczynia się do Jego chwały.

\* \* \*

Nie tylko śmiertelnie bałam się Boga, bałam się również Jego domu.

Nienawidziłam budynków kościelnych i wstydziłam się takich uczuć – przecież to była świątynia Boga. Nasz kościół rozplanowano z prostotą: dwa rzędy ławek, z przodu ołtarz, za nim podwyższenie i baptysterium. Kościół cuchnął wilgocią i kurzem. Stolarka błyszczała, wytarta przez wiele rąk w ciągu wielu lat, a ciemnoczerwone poduszki w ławkach były wystrzępione i wyboiste.

Co niedziela po porannym nabożeństwie do moich obowiązków należało przejść między ławkami, pozbierać śmieci pozostawione przez wiernych, ułożyć prosto śpiewniki z hymnami i zapiąć wszystko na ostatni guzik. Jeśli w niedzielę odbywała się komunia, musiałam umyć i wytrzeć chyba setkę małych szklaneczek z osadem soku winogronowego. Cienkie krakersy i sok winogronowy przedstawiały ciało i krew Pana.

Czasami, jeśli nikt nie patrzył, pociągałam łyk soku winogronowego Welcha prosto z butelki. Czułam się zepsuta do szpiku kości, ale również podniecona i rozweselona. Powiedziałam mojemu jednemu przyjacielowi: „Hej, wiesz, co dzisiaj zrobiłam? Łyknęłam krwi Pana, człowieku”.



\* \* \*

Jedyne, co lubiłam w kościele, to śpiewanie hymnów. Wiele z nich stanowiło dla mnie prawdziwą pociechę i śpiewałam je sobie w kółko:

*Gdy spokój jak rzeka  
Przepłynie mi drogę,  
Gdy smutki wzbierają jak morskie fale,  
Cokolwiek mnie czeka,  
Tyś ze mną, więc powiem:  
Moja dusza nie lęka się wcale.*

Fundamentalistyczni chrześcijanie „walczą w modlitwie”, co znaczy, że modlą się, modlą i modlą, aż poczują, że otrzymali odpowiedź. Robiłam to wiele razy: na kolanach, dobijając się do bram nieba. Pragnęłam spokoju, który zsyłał Bóg, jak wszyscy mówili. Chciałam wiedzieć, że jestem zbawiona. Chciałam poczuć, że napełnił mnie Duch Święty.

*Bądź przy mnie, Panie Jezu, proszę o to Ciebie, Zostań ze mną na zawsze i w każdej potrzebie, Ześlij na wszystkie dzieci łaskę Twojej opieki, Dozwól nam mieszkać z Tobą w niebiosach na wieki.*

Nigdy nie rozumiałam, jak Jezus – taki łagodny, taki współczujący – może pozwalać, żeby dzieci tak cierpiały na łasce Jego opieki. Przychodziło mi do głowy tylko jedno wyjaśnienie: że to Bóg Ojciec kręci całym interesem, a Jezus, chociaż Syn Boży, w rzeczywistości posiada bardzo mało władzy. Całą miłość, ale mało władzy.

Nieustannie miałam przed oczami dowody surowości Boga Wszechmogącego.

Ojciec w niebiosach, którego znałam, był Bogiem zemsty. To on zmienił żonę Lota w słup soli tylko dlatego, że obejrzała się na swoje miasto. To on zmusił ojca, żeby złożył własną córkę w ofierze, tylko żeby dać mu nauczkę. To on zniszczył cały świat potopem i uratował tylko rodzinę Noego. To on odebrał mi Ommę.

\* \* \*

Dla dziecka wola Boga przejawiała się we władzy rodziców. Dla żony wola Boga przejawiała się w życzeniach męża. W każdym przypadku kobieta, a tym bardziej mała dziewczynka, nie miała żadnych praw. Pod tym względem moje amerykańskie życie nie różniło się od życia Ommy w Korei. Nie dawano mi żadnej swobody w tym domu. W deszcz czy śnieg, świątek czy piątek, w zdrowiu czy chorobie oczekiwano ode mnie wypełniania pewnych obowiązków. Kiedy miałam dwanaście lat i zachorowałam na grypę żołądkową, zapytałam mamę, czy mogę wcześniej pójść do łóżka tego wieczoru. Mdlilo mnie i czułam się słabo. Mama odparła, że nie pójde do łóżka, dopóki nie pozmywam po kolacji i nie zamiotę kuchni jak zwykle. Powiedziałam jej, że naprawdę jestem chora i nie mam siły stać przy zlewie i zmywać naczynia.

Ponieważ głównym celem mojego życia było zadowolić rodziców i Boga, żeby nie trafić znowu do sierocińca i/albo do piekła, miałam nadzieję, że mama mi uwierzy. Nigdy nie próbowałam wykręcać się od pracy. Rzadko się skarżyłam. Nigdy o nic nie prosiłam – nie przyszło mi do głowy, żeby poprosić. Ale ona była niewzruszona.

Więc stałam przy zlewie i zmywałam, przez cały czas czując gorączkę i mdłości. Ledwie zdążyłam umyć ostatni talerz i wstawić do suszarki, kiedy zaczęłam wymiotować. Nie mogłam się powstrzymać. Obrzygałam cały zlew, czyste naczynia i blat kuchenny. Mama była wściekła; uznała to za rozmyślną

złośliwość i bunt.

Nie tylko dostałam porządne lanie, ale musiałam posprzątać bałagan, jeszcze raz zmyć naczynia i wyszorować kuchnię lizolem, zanim poszłam spać.

\* \* \*

Był taki muzyczny gniot, który moi rodzice uwielbiali, pod tytułem „Piosenka szkółki niedzielnej”. Uważali, że „działa na młodzież”. Należałam do młodzieży, więc wiedziałam, że to bzdura. Ale oni chcieli, żebym wykonywała tę piosenkę na młodzieżowych zebraniach. Mieli wizję, że podróżuję po całym kraju, natchniona młoda azjatyckoamerykańska muzyczna ewangelistka, wyśpiewując „Piosenkę szkółki niedzielnej” przed chrześcijańskimi nastolatkami o czystych sercach. Prosiłam i błagałam, ale oni byli nieugięci.

Więc wykonywałam piosenkę – razem z energicznymi gestami, które ilustrowały kolejne zwrotki. Robiłam z siebie kompletną idiotkę. Stałam na scenie, spocona i drżąca, i marzyłam o śmiertelnym ataku serca albo żeby rozpoczął się Armagedon – cokolwiek, byle położyło kres mojej męczarni. Nienawidziłam rodziców, którzy skazali mnie na te tortury.

Melodia była prymitywna; słowa były bzdurne:

*Przyjdźcie do szkółki niedzielnej i bawcie się wesoło.*

*Starzy i młodzi, każdy tutaj przychodzi.*

To był tylko refren. Piosenka składała się z kilku zwrotek, a każda streszczała jakąś historię z Biblii w mdląco prymitywnych rymach.

Po pierwszym występie powiedziałam rodzicom, że piosenka jest bezdennie głupia, że czuję się upokorzona i że jej nienawidzę. Tata był zaszokowany moją

postawą.

– Chcesz mi powiedzieć, że Jezus zgodził się umrzeć za twoje grzechy, ale ty nie zgadzasz się zaśpiewać dla niego piosenki? Jego wyszydzano i wyśmiewano, kazano mu nosić cierniową koronę, a ty narzekasz z takiego powodu? Wiesz, że Biblia powiada, żeby pilnować swojego zbawienia. Myślę, że powinnaś trochę się pomodlić o swoje zbawienie. Klęknij i powiedz Jezusowi, że nie kochasz go dostatecznie, żeby zaśpiewać dla niego jedną małą piosenkę.

Och, proooszę, pomyślałam.

– Przepraszam – powiedziałam.

Musiałam występować w kościele prawie co tydzień, albo śpiewając solo, albo grając na fortepianie. Rodzice nigdy nie okazywali, że podobają im się moje popisy, ale zmuszali mnie do występów niedziela po niedzieli. Podczas jazdy samochodem z kościoła do domu czekałam na jakąś pochwałę, jedno dobre słowo, ale nigdy się nie doczekałam.

Czasami pytałam:

– Czy solo było okay?

Nigdy nie dostałam takiej odpowiedzi, jakiej pragnęłam.

– No, twój głos brzmiał cienko i nie nawiązałaś dostatecznego kontaktu wzrokowego z publicznością. I dlaczego nie zagrałaś Bacha podczas zbiórki? Nie ćwiczyłaś tych kawałków w ciągu tygodnia?

Zawsze w końcu przepraszałam.

– Wiem. Nie poszło mi za dobrze. Przepraszam.

Rodzice wymieniali spojrzenia, kręcili głowami i jechaliśmy dalej w milczeniu.

## Rozdział 11

W naszej małej mieścinie odstawałam od reszty jak bolący palec. Dzieciaki w gimnazjum miały nazwę dla tego, czym byłam: żółtaczka. Miałam jedną przyjaciółkę, Lenore, również skazaną na ostracyzm, ale z innego powodu – była zbyt inteligentna jak na dziewczynę. Lubiała matematykę i nauki ścisłe; zamierzała uzyskać tytuł doktorski. W miasteczku, gdzie szczytem marzeń dorastającej panienki było poślubienie kapitana szkolnej drużyny futbolowej i cotygodniowe wyprawy na zakupy do Searsa, Lenore traktowano jak dziwoląga.

Poznałam ją w szkolnej stołówce pierwszego dnia nauki w siódmej klasie. Siedziała sama i czytała. Przeszłam obok niej w drodze do wolnego miejsca, a ona uniosła wzrok i uśmiechnęła się.

– Dobrze pachniesz – powiedziała. – I masz takie fajne dzikie włosy.

Doznałam wstrząsu – po raz pierwszy usłyszałam komplement dotyczący mojego wyglądu.

Usiadłam obok niej i po pięciu minutach gadałyśmy jak najęte, wygłaszając zjadliwe komentarze na temat otaczającego nas bezmózgiego tłumu zarozumialców.

W moich oczach Lenore stanowiła ideał. Miała blond włosy i oczy błękitne jak niebo. Żartowała ze swoich długich „bocianich nóg” i prostych włosów. Dałabym sobie odciąć prawą rękę za jedno czy drugie. Mówiła, że jestem interesująca, zabawna i błyskotliwa. Mówiła, że jestem ładna i „egzotyczna”. Ubóstwiałam ją.

Mojego pierwszego dnia w gimnazjum jeden z ósmoklasistów ogłosił w jadalni:

– Hej, wiecie, że u żółtków baby mają dwie cipki? To dlatego, że wszystkie to kurwy i wszystkie są biedne, więc obsługują dwóch facetów naraz.

Jadalnia eksplodowała śmiechem.

Ta etykieta przylgnęła do mnie na resztę gimnazjum. Ktoś nawet napisał w moim albumie pamiątkowym z ósmej klasy: „Dla fajnej żółtej laski, nawet jeśli ma dwie wiecie co”. Lenore skwitowała to jednym miażdżącym komentarzem. „To kretynka – powiedziała. – Nie warto się nią przejmować”.

\* \* \*

Więc znalazłam przyjaciółkę, ale chłopcy to zupełnie inna historia. W siódmej klasie zadurzyłam się po uszy w chłopcu, który był seniorem w szkole średniej i prezesem naszego kościelnego kółka młodzieżowego. Miałam obsesję na punkcie książek i zakładałam, że rzeczy, które mnie poruszają, zrobią wrażenie również na innych. W tamtym okresie czytałam „Małe kobiety” i byłam zakochana w Jo. Uważałam, że Betty to tchórzliwa beksa, Amy to wredna smarkula, a Margaret to afektowana kołtunka, ale Jo była doskonała. Jo mówiła takim żywym stylem; zakładałam, że skoro tak bardzo ją lubię, zrobię wrażenie na każdym, kogo lubię, ponieważ tak bardzo ją przypominam.

Jak na ironię chłopiec, który mi się podobał, miał na imię Joe. To wydawało się niemal zbyt piękne.

Więc pewnej soboty wszyscy pojechaliśmy na wycieczkę do obserwatorium i ja też, chociaż nie należałam do kółka młodzieżowego, ponieważ tata kierował wyprawą. Ubrałam się wyjątkowo starannie i kiedy zobaczyłam obiekt moich westchnień, powiedziałam naśladowując głos i żargon Jo March: „Drogi Joe, co słychać?”. Spojrzał na mnie wzrokiem bez wyrazu, odwrócił się i zaczął rozmawiać z wysoką jasnowłosą szesnastoletnią piękną. Ignorował mnie przez resztę dnia. Co więcej, od tamtego czasu starał się mnie unikać.

Z perspektywy czasu rozumiem, dlaczego tak się zachował: poczuł się okropnie zażenowany i pewnie pomyślał, że jestem stuknięta. Ale wtedy zupełnie się

załamalam. Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego odwrócił się ode mnie, kiedy zacytowałam Louise May Alcott. Jak mógł?

\* \* \*

W naszym małym pustynnym miasteczku wszyscy znali wszystkich. Nie znosiłam tego.

Wiedziałam, że cokolwiek zrobię w szkole, rodzice otrzymają o tym raport, więc usiłowałam nie wypaść z roli grzecznej córeczki pastora. W kościele robiłam wszystko, czego ode mnie oczekiwano. Uczyłam w szkółce niedzielnej, zapewniałam oprawę muzyczną nabożeństw, przepisywałam na maszynie biuletyny na niedzielne poranki. Uśmiechałam się i modliłam, i – w środku tego wszystkiego – naprawdę wierzyłam w każde wypowiedziane słowo.

Zmiana nastąpiła, kiedy poszłam do szkoły średniej. Nie dbałam o oceny i odpowiadałam nauczycielom ze znudzoną ironią. Nauczycielkę angielskiego nazwałam dziwką; spędzałam dużo czasu w gabinecie dyrektora. Ale dzieciaki już się ze mnie nie wyśmiewały. Teraz byłam przemądrzałą córką pastora, nie stukniętą świętoszkowatą żółtaczką. Uczniowie śmiali się z moich dowcipów, nie z mojej twarzy. Wreszcie znalazłam sposób na zdobycie akceptacji.

Rodzice byli mną rozczarowani i wściekli, chociaż nie znali nawet połowy moich występów. Wiedzieli tylko, że nie mam już samych piątek na świadectwach i regularnie przynoszę kartki, że mnie zatrzymano za karę.

Tata ciągle prawił mi kazania z tego powodu oraz żądał, żebym zwracała się do matki z większym szacunkiem. „Czcij ojca swego i matkę swoją, by twoje dni były długie na tej ziemi”, przypomniał mi. „Ona nie jest moją matką”, odpysknęłam. Tym sposobem zarobiłam siarczysty policzek oraz odesłanie do swojego pokoju, gdzie przynajmniej mogłam snuć własne myśli i szeptać słowa pogardy dla ich

wiecznej hipokryzji.

W tym okresie moje uczucia wobec mamy skryzalizowały się, przechodząc od strachu do pogardy. Widziałam w niej zadufaną hipokrytkę i nazywałam ją „Męczennicą”, co doprowadzało tatę do szału. Na półce w jego bibliotece stał egzemplarz „Księgi męczenników” Foxa, książki opisującej szczegółowo cierpienia rozmaitych chrześcijan, którzy na przestrzeni lat oddali życie za wiarę. Pewnego dnia, kiedy mama powiedziała mi, że mam zły charakter i codziennie powinnam przeczytać jeden rozdział z tej książki, odparłam: „Okay. Zaczę od rozdziału o tobie”.

Mama spędzała większość czasu, leżąc na sofie i omdlewającym głosem narzekając na migrenę. Mówiła mi, żebym tak nie hałasowała przy odkurzaniu. Mówiła tacie, żeby mnie ukarał za spoglądanie na nią „raniącym” wzrokiem. Mówiła mi, że jestem leniwa i spędzam za dużo czasu na czytaniu. Wspominała swoje dorastanie: była tak popularną nastolatką, że na jej szesnaste urodziny jej rodzice wydali galowe przyjęcie i wynajęli orkiestrę.

Często porównywała się ze mną: ona miała długie nogi, ja krótkie; jej włosy połyskiwały złotem, moje były matowe; ona miała mnóstwo chłopców jako nastolatka, ja nie miałam żadnego; ona jako dwudziestolatka śpiewała w operze sopranem koloraturowym, ja dysponowałam nudnym altem.

Mama widziała we mnie darmową pomoc domową: nie musiała mi płacić, chociaż wykonywałam wszystkie prace domowe – sprzątanie, gotowanie, pranie. Robiłam jej masaż szyi i pleców, kiedy bolała ją głowa. Kipiałam w środku, ale masowałam. W dni powszednie wstawałam wcześnie, żeby przed wyjściem do szkoły zdążyć pozmywać po śniadaniu. Mama sprawdzała, czy idealnie zasłałam łóżka, z kwadratowymi rogami i narzutami odchylonymi równo na kocach.

Po powrocie do domu czekała mnie godzina ćwiczeń na fortepianie, następnie gotowanie obiadu i sprzątanie kuchni. Potem odrabiałam lekcje i zbieraliśmy się w



salonie na wieczorne czytanie Biblii.

Lecz najbardziej ze wszystkich dni tygodnia zniecierpiałam niedzielę. W kościele odbywały się co najmniej dwa nabożeństwa i zwykle jakieś kościelne zebranie. Pomagałam w kuchni przy kościelnych poczęstunkach, zmywając resztki galaretowatej sałatki z zatłuszczonych talerzy. Jedzenie na tych poczęstunkach było ohydne. Pewna pani podeszła do mnie i powiedziała protekcyjnie: „Kochanie, zrobiłam tę potrawę specjalnie dla ciebie. To orientalna zapiekanka. W tym jest mielona wołowina, chrupki makaron Chun King i zupa pieczarkowa”. Ty głupia dziwko, pomyślałam, dziękując jej z uśmiechem i przez cały czas wyobrażając sobie, że rzucam jej w twarz tę paskudną breję.

Najwyraźniej wzbudzałam mieszane uczucia w naszej poza tym czysto białej kongregacji. Od czasu do czasu słyszałam kłujące komentarze: „Mam nadzieję, że codziennie dziękujesz Bogu, że twoi cudowni rodzice zabrali cię z tamtego okropnego kraju”. „Boże, nie wiem, jak ci Azjaci mogą jeść to swoje okropne żarcie. Masz szczęście, że dostajesz dobre amerykańskie jedzenie”.

Pewnego razu w niedzielę rano na nabożeństwo przyszła para czarnych. W kościele wyraźnie czuło się napięcie, kiedy szli głównym przejściem, szukając miejsca w pustej ławce. Kościół wypełniał się ludźmi, ale nikt nie usiadł w tej samej ławce co czarna para – znaleźli się w całkowitej izolacji pośrodku długiej sosnowej płaszczyzny.

Na szczęście dla wrażliwych członków kościoła para gościła w miasteczku tylko przejazdem. Nowych wiernych zawsze proszono, żeby wstali przed rozpoczęciem porannego nabożeństwa i „powiedzieli nam co nieco o sobie”. Para wstała, uśmiechnęła się i oznajmiła, że pochodzą z Indiany i przyjechali tu na wakacje. Niemal dało się słyszeć chóralne westchnienie ulgi.

Po nabożeństwie para natychmiast wyszła – wymknęła się pod osłoną ostatniego hymnu – a ludzie zaczęli gadać. „Dlaczego kolorowi tutaj przychodzą?”

Dlaczego nie znajdują kościoła wśród swoich?”.

Mama oświadczyła, że nie jest rasistką, ale wydaje jej się trochę dziwne, że tamci wybrali kościół pełen białych. Po latach kościół uległ „integracji”. Jedna hiszpańska rodzina i jedna murzyńska sporadycznie przychodziły na nabożeństwa, ale żadna nie uczestniczyła tak naprawdę w kościelnej działalności.

Tymczasem większość członków kościoła traktowała ich z lodowatą grzecznością. Wielu całkowicie ich ignorowało. Powiedziałam rodzicom, że stosunek ludzi do tych rodzin jest godny pogardy.

Mama wpadła w złość.

– Nie jestem żadną rasistką – zawołała. – Kiedy ta kolorowa kobieta podeszła do mnie po kościele i chciała mnie uścisnąć, pozwoliłam jej.

Mama i ja często kłóciłyśmy się na ten temat. Powtarzałam, że jest rasistką, jak praktycznie wszyscy w kościele. Czy Jezus nie kochał wszystkich tak samo? W czym mama jest lepsza od kogoś z ciemniejszą skórą?

Jej odpowiedź doskonale podsumowała poglądy całej reszty kościoła: Jezus może umarł za wszystkich, ale to nie znaczy, że mamy się z nimi bratać.

– Kolorowi są inni, ale nie mam nic przeciwko nim – zapewniała mama. – Kiedy byłam małą dziewczynką, przez wiele lat mieliśmy przemiłą kolorową gosposię, która u nas sprzątała. Kiedy zachorowała, daliśmy jej garnek zupy. Ty tylko szukasz kłopotów.

\* \* \*

Moja zła postawa wreszcie tak nadojadła rodzicom, że zabrali mnie do chrześcijańskiego terapeuty.

– To bogobojny człowiek – oznajmili. – Nie jest zwykłym psychiatrą.

Nie posiadał uprawnień, ale to się nie liczyło. Miał gabinet w budynku

kościelnym, nosił mały złoty krzyżyk na klapie marynarki, a do twarzy miał przyklejony nieodzowny sacharynowy uśmiech.

Poszłam do niego, ponieważ, jak mówili rodzice, buntowałam się przeciwko nim i przeciwko Panu. Zmęczył ich mój brak szacunku. Dostyc już mieli moich nastrojów. Sam Chrystus zaczynał wątpić, czy rzeczywiście pragnę zostać zbawiona.

Więc w piątkowe popołudnia siadywałam w zagraconym, dusznym gabinecie na plastikowym krzeselku, kiedy terapeuta wygłaszał uroczyste kazania o Chrystusie i Okresie Dojrzewania. Był niskim, brzuchatym, łysiejącym, gładkoskórym mężczyzną po pięćdziesiątce.

Terapii stosował tyle, co kot napłakał – ledwie zadał mi pytanie, zaraz sam na nie odpowiadał.

– No więc dlaczego czujesz, że rodzice nie kochają cię naprawdę? – pytał.

– No bo zawsze mi mówią, jak ich rozczarowałam i...

– Zaraz, zaraz. Na pewno nic takiego nie mówili. Chcą tylko, żebyś okazała im wdzięczność. Byłaś bezbożną małą sierotką i nie zawsze zachowywałaś się jak grzeczna dziewczynka. Bóg był bardzo dobry dla ciebie. Nie zasłużyłaś na żadną z tych rzeczy, które Bóg ci dał, ponieważ w Jego oczach jesteś grzesznicą. Lecz przez miłosierdzie Jezusa Chrystusa otrzymałaś szansę zbawienia.

Cisza.

– Więc dlaczego ciągle oplakujesz swoją rodzoną matkę?

– Głupi pan czy co? Jak pan myśli, dlaczego ją oplakuję? Bo jest moją matką i...

– Hola! Ani słowa więcej, panienko. Nie używa się takiego języka w domu bożym. Szatan zagnieździł się w tobie i za każdym razem, kiedy tak mówisz, krzyżujesz Pana Jezusa na nowo.

Potem kładł spoconą dłoń na moim kolanie i masował je, modląc się za mnie.

Jako osoba pełnoletnia zaczęłam chodzić do prawdziwej terapeutki i postanowiłam powiedzieć o tym rodzicom. Podczas jednej z naszych cotygodniowych rozmów telefonicznych poruszyłam ten temat, nie całkiem pewna, jak zareagują. Najpierw zadali to samo pytanie, jakie zadawali w stosunku do wszystkich wspomnianych przeze mnie osób.

– Czy ona jest chrześcijanką?

Odparłam, że nie mam pojęcia, ale wątpię.

– Jeśli chcesz z kimś rozmawiać, powinien to być chrześcijanin – pouczyli mnie. – Pamiętasz tego wspaniałego człowieka, do którego cię zabraliśmy jako nastolatkę? Był całkiem jak Chrystus. Bardzo szybko cię naprostował.

Powiedzieli mi, że rozwiązaniem jest modlitwa, nie terapia.

A nawet jeśli cierpiałam, co z tego? Cierpimy z Chrystusem, żeby później królować z Chrystusem.

Cierpienie przede wszystkim.

\* \* \*

Chociaż w końcu zdobyłam szczyptę wątpliwego uznania w szkole średniej, nikt nigdy nie zaprosił mnie na randkę. Przyjaźń ze mną owszem, ale cokolwiek więcej było zakazane w naszym miasteczku. Durzyłam się w pewnym chłopcu z kółka dramatycznego i spędzaliśmy wiele czasu razem, dyskutując o życiu, filozofii i filmach.

Nie pozwalano mi chodzić do kina, więc on streszczał mi szczegółowo każdy nowy film, co było prawie równie dobre, jakbym sama go obejrzała. Rozmawiał ze mną jednak tylko po zajęciach kółka dramatycznego, kiedy inne dzieciaki nie widziały.

Wreszcie pewnego dnia zebrałam całą odwagę i zaprosiłam go na szkolną

zabawę taneczną w Dniu Sadie Hawkins. Był wyraźnie zakłopotany.

– Naprawdę żałuję, ale nie mogę. Lubię cię i w ogóle, ale moi rodzice nigdy mi nie pozwolą spotykać się z żółtą.

Byłam zdruzgotana. Podczas naszych długich rozmów niemal zapomniałam, że jestem żółta; czułam się jak normalna nastolatka. Nigdy więcej nie rozmawialiśmy po zajęciach kółka dramatycznego.

\* \* \*

Jedyną rzeczywistość, która mi odpowiadała, znajdowałam w literaturze. Tylko szlachetne cierpienia poetów przynosiły mi nadzieję. Widocznie istniało coś wartego zachodu na tym świecie, skoro Tennyson napisał:

*O, niech niebiosa ciemne  
Nie zawrą się nade mną,  
Póki nie będę pewny,  
Żem znalazł miłość wzajemną;  
Wówczas niech się dzieje, co chce  
Z życiem, co było tak smutne,  
Miałbym już swój dzień.*

Spędzałam większość wolnego czasu z nosem w książce. Nie pozwalano mi czytać większości powieści czy czasopism, ale i tak wolałam wczesnych pisarzy brytyjskich. Nie marzyłam o aktorach czy gwiazdorch rocka, tylko o Fitzwilliamie Darcym i Robercie Browningu.

Drżałam, czytając peany miłości i pożądania Herricka do Julii, wzbierała we mnie nawałnica uczuć, kiedy opisywał piękno jej nagiego ciała w rzece, jej włosy i

jej piersi. Jeśli już musiałam przyjść na świat, powinnam była urodzić się w innym miejscu i czasie, mówiłam sobie; powinnam spacerować po polach Kentu z dżentelmenami w bryczesach, ubrana w obcisły stanik i długą do ziemi jedwabną spódnicę.

Chciałam pójść do college'u i studiować literaturę angielską, ale nie wiedziałam, skąd wziąć pieniądze. Nie przyszło mi do głowy, żeby zażądać od rodziców pokrycia kosztów. Poza tym wiedziałam, że rodzice chcą, żebym zrobiła jedno z dwojga: została misjonarką albo wyszła za mąż i stała się pobożną żoną.

Moja nauczycielka angielskiego w szkole średniej – która również kierowała szkolnym kółkiem dramatycznym – pokładała we mnie wielkie nadzieje. Powiedziała mi, że powinnam wyrwać się z naszego miasteczka, żeby zrobić karierę, może nawet poświęcić się pisaniu. Mówiła, że nie chce, żebym skończyła jak większość innych absolwentek szkoły – wyszła za mąż, osiadła w tym samym miasteczku, w którym dorastała, wykonywała jakąś prozaiczną pracę. „Zasługujesz na więcej – mówiła. – Masz wyjątkowy talent i charakter. Nie zmarnuj tego”.

Część mnie wierzyła w jej słowa, ale ta słabsza część. Jeśli nauczycielka mówi prawdę – że jestem inteligentną dziewczyną, że mogę dokonać w życiu czegoś wspaniałego – dlaczego nikt inny tego nie dostrzega?

Jej wiara we mnie stanowiła echo wiary Ommy, ale zbyt przerażała mnie możliwość, że te dwie kobiety mają rację, a wszyscy inni się mylą. Łatwiej było myśleć, że nauczycielka podobnie jak Omma żywi do mnie niezrozumiałe uczucie, które czyni ją ślepą na moje oczywiste wady.

Nie robiłam planów co do swojego życia po skończeniu szkoły. Byłam tak zmęczona i zastraszona, że nawet przestałam się buntować. Stopnie miałam marne z wyjątkiem angielskiego i muzyki. Trwoniłam czas i energię na fantazjowanie o wolności, ale nie wiedziałam, jak ją zdobyć. Czekałam na jakąś interwencję z zewnątrz, ale kiedy nadeszła, wcale nie okazała się spełnieniem marzeń.

### Część III

*W moim umieraniu może być przebudzenie  
Albo w moim umieraniu tylko umieranie  
Kłopot w tym, że nie wiem  
A przecież chcę wiedzieć wszystko.  
Na przykład co się kryje w lśniącym wnętrzu mojej duszy  
I czy ktokolwiek mnie kocha  
I co leży poza krainą snów  
I o czym myślą małe stworzonka  
I czy jestem warta bólu, który sobie sprawiam.  
Ta chwila przemija całkiem jak poprzednia  
A następna odchodzi w zapomnienie już przy narodzeniu.  
Lecz och jak silna jest tęsknota  
By wyjść poza to kruche serce  
I dotknąć serca ciemności  
I światła i końca i początku.  
Gdybym spotkała miłość czy chciałabym odejść?  
Nie mam odpowiedzi.  
Wiem tylko że miłość nigdy nie zamieszkała ze mną  
I zawsze była tylko tajemnicą  
Tęsknotą cierpieniem.  
A życie zużyło swój powab.  
Wciąż obchodzi mnie świat*

*Obchodzi tak bardzo  
Że wiszę na krzyżu mojej własnej konstrukcji  
Szlochając z rozpaczy  
Że nawet w śmierci nie znajdę  
Zbawienia ani odkupienia  
Dla siebie ani dla innych.*



## Rozdział 12

Wyszłam za mąż w sobotę rano w naszym kościele. Tata poprowadził mnie nawą, a potem odprawił ceremonię. Mój nowy mąż był diakonem w naszym kościele. Miałam siedemnaście lat, właśnie ukończyłam szkołę średnią.

Rodzice osobiście wybrali dla mnie D. w mojej ostatniej klasie. Kilka razy zapraszali go z wizytą i dokładnie wypytywali. Wyznawał te same konserwatywne, fundamentalistyczne poglądy co oni, a oni chcieli jak najszybciej wydać mnie za „pobożnego człowieka”. Rodzice wierzyli, że chrześcijańskie małżeństwo – nie kariera, wykształcenie czy samorealizacja – stanowi najszczytniejsze powołanie kobiety. D. wierzył we wszystko, w co wierzyli rodzice: że Biblia jest słowem bożym; że mąż powinien panować nad żoną; że potrzebuję surowej dyscypliny.

Uległam ich życzeniom i nawet marzyłam, że coś się zmieni cudownym sposobem – D. mnie pokocha i będzie dla mnie miły, będę dobrą, seksowną i posłuszną żoną, stworzymy szczęśliwą rodzinę. Wbrew słowom Ommy i mojej nauczycielki w głębi duszy i tak nigdy nie wierzyłam, że mogę robić coś wyjątkowego. Uważałam, że mam szczęście, że ktoś w ogóle zechciał mnie poślubić.

W wieczór przed ślubem D. zabrał mnie na obiad. Nie okazywaliśmy sobie fizycznej czułości, ale liczyłam, że to się zmieni po ślubie. Myślałam, że D. po prostu zachowuje cnotę, jak przystało na dobrego chrześcijanina. Ale tłumiony lęk dobijał się do mojej świadomości, ostrzegał: ten mężczyzna nigdy cię nie pocałuje; ten mężczyzna ma oczy zimne jak lód. Więc kiedy odwoził mnie do domu rodziców, krótko po dziewiątej wieczorem, zapytałam go:

– Czy ty mnie kochasz?

Milczał przez chwilę, potem sięgnął nade mną i otworzył mi drzwi samochodu.

– Jutro żenię się z tobą – powiedział. – Więc nie zadawaj głupich pytań.

Weszłam do domu i kiedy wpełzłam do łóżka, przyszłość uderzyła we mnie z pełną siłą: przechodziłam do następnej formy niewolnictwa. W Korei uniknęłam przymusowego kontraktu służącej i niechcianego małżeństwa bez miłości, żeby to samo spotkało mnie w Ameryce. Ale czy mnie zmuszano? Pomyślałam, że wejść do pokoju rodziców i powiem im, że nie mogę poślubić tego mężczyzny, że on mnie przeraża, że jest coś nieludzkiego w jego lodowatym spojrzeniu i beznamiętnym tonie głosu.

Przecież nikt nie mógł mnie zmusić do małżeństwa.

Ale przytłoczyła mnie myśl o reperkusjach. Ślub wyznaczono jutro na dziesiątą rano. Kościół został udekorowany i wszyscy parafianie zamierzali się zjawić. Czy naprawdę mogłam stawić czoło takiej presji? Przez ostatnie kilka lat spełniałam życzenia moich rodziców i kościoła. A teraz miałam powiedzieć wszystkim, że zagraniczna sierota adoptowana przez ich ukochanego pastora znowu sprawi mu zawód. Po prostu nie mogłam się na to zdobyć.

Wyszłam za mąż w sukni, którą sama uszyłam. Była z białego atłasu, ze skromnym trenem. Miała stanik pokryty koronką w różyczki i długie rękawy. Wycięłam kilka różyczek z koronki i naszyłam na spódnicy, i zrobiłam welon zebrany w koronę, ozdobioną kilkoma różyczkami z koronki i satyny. Nikt mi nie powiedział, że pięknie wyglądam, ale tego nie oczekiwałam. Mama tylko zauważyła, że suknia ma strasznie głęboki dekolt jak na ślub.

Kościół był pełen, ale moja nauczycielka angielskiego nie przyszła. Niezwykły prezent, który mi przysłała, przyszedł pocztą kilka dni po weselu: nie przybory kuchenne, ręczniki czy prześcieradła, tylko kupon do księgarni na moje nazwisko. Na załączonej kartce napisała tylko: „Nie zapominaj, że jesteś wyjątkowa”.

Szłam nawą obok taty, który potem odwrócił się i odprawił ceremonię. D. nie patrzył na mnie. Tata czytał z Biblii:

„Żony! bądźcie poddane mężom swoim, tak jako przystoi w Panu”, [List św. Pawła Apostoła do Kolosensów, 3, 18.] a potem powtarzałam przysięgę małżeńską: „Biorę ciebie za mojego prawnie zaślubionego męża. Żeby trwać przy tobie od tego dnia aż do końca. Na dobre i na złe; w bogactwie i w biedzie; w zdrowiu i w chorobie; jako posłuszna żona; póki śmierć nas nie rozłączy”.

Po ceremonii odbyło się przyjęcie w kościele, gdzie podano poncz i tort, i wszyscy mi powtarzali, jakie mam szczęście. Godzinę później wróciliśmy do domu. Nie miałam miesiąca miodowego. Jechaliśmy w milczeniu do domu, który D. wynajął na czas budowy nowego, a kiedy dotarliśmy na miejsce, zaczęłam rozpakowywać rzeczy, które przywiozłam poprzedniego dnia.

D. uderzył mnie po raz pierwszy później tego samego dnia. Poszliśmy do łóżka kilka godzin po powrocie do domu, ponieważ D. oznajmił, że Bóg wymaga od nowożeńców „uczczenia Go w małżeńskim łożu”, chociaż nie łączyło nas uczucie ani pociąg fizyczny. Lecz kiedy D. nie mógł skonsumować małżeństwa, ukarał mnie. „To twoja wina – oświadczył. – To przez ciebie”. Wymierzył mi policzek, kiedy leżałam naga na łóżku. Spojrzałam na niego zaszokowana, a ona zaczął rytmicznie okładać mnie pięściami. Kilka minut później nagle był już zdolny do stosunku. W oszołomieniu nie mogłam jasno myśleć, ale silny instynkt samozachowawczy kazał mi milczeć i zachować spokój. Kiedy mąż zasnął, wyszłam do łazienki i skuliłam się na podłodze, przyciskając rozpaloną twarz i obolałe żebra do zimnych kafelków.

Następnego dnia była niedziela i poszliśmy do kościoła, gdzie D. zajął swoje miejsce na podium obok taty. D. czytał z Biblii i odmówił wstępną modlitwę, a ja grałam na fortepianie podczas nabożeństwa jak zwykle. Ludzie gratulowali nam i ściskali ręce, a ja się uśmiechałam.

Mieszkaliśmy w domu, który D. zbudował i do którego sam wybrał meble. Utrzymywałam go w nieskazitelnej czystości i gotowałam posiłki według życzeń

męża. Jeśli coś mi się nie udało, natychmiast spotykała mnie kara. Kilka dni po naszym ślubie zrobiłam ratatuję – nie wiedziałam jeszcze wtedy, że D. nie znosi cukinii. Wziął jeden kęs, potem chwycił półmisek z zapiekanką i wyrzucił przez okno jadalni.

Jedzenie, odłamki okiennej szyby i skorupy kamionkowego półmiska zasłały patio. Spędziłam cały wieczór na czworakach przed domem, zbierając wszystkie kawałeczki, aż pokaleczyłam ręce.

Wyjęłam kostki lodu z dzbanka soku pomarańczowego, który D. chciał schłodzić, a on przyparł mnie do lodówki, walił pięściami po brzuchu i żebrach, a potem dusił, aż straciłam przytomność i osunęłam się na podłogę.

Cokolwiek robiłam, było źle. D. wybuchał gniewem w ułamku sekundy, bez ostrzeżenia, i choćbym bardzo się starała, nigdy nie mogłam załagodzić sytuacji. Wyszła wtedy książka pod tytułem *Kobieta totalna* i postanowiłam wypróbować zawarte w niej sugestie. Byłam tak uległa, jak to tylko możliwe. Zgadzałam się ze wszystkim, co powiedział. Odepchnęłam własne pragnienia tak daleko, że niemal o nich zapomniałam. Nic nie pomagało.

Podstawowym problemem – na który nic nie mogłam poradzić – był mój wygląd. Nie znosił go i odbierał jako osobisty afront. Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego się ze mną ożenił. Może chciał mieć stałe ujście dla swojego gniewu.

Pewnego wieczora oglądaliśmy w telewizji „Człowieka-słonia”. Podczas sceny, kiedy bohater zakrywa twarz kawałkiem materiału, D. odwrócił się do mnie i powiedział: „Powinnaś zrobić tak samo”. Przez większość życia, kiedy spoglądałam w lustro, widziałam twarz równie groteskową i zniekształconą jak twarz „człowieka-słonia”. Widziałam swoje szerokie kości policzkowe jako kloce, mały nos jako płaski kleks, oczy jako maleńkie ciemne szparki.

Swoje ciało postrzegałam jako krępe, pękate i odrażające, zeszpecone bliznami.

Moje włosy wyglądały jak skołtuniona, wystrzępiona miotła. Nie widziałam w sobie ani jednej dodatniej cechy, nic, tylko samą brzydotę. Więc prasowałam żelazkiem włosy, żeby je przyplaszczyć. Stosowałam dietę, żeby moje okrągłe ciało zrobiło się bardziej kościste i kanciaste.

\* \* \*

D. chciał mieć psa, a ja szalałam z radości, że wreszcie dostanę jakiegoś czworonoga. Jednakże nie okazywałam przesadnego entuzjazmu – nauczyłam się, że im bardziej coś mnie cieszy, tym mniej D. jest skłonny mi na to pozwolić. Więc siedziałam cicho i pewnego dnia D. przyniósł do domu szczeniaka collie.

Suczka była złocistym, aksamitnym kłębkim nieskomplikowanej miłości. Przez cały dzień chodziła za mną po domu, machała ogonem, podskakiwała i co kilka minut wydawała natarczywe krótkie szczeknięcia. Odkurzałam, a ona warczała na światelko w podstawie odkurzacza i szarpała sznur. Ścierałam kurze, a ona próbowała wyrwać mi z ręki ściereczkę. Gotowałam i piekłam, a ona biegała w kółko w ekstazie oczekiwania. Przyuczyłam ją do porządku, wybiegając z nią na dwór, kiedy tylko chwila wydawała się odpowiednia, i obsypując ją pochwałami.

Kiedy byliśmy same w domu, całkiem ją rozpuszczałam, ale D. traktował ją niemal równie surowo jak mnie. Myślę, że duch w niej upadał tak samo jak we mnie, kiedy pod koniec dnia słyszała na podjeździe jego samochód.

Pewnej zimnej, wietrznej lutowej nocy leżała zwinięta w kłębek obok mnie na podłodze, gdzie obrębiałam robocze spodnie D. Dom był czysty i ciepły; pozmywałam i wytarłam naczynia po obiedzie; wkrótce mieliśmy iść spać.

Co wieczór z najwyższą niechęcią wyrzucałam suczkę na mróz, chociaż miała przestronną sekwojową budę krytą gontem i wyścieloną kawałkiem dywanu, który został z wykładziny w salonie. Ale D. nieugięcie twierdził, że pies nie powinien

spać w domu.

Jednakże tamtego wieczoru wystarczyło mi odwagi – albo głupoty – żeby się sprzeciwić.

– Czy ona nie może dzisiaj zostać w domu? Na dworze jest tak zimno, a ona śpi tak smacznie. Wypuszczę ją z samego rana. Proszę!

D. rzucił mi beznamiętne spojrzenie i nie odpowiedział. Wróciłam do obrębiania, chociaż ręce mi się trzęsły. D. wyłączył telewizor i siedział bez ruchu w fotelu, tylko patrząc na mnie.

Kiedy D. zamierzał ukarać mnie za coś, jego ciało zamierało w bezruchu, a głos nabierał miękkich, śpiewnych tonów. Oczywiście do tej pory nauczyłam się odczytywać te oznaki i wiedziałam, że zbliża się coś straszego.

– Wiesz co? Psy śpiąją w psich budach. Więc zrobimy tak: obie spędzicie noc na dworze w psiej budzie.

Otworzył przesuwane szklane drzwi, prowadzące na ganek. Pies – równie przyuczony do posłuszeństwa jak ja – niechętnie wyszedł na dwór ze zwieszonym łbem i ogonem. Złożyłam spodnie D. i przewiesiłam przez poręcz jego fotela, włożyłam igłę i nitkę z powrotem do wiklinowego koszyczka z przyborami do szycia i schowałam go do szafy w holu. Potem nałożyłam płaszcz. Nic nie powiedziałam. Nie było nic do powiedzenia.

Suczka i ja wpełzłyśmy do sekwojowej budy z dwuspadowym dachem. Zwinęłam się wokół jej miękkiego, kosmatego ciała. Polizała mnie po twarzy, przytuliła się do mnie i razem zapadłyśmy w sen.

Następnego ranka przesuwane szklane drzwi nie były zamknięte na klucz. Weszłam do środka i przygotowałam śniadanie dla D.

Nasze role zostały wyraźnie podzielone: D. mówił mi, czego sobie życzy, a ja wypełniałam polecenia. Utrzymywałam dom w czystości. Gotowałam i prałam. Sprzątałam po nim – co musiałam robić natychmiast. Wchodziłam za nim do

sypialni, kiedy się rozbierał, i podnosiłam skarpetki i koszulę, które rzucał na podłogę.

Oglądaliśmy wybrane przez niego programy telewizyjne, ale wolno mi było usiąść przed telewizorem dopiero wtedy, kiedy pozmywałam i powycierałam naczynia po obiedzie, i posprzątałam kuchnię. Nie lubił, kiedy czytałam, więc musiałam kraść chwile z ulubionymi książkami, kiedy nie patrzył.

D. nalegał, żebym zawsze była zajęta. Kiedy był w domu, chciał widzieć, że odkurzam albo szoruję podłogę. Przed wyjściem do pracy sprawdzał dom; sprawdzał ponownie po powrocie, żeby się upewnić, czy naprawdę zrobiło się czyściej.

Zrobił uchwyty na doniczki z łańcucha, który sam pospawał; zawiesił swoje fotografie na ścianach. Wszystko musiało być tak, jak to zostawił. Coś tak trywialnego jak przesunięcie tacki z lodem doprowadzało go do furii.

Po pierwszym roku naszego małżeństwa u D. wykryto schizofrenię paranoidalną i trzymano go przez jakiś czas na oddziale psychiatrycznym w szpitalu. To nie przemoc w domu doprowadziła do jego hospitalizacji, lecz kłopoty z koncentracją w pracy. Chciał odnosić sukcesy i często powtarzał, że wszyscy są przeciwko niemu, więc zgodził się na leczenie. O ile mi wiadomo, tylko jego szef zachęcał go do skorzystania z pomocy medycznej – ani jego rodzina, ani moi rodzice nie potrafili przyznać, że coś jest nie w porządku.

Codziennie jeździłam go odwiedzić. Byłam obowiązkową, wspierającą żoną. Ten dwutygodniowy okres wspominam jako najlepszy w naszym małżeństwie, ponieważ D. wcale nie przychodził do domu, a ja mogłam wyjść po godzinnej wizycie. Ale kiedy wrócił do domu, znowu było po staremu. Przestał brać lekarstwa; oświadczył, że jego psychiatra chce go załatwić, i odwołał wizyty; rzucił posadę i zaczął pracować w firmie należącej do jego rodziny. Wakacje się skończyły. Czas wytchnienia minął.

Powiedzieliśmy ludziom w kościele, że D. wyjechał z miasta, żeby pomóc komuś z rodziny, i wszyscy uwierzyli. Kobiety w kościele mówiły mi, jakim wspaniałym człowiekiem jest mój mąż i jaki dobry był dla mnie Bóg. „Tylko popatrz na siebie – powiedziała mi jedna członkini chóru. – Masz wszystko, czego można zapragnąć”.

Mieliśmy ładny nowy dom z dywanowymi wykładzinami, dwa samochody, łódkę i ciężarówkę. Mieliśmy kilka rachunków bankowych, chociaż nie wiedziałam, co na nich było. Nie miałam własnych pieniędzy; D. powiedział, że ich nie potrzebuję. Razem kupowaliśmy żywność i D. kontrolował wszystkie wydatki. Nie wolno mi było nic kupować bez jego zgody. Nie wypisywałam żadnych czeków. Jeśli musiałam za coś zapłacić, na przykład za benzynę, wręczał mi pieniądze, a ja oddawałam mu resztę.

Mniej więcej po roku małżeństwa zaszłam w ciążę. D. wpadł we wściekłość. Zabronił mi zachodzić w ciążę, dopóki nie zdecyduje, że nadeszła odpowiednia pora, więc brałam pigułki antykoncepcyjne. Ale przestałam je brać, nic mu nie mówiąc. Wiem, że źle postąpiłam. Źle mieć dziecko w taki sposób albo z takich powodów. Czułam się straszliwie winna.

Ale, o Boże, byłam taka samotna. Marzyłam, żeby kogoś kochać. Boleśnie pragnęłam objąć drugą istotę ludzką i spojrzeć w twarz, która odwzajemni moje spojrzenie z czułością bez odrazy. I chciałam kogoś, kto wyglądał jak ja. Chciałam dać moją miłość komuś tej samej krwi, komuś podobnemu do mnie.

Nie musiałam mu mówić, że jestem w ciąży. Wiedział, kiedy nie dostałam okresu. Dokładnie pilnował wszystkiego, co mnie dotyczyło. Nie pozwalał mi nawet zamykać drzwi łazienki. Liczył, ile tamponów zużywałam w miesiącu.

Kiedy zaszłam w ciążę, starałam się chronić przed nim brzuch. Pokochałam dziecko rosnące w moim wnętrzu i natychmiast zaczęłam snuć fantazje, jak wyglądałoby nasze życie, gdybyśmy mogły być same razem.



Wiedziałam od początku, że noszę pod sercem córkę. Tęskniłam do tego związku matki z córką. Kobiety w kościele twierdziły, że z kształtu mojej ciąży poznają, iż noszę chłopca, ale ja wiedziałam lepiej. Matka i córka. Tak miało być.

Kiedy D. był w pracy, bez przerwy rozmawiałam z moją córeczką. Opowiadałam jej, co robię: „Nie bój się, skarbie, jeśli teraz czujesz trochę kołysania. Schylam się, żeby umyć podłogę. Po prostu zabieram cię na przejażdżkę na karuzeli”. Głaskałam brzuch i śpiewałam do dziecka w środku: „Jesteś moim słoneczkiem, moim jedynym słoneczkiem”. Siadywałam w bujanym fotelu i czytałam jej poezję. „To był Donne, skarbie. Teraz poczytam ci Amy Lowell”.

W szóstym miesiącu ciąży cierpiałam na okropne poranne mdłości i nie mogłam wstać z łóżka, żeby przygotować mężowi śniadanie. Mieliśmy wodne łóżko, jakie były modne w latach siedemdziesiątych, leżące bezpośrednio na podłodze w drewnianej ramie.

D. stał obok łóżka w roboczych butach i spodniach khaki. Nic nie powiedział, kiedy mu tłumaczyłam, że źle się czuję i nie mogę wstać. Tylko popatrzył na mnie.

Potem skoczył z podłogi obiema nogami na mój brzuch i wyszedł do pracy.

Podczas mojej ciąży D. chodził ze mną na kursy naturalnego rodzenia. Ludzie z kościoła byli pod wrażeniem. Idealny mąż, który postępuje jak należy. Chciałam, żeby Leigh przyszła na świat bez żadnych środków znieczulających w organizmie. Chciałam, żeby była jak najsilniejsza i czysta. W szpitalnej sali porodowej oddychałam ciężko i liczyłam skurcze, a D. oglądał w telewizji „Trzy oferty”.

– Zamknij się – rzucił, kiedy sapałam. – Przez ciebie nie słyszę puenty.

Po narodzinach Leigh D. poszedł na przyjęcie z przyjaciółmi i oznajmił, że nie odwiezie mnie do domu ze szpitala.

– Moi przyjaciele wydają to przyjęcie tylko raz w roku i nie zamierzam go stracić – oświadczył. – Jesteś dorosła, prawda? Załatw sobie transport do domu.

Tata był w kościele na próbie chóru, a mama nie czuła się dość dobrze, żeby

prowadzić, więc zaczęłam, aż próba się skończy i rodzice po nas przyjadą. D. wrócił do domu dopiero wieczorem następnego dnia, więc po odjeździe rodziców rozebrałam się i wzięłam Leigh ze sobą do łóżka. Tuliłam ją i głaskałam jej jedwabiste ciemne włosy, i po raz pierwszy od śmierci Ommy przemawiałam z głębi serca do drugiej istoty ludzkiej bez strachu czy wstydu.

Mówiłam jej, jaka jest piękna, jaka wyjątkowa i doskonała. Mówiłam jej, że jest moją ukochaną córeczką i najbardziej zdumiewającym ze wszystkich tworów Boga. Mówiłam jej, że zawsze będę ją kochała; że chętnie oddam za nią życie. Dziękowałam jej, że dzieli swoje życie ze mną. Mówiłam jej, że bezdenna otchłań w moim sercu wypełniła się po jej narodzinach i że przez całe życie czekałam na chwilę, kiedy wezmę ją w ramiona.

Najczęściej mówiłam do niej, kiedy D. nie było w domu – nie życzył sobie, żebym odzywała się bez pytania. Lecz kiedy Leigh i ja byłyśmy same, mówiłam do niej bez przerwy, opowiadałam jej bajki, czytałam jej poezje, powtarzałam w kółko, jak bardzo ją kocham.

W moich oczach Leigh była niewiarygodnie piękna. Miała ogromne ciemne oczy i olśniewający uśmiech. Zachwyciła mnie jej inteligencja. W wieku osiemnastu miesięcy dysponowała już zadziwiająco rozległym słownictwem: potrafiła nazwać każdy przedmiot w domu i znała tytuły swoich ulubionych książek i piosenek. Śpiewała razem ze mną, kiedy tańczyłam z nią po domu w czasie dnia i kiedy kołysałam ją do snu. Zanim skończyła dwa lata, mówiła pełnymi zdaniami; czytała prawie wszystko w wieku trzech lat.

Wyobrażałam sobie, że pewnego dnia D. umrze albo nas porzuci i będziemy żyły razem, tylko we dwie, i robiły, co nam się podoba. Nikt na nas nie nakrzyczy że za głośno gramy albo marnujemy czas, albo nie utrzymujemy domu w nieskazitelnej czystości.

1 Leigh będzie absolutną królową swojego świata. Chciałam, żeby nigdy nie

była smutna, nigdy nie była rozczarowana, nigdy nie była samotna. Miłość, którą do niej czułam, szokowała mnie swoją intensywnością. Całymi godzinami patrzyłam przejęta podziwem, jak mała śpi w swojej kołysce.

Kiedy Leigh i ja zostawałyśmy w domu same, było zupełnie tak, jakbyśmy tylko we dwie żyły na świecie. D. rzadko bywał w domu. Mama nie chciała przyjść nam pomóc, ponieważ to ją zbyt męczyło. Nie miałam żadnych przyjaciół, ponieważ D. na to nie pozwalał. Zresztą tak było lepiej. W moim odczuciu tak właśnie powinno być – matka i córka tworzące maleńką wysepkę spokoju pośród wrogiego świata.

\* \* \*

Nigdy nie płakałam przez te wszystkie lata. Nawet czując przerażenie i fizyczny ból, zachowywałam zewnętrzny spokój. Krzyczałam tylko wewnętrznie i zwykle na siebie: „Jesteś taka brzydka! Szkoda, że w ogóle się urodziłaś; byłaś wielkim błędem. Nikt nigdy cię nie pokocha”.

Podczas mojego małżeństwa każdemu ciosowi, policzkowi i kopniakowi towarzyszył akompaniament w mojej głowie, odgrywany w kółko: „Zasługujesz na to. Zasługujesz na to. Zasługujesz na to”.

D. uwielbiał narty wodne i wypływaliśmy łódką prawie w każdy weekend. Pewnej soboty wracaliśmy na brzeg. Siedziałam na burcie wychylona do przodu, żeby złapać cumę. Moja lewa noga dyndała w wodzie pomiędzy łódką a nabrzeżem. D. nagle wrzucił wsteczny bieg i na ułamek sekundy przytrzymał mi nogę, zanim zgasił silnik.

Kiedy poczułam uderzenie, byłam pewna, że odcięło mi nogę, ale spojrzałam w dół i zobaczyłam, że ciągle ją mam, chociaż wygiętą pod przedziwnym kątem – jakby ktoś wziął papierową lalkę i złożył jej nogę na pół w odwrotnym kierunku.

Natychmiast zaczęła przybierać głęboki odcień indygo i puchnąć do zastraszających rozmiarów. Musiałam pojechać do szpitala, a D. był wściekły, że zepsułam weekend.

Długą drogę od przystani do samochodu pokonałam na przemian pełznąco i podskakując, podczas gdy D. siedł przodem. Nigdy nie wyjaśnił, dlaczego wrzucił wsteczny bieg, a ja nigdy nie pytałam.

## Rozdział 13

Wkrótce po narodzinach Leigh mąż przyprowadził do domu na obiad przyjaciółkę z pracy. Ani na chwilę nie zostawiał jej samej. Był dla niej czarujący, słodki i uwodzicielski, a ja na to patrzyłam, podając obiad, sprzątajac kuchnię i kąpiąc Leigh. Później D. odwiózł tę kobietę do domu. Wrócił dopiero następnego ranka.

Mieliśmy łódkę i chatę nad rzeką, i latem D. chciał tam jeździć w każdą sobotę. Musieliśmy wrócić w porę na niedzielną mszę poranną, więc w końcu jechałam samochodem do domu o trzeciej nad ranem, podczas gdy D. spał na tylnym siedzeniu.

Pewnego dnia zabrał do samochodu jakąś autostopowiczkę. Przekręciłam do góry wsteczne lusterko, żeby ich nie widzieć, i patrzyłam prosto przed siebie, starając się skupić na drodze i nie słyszeć odgłosów spółkowania dochodzących z tylnego siedzenia.

Przywykłam do małżeńskiej zdrady. Przyzwyczaiałam się do zapachu i wymownych śladów, i zadziwiająco mało cierpiałam. Podnosiłam kieliszki po winie z podłogi sypialni i zmieniałam prześcieradła bez słowa, bez jednej łzy.

Wiedziałam, że D. uwielbia seks. Po prostu nie lubił seksu ze mną.

D. mówił, że może uprawiać ze mną seks tylko wtedy, jeśli fantazjuje o kimś innym. Brzydził się bliznami po oparzeniach na moim ciele. Powtarzał mi, że jestem brzydka. Więc kopulując ze mną wpatrywał się w zdjęcie z magazynu *Penthouse*; nigdy wtedy nie spojrzał na mnie. Miał jeszcze jeden sposób: podniecał go mój ból.

\* \* \*

Wiele myślałam o śmierci – nie tylko o własnej, ale również o śmierci D. Rozwód był nie do pomyślenia – wbrew boskim przykazaniom. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że w ten sposób rozczaruję rodziców i wywołam skandal w kościele. Moim jedynym ratunkiem, jak to widziałam, była śmierć.

Po nocach, leżąc w łóżku obok D. , obmyślałam rozmaite scenariusze, w których zabijałam go i nie ponosiłam kary. Ale wszystkie miały wady, a ja nie chciałam pójść do więzienia. Szukałam niezawodnej metody. Tylko raz nadarzyła się idealna okazja, ale musiałam z niej zrezygnować.

Obozowaliśmy w Wielkim Kanionie i razem z D. wybraliśmy się na spacer do krawędzi. D. stał na skraju przepaści, robiąc zdjęcia. Zapadał zmierzch. Byliśmy zupełnie sami; stąpaliśmy po paprociach i kamykach. Grunt był bardzo niepewny. D. stał plecami do mnie i pomyślałam: wystarczy jedno pchnięcie. Wtedy moje małżeństwo się skończy, miną złe chwile, skończą się cierpienia fizyczne i emocjonalne. Leigh i ja będziemy wolne.

Wszyscy powiedzą: jakie to smutne, ale nie powinien był robić zdjęć tak blisko krawędzi.

Akurat kiedy postąpiłam krok do przodu, usłyszałam głos Leigh. Obudziła się w nosidełku na moich plecach. Czułam, jak jej nóżki kopią mnie po żebrach. Siedziała twarzą do przodu. Mogła zobaczyć. Więc zamarłam i chociaż miała dopiero sześć miesięcy, chociaż pewnie by nie zapamiętała, nie mogłam ryzykować. Nie mogłam pozwolić, żeby moje dziecko patrzyło na śmierć ojca.

D. obejrzał się i zobaczył wyraz mojej twarzy.

– Co z tobą, do cholery? – warknął.

Nie odpowiedziałam i ruszyliśmy dalej szlakiem, podczas gdy Leigh śpiewała swoje dziecięce piosenki.

Po narodzinach Leigh zmieniły się moje poglądy na śmierć, chociaż opinia o

sobie pozostała taka sama. Teraz miałam powód, żeby zostać przy życiu: nie chciałam powierzyć nikomu innemu opieki nad moją ukochaną córką.

Przerażała mnie myśl, że D. zostanie jej jedynym opiekunem, że nie będę mogła jej chronić. Teraz, kiedy czułam przemożną potrzebę życia, fizyczne maltretowanie otworzyło przede mną nowy wymiar strachu. A jeśli D. nie przestanie w porę i zabije mnie? Co się stanie z Leigh? Więc byłam jeszcze bardziej potulna i uległa, bardzo się starałam uniknąć ataków mężowskiej furii. Stąpałam po cienkim lodzie i wychodziłam ze skóry, żeby utrzymać spokój w domu.

Przez całe życie cierpiałam na ostrą klaustrofobię. D. wiedział o tym i zręcznie wykorzystywał tę wiedzę. Czasami budziłam się w nocy, bo D. całym ciężarem siedział mi na piersiach, przygniatając kolanami moje ramiona po bokach, i trzymał poduszkę centymetry nad moją twarzą. Widząc, że się obudziłam, przyciskał mi poduszkę do twarzy, prawie mnie dusił. Potem unosił poduszkę, a ja rozpaczliwie wciągałam powietrze, widząc nad sobą jego uśmiechniętą twarz. Kiedy odzyskiwałam oddech, rozpoczynał zabawę na nowo.

Raz, kiedy mama zapytała mnie o siniec na twarzy, poruszyłam temat przemocy w moim małżeństwie. Przedtem bałam się to ujawnić; wstydziłam się tego i czułam, że to tylko dowodzi czegoś, o czym dawno wiedziałam – jestem do niczego jako kobieta i jako istota ludzka, wzbudzam jedynie pogardę.

Ze sposobu, w jaki mama układała wykrochmalone fałdy swojej sukni i patrzyła ponad moją głowę, wynikało jasno, że ta rozmowa wprawia ją w głębokie zakłopotanie, więc pozwoliłam jej wygasnąć. Wreszcie odchrząknęła i zapytała mnie, czy proszę Boga o przewodnictwo.

– Może robisz coś, czego nie powinnaś – powiedziała. – Czemu się nie pomodlisz i nie poprosisz Boga, żeby ci pomógł być lepszą żoną?

Powinnam była wiedzieć. Modlitwa, niezawodne panaceum na wszelkie

zgryzoty ciała i ducha. Tutaj nie otrzymam pomocy.

Po latach, kiedy już dawno porzuciłam D. , przyjaciele pytali mnie, dlaczego, na litość boską, wytrwałam tak długo. Byli zdumieni, że nie odeszłam po pierwszym biciu. I nawet kiedy wyjaśniłam, spoglądali na mnie z powątpiewaniem, nie całkiem przekonani. Śmiałam się tylko i mówiłam: „Szkoda, że was przy tym nie było”.

Chciałam odejść, ale ten pomysł wydawał się równie niemożliwy jak podróż na księżyc. Dokąd pójdę? Kto mi pomoże? Byłam zupełnie sama. Wszyscy w mieście znali D. ; wszyscy go lubili. Ludzie uważali, że miałam cholerne szczęście, że go złapałam – konkurenci nie ustawiali się do mnie w kolejce. Był przystojny, szanowany i przewodził ludziom. Nikt nie uwierzyłby w to, co się dzieje w naszym domu za zamkniętymi drzwiami. Nikt nie dałby wiary moim słowom.

Nie mogłam znowu rozczarować rodziców. Nie mogłam sprawić zawodu członkom kościoła. A oto sedno sprawy: nie zasługiwałam na nic lepszego. Byłam wstrętna, absolutnie nic niewarta. To oczywiste, że D. nie całuje mnie ani nie kocha się ze mną jak normalny człowiek. Nie jestem normalna. Jestem podczłowiekiem. Jestem brzydka i odrażająca. Oczywiście, że mnie bije. Nie powinnam w ogóle żyć. Spowodowałam same nieszczęścia. Przeze mnie umarła Omma. Rozczarowałam moich przybranych rodziców. Zawiodłam Boga.

Nikt nigdy nie spojrzył mi w oczy podczas uprawiania seksu, nie wypowiedział mojego imienia i nie rozplynie się w miłości. I co w tym dziwnego? Gdybym była mężczyzną, czy chciałabym kogoś takiego jak ja? Oczywiście, że nie. Nikt przy zdrowych zmysłach nie wybrałby mnie, gdyby miał wybór. Wiedziałam, że nie jestem kobietą, w jakiej zakochują się mężczyźni. I nigdy nie zadawałam sobie pytania dlaczego. Zawsze rozumiałam przyczynę. Wystarczyło mi spojrzeć w lustro.

W miarę możliwości unikałam luster i prawie nigdy nie dawałam się



fotografować. Lecz kiedy już musiałam na siebie spojrzeć, zalewała mnie pogarda. Widziałam niewydarzoną twarz, niesforne włosy, brzydotę wykraczającą poza granice litości. Nienawidziłam każdego szczegółu mojego ciała i twarzy: moich quasi-azjatyckich oczu, moich szerokich kości policzkowych, każdej kolejnej warstwy aż do czaszki pod skórą.

W dzieciństwie zostałam ukarana za wyznanie tacie i mamie, że chciałabym wyjść za mąż, ponieważ podobał mi się mój zapach i dotyk i chciałabym dzielić te rzeczy z moim mężem. Mój mąż nie chciał nawet na mnie patrzeć, tym bardziej wąchać czy dotykać.

D. oczywiście mnie nie całował, a ja próbowałam go pocałować tylko raz. Siedzieliśmy po obiedzie przed telewizorem. Wieczór mijał spokojnie. Czułam taką ulgę, że D. od kilku godzin nie wybuchnął gniewem, więc kiedy zaśmiał się głośno z czegoś w telewizji, ogarnęła mnie fala ciepła i wdzięczności. Impulsywnie wychyliłam się do przodu i pocałowałam go w usta. Gwałtownie szarpnął głowę do tyłu, po czym trzasnął mnie pięścią w szczękę. „Nigdy więcej tego nie rób”, ostrzegł mnie. Już nigdy tego nie zrobiłam.

\* \* \*

Przez lata po moim rozwodzie uchylałam się i mrużyłam oczy, kiedy ktoś nieoczekiwanie wykonał ruch w stronę mojej twarzy. Często na randce, jeśli mężczyzna wyciągnął rękę, żeby pogłaskać mnie po policzku, gwałtownie cofałam głowę. Jeśli bardzo mnie zaskoczył, zdarzało mi się nawet zasłonić twarz ręką.

Mężczyźni czuli się wtedy sfrustrowani. Czasami wpadali w złość, ponieważ uważali, że moja reakcja źle o nich świadczy albo oznacza, że im nie ufam i boję się krzywdy z ich strony.

Nie potrafiłam wyjaśnić swojego zachowania w sposób satysfakcjonujący ani

dla nich, ani dla mnie: że odruchowo się bronię, bo trudno mi uwierzyć, żeby ktoś dotknął mojej twarzy z czułością. Podświadomie oczekiwałam policzka. Ten odruch umacniał się przez lata. Musiały upłynąć kolejne lata, zanim przekonałam własną podświadomość, że teraz ręka wyciągająca się ku mojej twarzy zakończy ten ruch pieszczotą.

Pocałunek w twarz wciąż jest dla mnie niesamowitym przeżyciem. Przez tyle lat tęsknić za pocałunkami i wreszcie odkryć, że ludzie chcą mnie całować – że nie budzę w nich odrazy – nigdy nie mam tego dość. Nigdy nie przyjmuję tego za oczywistość. Wciąż uważam pocałunek za najbardziej zdumiewający dar. Dla mnie to cud, że ktoś dobrowolnie i z pożądaniem zbliża twarz do mojej twarzy, dotyka ustami mojej skóry i znajduje w tym przyjemność.

Myślę, że długoletnia tęsknota za pocałunkami sprawiła, iż smakują bardziej słodko teraz, kiedy wreszcie nadeszły.

To Leigh dostarczyła mi bodźca, którego potrzebowałam, żeby wreszcie wyrwać się z małżeństwa. Mogłam sama cierpieć – co wydawało się całkowicie normalne i słuszne – ale nie mogłam pozwolić, żeby ona cierpiała. Musiałam ją chronić – najcenniejszy skarb na ziemi.

Pewnego wieczoru w jednej chwili podjęłam decyzję. Tamtego wieczoru D. znęcał się nade mną w jej pokoju. Leigh miała wtedy trochę więcej niż dwa latka. Jeśli narobię hałasu, ostrzegł D. , mała obudzi się i zobaczy, co się dzieje. Ta groźba wystarczyła, żebym zachowała milczenie.

Nie wiem, dlaczego tamtego wieczoru wybrał pokój Leigh – pewnie znudził się rutynowym maltretowaniem i chciał czegoś nowego dla zaostrenia smaku. Leigh leżała w swoim łóżeczku, ubrana w żółte frotowe śpioszki, a księżycowa poświata kładła cienie poręczy na jej ślicznej buzi. Trzymałam się prętów łóżeczka i zagryzałam wargi, żeby nie krzyknąć, żeby spała dalej. Umierałam ze strachu, że Leigh obudzi się, usiądzie, wyrzy przez pręty łóżeczka i zobaczy, co robi D. A

jeśli zobaczy, jak jej ojciec zabija matkę? Za nic nie mogłam do tego dopuścić.

Jak tylko D. zasnął, owinęłam Leigh w koce i wymknęłam się tylnymi drzwiami, niosąc ją w ramionach. Nie zabrałam ze sobą niczego, ani pieniędzy, ani ubrań. Moje ciało pokrywały smugi zaschłej krwi oraz stare poślizgi sińce i świeże granatowe.

Szłam bosą po pustyni zalanej światłem księżyca, trzymając Leigh w ramionach. Ogarnął mnie niepojęty spokój w samym środku niebezpieczeństwa i czułam dziwne oszołomienie, jakbym przeżywała scenę z innego czasu. Od lat nie przeżywałam takiego wewnętrznego wyciszenia i pogody ducha. Cisza pustyni wypełniła mnie, jakbym znalazła się z córką w bezpiecznym miejscu w centrum huraganu.

Leigh zbudziła się, więc usiadłam z nią na kamieniu, żeby pobawiła się dziko rosnącymi kwiatkami. Zaśpiewaliśmy angielski madrygał, który uwielbiała:

*Wszędzie jak okiem sięgnąć wokół naszego gniazda*

*Ciągną się pola złotych kaczeńców jak kwietny oplot;*

*Tam, gdzie leśna trybula otacza głogowy żywopłot.*

*Cisza jest namacalna, w klepsydrze zabrakło piasku.*

*Przyjmijmy do serc naszych nieśmiertelny dar, Tę godzinę bliskości, ten  
bezsłowny czar*

*Gdy podwójne milczenie tworzy pieśń:*

*Pieśń Miłości.*

Leigh zgadzała się na wszystko, nie zadawała pytań i cieszyła się spacerem, piosenką, kwiatami i blaskiem księżyca. Dotarłam w ciemności do domu moich rodziców i zapukałam do drzwi. Wpuścili mnie i nie mówili wiele, kiedy im powiedziałam, że chcę rozwodu.

Myślę, że oboje byli wstrząśnięci moim stanem, ale dobrze ich wyszkolono w niezauważaniu, więc odwracali oczy; mama kazała mi wziąć prysznic. Kiedy Leigh zasnęła, powiedziałam im, że D. maltretował mnie od pierwszego dnia naszego małżeństwa, więc postanowiłam odejść. Prosimi, żebym się pomodliła. „Czy zwracałaś się do Boga w tej sprawie?”, zapytał tata. Skłamałam i powiedziałam, że tak. Powiedziałam, że Bóg chciał, żebym chroniła Leigh, więc nie miałam innego wyjścia.

Dopiero kiedy im opowiedziałam o niewierności D., przestali mi robić wymówki. Biblia zezwala na rozwód, jeśli doszło do zdrady, powiedział tata, chociaż kobieta nie może ponownie wyjść za mąż. Ale zezwala tylko w tym jednym przypadku. Więc moje sińce nic nie znaczyły – mogłam je dopisać do sumy cierpień radośnie dzielonych z Chrystusem – ale zdrada stanowiła grzech.

Następnego ranka, kiedy przyszedł D. , rodzice próbowali wstawić się za nim, ale po raz pierwszy w życiu czułam, że nic mnie nie powstrzyma. Cała moja służalczość nagle gdzieś znikła. W jednej chwili, bez namysłu, bez wysiłku stałam się jakby inną osobą. Nie wzruszały mnie błagania, groźby i obietnice D. Nie wzruszało mnie, że przyniosę rodzicom wstyd w kościele i ściągnę na siebie potępienie całego miasta.

Nadszedł czas: moja córka i ja, razem, silne i bezpieczne, nie potrzebujące nikogo innego.

## Część IV

*Drzewa rosną wysoko w lesie moich snów.  
Szepczą pieszczotliwie, przeplatane ciszą strumieni.  
Prowadź mnie, miękkie światło; srebrny księżycu tej ciemnej nocy,  
Gdy liście śpiewają mi miłosną pieśń.*

*Deszcze padają w lesie moich snów.  
Przez mgłę dostrzegam aksamitną, świeżą zieleni.  
Zmyjcie moje łzy, stracone samotne lata,  
Gdy liście śpiewają mi miłosną pieśń.*

*Pragnienie mego serca mieszka w lesie moich snów.  
Moja dusza wędruje z jego obrazem w cieniu drzew.  
W ciele mężczyzny duch bożka Pana;  
A liście śpiewają mi miłosną pieśń.*

## Rozdział 14

Zrywając małżeństwo wzięłam jeden samochód, kilka sztuk mebli, ubrania moje i Leigh oraz trochę naczyń. D. zatrzymał dom i pieniądze. Ponieważ przeprowadziłyśmy się do maleńkiego mieszkanca, gdzie nie mogłyśmy trzymać psa, a D. już nie chciał suczki, musiałyśmy oddać ją sąsiadom.

Od tamtej chwili Leigh i ja budowałyśmy życie, które było amerykańską inkarnacją mojego życia z Ommą. Spędzałyśmy razem jak najwięcej czasu. Bawiłyśmy się, kiedy miałyśmy ochotę. Stworzyłyśmy własny świat. Kiedy zapadał zmrok, zwijałyśmy się na łóżku wśród stosów poduszek i książek, czytałyśmy, dyskutowałyśmy, wymyślałyśmy niestworzone historie i popijałyśmy miętową herbatę, dopóki Leigh nie zasnęła. Potem dalej czytałam w nocy, a jej mała ciemna główka spoczywała wtulona w moje ramię.

Omma, która kochała mnie równie mocno, jak ja kochałam własną córkę, z nieznanych powodów nie mogła ze mną uciec. Po jej śmierci zostałam całkowicie opuszczona. W nocy, kiedy uciekłam ze swoją córką, czułam niewiarygodne uniesienie – poznałyśmy smak wolności i poznałyśmy go razem.

W pewnym sensie byłam z córką równie biedna jak kiedyś z Ommą, więc kontynuowałam tradycję zmieniania biedy w zabawę. Szukałyśmy skarbów, dopóki nie wyskrobałyśmy dostatecznie dużo drobnych, żeby wystarczyło na torebkę ryżu. Leigh z triumfalnym okrzykiem wyłaniała się skądś z dolnych rejonów, gdzie szperała pod poduszkami kanapy albo pod wycieraczkami na podłodze samochodu, ściskając w garści odnalezioną monetę. I podobnie jak ja, moja córka dopiero w znacznie starszym wieku zrozumiała, jak niepewna była jej dziecięca egzystencja z dnia na dzień.

Leigh i ja zostałyśmy w tym samym mieście, ale przeniosłyśmy się do domku

za sto pięćdziesiąt dolarów miesięcznie, stojącego w rzędzie ruder zbudowanych pierwotnie dla przyjezdnych robotników rolnych, którzy pracowali w pobliskich gajach daktylowych. Chatka składała się z jednego pomieszczenia, podzielonego na małą sypialnię/jadalnię i jeszcze mniejszą kuchnię/łazienkę.

Przypominała mi chatę na skraju wioski, gdzie mieszkałam z Ommą – nędzne domostwo dla najuboższych. Dzieliłyśmy nasze mieszkanie z oddziałem żuków żerujących na palmach daktylowych – wyrosnięte okazy, które kręciły się wszędzie niczym odziani w zbroje zdobywcy. Kiedy odsuwałyśmy zasłonkę maleńkiej, wyłożonej stiukiem kabiny prysznic, nie uciekały, tylko gromadziły się wokół odpływu i mierzyły nas wyzywającym wzrokiem. Ucinały sobie drzemki w szafkach zajmujących jedną ścianę jadalni i wydeptywały szlaki wokół pęcherzy obłazącej farby, która codziennie odpadała ze ścian.

Miałyśmy materac na podłodze i kilka sztuk mebli ocalonych z poprzedniego domu. Ozdabiałyśmy nasze mieszkanie dzikimi kwiatami i długimi warkoczami polnej trawy, która rosła przed domem. Leigh rysowała obrazki, oprawiałyśmy je w ramki z kolorowego papieru, który podkradałam z pracy, i wieszaliśmy na ścianach.

Z tego samego papieru robiłam dla niej papierowe laleczki, które ubierałyśmy w wymyślne, fantastyczne stroje, posługując się kredkami Leigh. Jak Omma, stworzyłam miasteczko-zabawkę dla mojego dziecka i nasze fantazje stały się bardziej żywe niż rzeczywistość.

Chociaż nie miałam ukończonych studiów ani żadnego doświadczenia, udało mi się dostać posadę reporterki w małym tygodniku. Najbardziej podobało mi się w tej pracy, że mogłam zabierać Leigh ze sobą. Bawiła się pod biurkiem, kiedy odbierałam telefony, i towarzyszyła mi podczas wywiadów. Obsługiwałam miejscową radę miejską, dwie szkoły w miasteczku, policję i straż pożarną. Pełniłam również obowiązki recepcjonistki, przyjmowałam reklamy i pisałam na

maszynie. Za tę wieloletnią pracę płacono mi trzysta dolarów miesięcznie. W dzień wypłaty świętowałyśmy z Leigh: szłyśmy do sklepu spożywczego, kupowałyśmy ryż, wczorajsze pieczywo, warzywa ze straganu przy drodze i herbatę na wagę. Pozwalałyśmy sobie również na cytrynowe lody, które jadłyśmy na dworze o zachodzie słońca, oglądając wędrownie chwasty toczące się przez drogę i machając do pociągu z Santa Fe, przelatującego z hurkotem po torach.

Miesiąc mijał i przed następną wypłatą zwykle kończyły nam się pieniądze i jedzenie. Wówczas wygrzebywałyśmy ostatnie zapomniane monety, żeby kupić trochę ryżu czy mąki, z której piekłam płaski, nieapetyczny chleb. Ale nawet to wygrzebywanie zmieniało się w zabawę. Urządzałyśmy „poszukiwanie skarbów”, czyli pieniędzy. Jeśli wygrzebałyśmy siedemdziesiąt pięć centów, to wystarczało. Mogłyśmy kupić dość ryżu, żeby przeżyć.

Do gotowania podchodziłyśmy twórczo, wykorzystując wszelkie dostępne składniki, żeby upiec posilek. Czasami wychodziły nam zdumiewająco smaczne mieszanki; częściej okazywały się obrzydliwe. Ale i tak je zjadałyśmy, żartując z jedzenia. Udawałyśmy arktycznych badaczy, goniących resztkami zapasów. Nic złego nie mogło nas pokonać, bo wszystko zmieniało się w zabawę.

Miałam poobijane stare pianino, które dostałam od sąsiadki; często wieczorami Leigh siadywała na ławce obok mnie i śpiewałyśmy razem. Opierała głowę na moich kolanach i odpływała w sen, kiedy grałam na pianinie i śpiewałam słodkie piosenki Vana Morrisona:

*Ona jest słodka jak lipcowy miód,  
Prawdziwy anioł z nieba, istny cud.*

Leigh i ja robiłyśmy właściwie, co nam się podobało. Często oznaczało to wagarowanie z pracy i ze szkoły. Czasami postanawiałam wcześniej wyjść z pracy.



Na przykład raz zabrałam Leigh ze szkoły i powiedziałam sekretarce, że mała ma wizytę u lekarza. Był sierpniowy dzień, pogodny i słoneczny. Leigh była ożywiona i podniecona, radość przepelniała nas obie.

Po drodze do szkoły wpadłam do naszego mieszkania, przebrałam się w kostium kąpielowy, a na wierzch włożyłam spódnicę i bluzkę na ramiączkach. Zabrałam ze sobą kostium Leigh. W samochodzie, na nabrzeżnej autostradzie, Leigh przykucnęła pod ręcznikiem i przebrała się w kostium przy akompaniamencie wspólnych chichotów. Przez całe popołudnie bawiłyśmy się w wodzie, spalone słońcem i kompletnie szczęśliwe, aż zrobiłyśmy się senne. W drodze powrotnej wstąpiłyśmy do Baskina Robinsa po lody na patyku, które zjadłyśmy w samochodzie. Ręce i twarze miałyśmy lepkie od lodów w karmelowej polewie i robiłyśmy do siebie głupie miny.

Po przyjeździe do domu splądrowałyśmy lodówkę, jeszcze w kostiumach i pokryte piaskiem. Niewiele tam miałyśmy – trochę tłuczonych ziemniaków, groszek i sos do spaghetti – i nic z tego nie wyglądało zbyt apetycznie. Leigh zaproponowała, że skoro nie mamy ochoty tego zjeść, fajnie będzie tym malować palcami. Więc wyciągnęłyśmy wszystko z lodówki i rozrzuciłyśmy po kuchennej podłodze. W kostiumach kąpielowych rozmazywałyśmy palcami jedzenie po czystej białej laminatowej podłodze, ślizgałyśmy się i śmiałyśmy, aż brzuchy nas rozbolały.

W piątkowe wieczory wychodziłyśmy się zabawić. W miasteczku było samochodowe kino, więc w piątek wieczorem ładowałam koce i poduszki do samochodu, ubierałam Leigh w ciepłą piżamę i różowe kaptcie-króliczki, i wstępowałyśmy do Kentucky Fried Chicken, gdzie kupowałyśmy mały kubek z trzema kawałkami kurczaka, bułkę, trochę tłuczonych ziemniaków i surówkę z kapusty. Zabierałam ze sobą termos owocowej herbaty, mościłyśmy się pod kocami i wspólnie zjadałyśmy skromny posiłek.

Nie był to ryż, *kimchi* i jęczmienna herbata mojego dzieciństwa, ale rytuał posiłku wyglądał bardzo podobnie: dzieliłyśmy się jedzeniem – jeden kęs dla Leigh, jeden kęs dla mnie – i oszczędzałyśmy najlepsze kęski dla tej drugiej. Twierdziłyśmy, że jedzenie lepiej smakuje, jeśli druga osoba weźmie pierwszy kęs, więc chichocząc sprzeczałyśmy się, która je pierwsza. Oglądałyśmy przez jakąś godzinę kiepski film klasy B, który akurat wyświetlano, zanim Leigh zasnęła. Potem sama oglądałam film do końca albo, jeśli był zbyt marny, jechałam prosto do domu. Kładłam małą do łóżka, narzucałam koszulę nocną i układałam się za nią.

Leżałyśmy przytulone jak łyżeczki: obejmowałam ją od tyłu i całowałam w czubek głowy. Podobnie jak Omma pilnowałam, żeby własnym ciałem osłaniać dziecko od strony drzwi.

Sypiałyśmy razem i wcale nie czułyśmy się biedne ani samotne. Czasami sennie dyskutowałyśmy o treści filmu; czasami wymyślałyśmy głupiotkie piosenki.

Podobnie jak Omma, snułam dla córki opowieści o jej przyszłości: Zamieszka w pięknym dużym mieście, gdzie spełnią się wszystkie jej marzenia. Opowieści przeplatane były wspaniałymi fragmentami literackimi, które czytałyśmy razem noc po nocy: Coleridge, Szekspir, C. S. Lewis i Roald Dahl wspólnie tworzyli barwny, bogaty gobelin fantazji. Wszystko, co czytałyśmy, stawało się naszą wyłączną własnością. Deklamowałam małej wiersze od niemowlęctwa, ale włączałam do tekstu jej imię. Na przykład „Kubła Chan” Coleridge’a został przerobiony na wyłączny użytek Leigh: „W Xanadu kazała księżniczka Leigh wznieść pyszny pałac, tam gdzie płynie w pieczarach, których myśl człowieka nie zmierzy, Alph, święta rzeka, co w mrocznym morzu ginie . [Samuel Taylor Coleridge, *Kubła Chan*, przeł. Zygmunt Kubiak.]

Czy to w Korei, czy w Ameryce życie przybierało znośne barwy dzięki gobelinowi fantazji.

\* \* \*

Nawet kiedy Leigh podrosła, potrzeba naszej wzajemnej bliskości pozostała. Zamiast bawić się z przyjaciółmi albo zajmować się własnymi sprawami, Leigh była ze mną. Obie panicznie bałyśmy się separacji. Czułyśmy się bezpiecznie tylko razem.

Zanim jeszcze Leigh skończyła dziesięć lat, postanowiłyśmy przejść na wegetarianizm. Ta decyzja była łatwa dla nas obu. Mocno wierzyłyśmy w świętość życia. Wierzyłyśmy, że każdą żywą istotę należy traktować łagodnie i z szacunkiem. Więc kiedy Leigh pewnego dnia wróciła do domu ze szkoły zapłakana i oznajmiła, że widziała film o okropnych warunkach w rzeźniach, przestałyśmy jeść mięso.

Zresztą i tak odżywiałyśmy się głównie jarzynami ze względów finansowych. Więc zostałyśmy wegetariankami, ze sporadycznym dopuszczeniem nabiału. Eksperymentowałyśmy z tofu, sprasowanymi proteinami roślinnymi i substytutem jajek, ale głównie trzymałyśmy się podstawowych artykułów: ryż, makaron, domowy chleb, warzywa i owoce. Byłyśmy chyba jedynymi wegetariankami w mieście i obie miałyśmy serdecznie dość wyjaśniania po raz enty, dlaczego nie jemy mięsa, drobiu ani ryb.

Wegetarianizm w tamtym okresie mojego życia stanowił najbliższy odpowiednik religii. Broniałam go żarliwie. Identyfikowałam się ze zwierzętami hodowanymi wyłącznie w celach konsumpcyjnych. Płakałam nad losem kurcząt stłoczonych w ciasnych, brudnych klatkach, z odpiłowanymi dziobami, niemych w swojej niedoli.

Ludzie mówili mi rzeczy w rodzaju: „To tylko zwierzęta. Istnieją dla naszego użytku”. Wszystko się we mnie wywracało na ten zwrot, może dlatego, że w latach dzieciństwa wysłuchiwałam niezliczone mnóstwo razy, że jestem „całkiem jak

zwierzę”. Wiele przecierpiałam w życiu, ponieważ uważano mnie za istotę gorszą od człowieka. Zwierzęta cierpiały, ponieważ były mniej niż ludźmi. I wydawało mi się, że ludzie nie mają czym się szczyścić, skoro traktują inne żywe stworzenia z takim ślepym okrucieństwem.

Tymczasem rodzice pogodzili się z moim rozwodem, chociaż niewiele o tym mówiliśmy. Leigh i ja odwiedzałyśmy ich w każdy weekend i wciąż uczęszczałyśmy do ich kościoła – nie dlatego, że byłam wierząca, ale ponieważ chciałam utrzymać pokój. Prawili Leigh te same fundamentalistyczne kazania, które zawsze wygłaszali mnie, ale w przeciwieństwie do mnie ona nie przyjmowała ich bezkrytycznie.

– To nieładnie – pisnęła, kiedy tata powiedział, że bez Chrystusa wszyscy pójną do piekła. Leigh myślała samodzielnie i nigdy nie wahała się *wyrazić* swojej opinii. Z wiekiem robiła się coraz bardziej uparta. Jako czterolatka skrytykowała jedno z kazań taty, które wzbudziło jej sprzeciw.

– Nie zgadzam się – oświadczyła. A kiedy ją zapytał, czy modliła się za swoją postawę, udzieliła natychmiastowej odpowiedzi.

– Nie muszę się za to modlić. Wiem, co myślę.

\* \* \*

Jednym z naszych pierwszych aktów emancypacji był wyjazd z pustyni. Tęskniłam za zielenią. Nigdy nie przestałam nienawidzić pustyni i czułam, że łatwiej zniosłabym moje nieszczęścia, gdyby mogła wyjść z domu i zobaczyć naturalną trawę lub liściaste drzewo.

Na pustyni, gdzie dorastałam, domki stały rozproszone w dużej odległości. Mogłaś krzyczeć i krzyczeć, ale nikt nie usłyszał. Gdyby za tymi cienko szalowanymi ścianami doszło do jakichś okropnych wypadków, nikt nie

przyszłyby z pomocą. Domki były oddalone o całe mile od głównej drogi i od siebie nawzajem.

Nadal nienawidzę pustyni. Nigdy nie dostrzegałam w niej tego surowego piękna, które widzieli inni. Dla mnie to opustoszałe miejsce, gdzie nie rośnie nic zielonego i delikatnego. Każde optymistyczne źdźbło trawy czy krucha, pełna nadziei roślina więdną w bezlitosnym skwarze. Słońce i wiatr wysuszają wszystko dookoła. Skóra ludzka robi się ciemna i zgrubiała. Myślę, że pustynia wyjaławia dusze tak jak wszystko inne.

Co noc słyszałam wycie kojotów i wrzaski jakiegoś nieszczęsnego stworzenia, które rozdzierały na strzępy. Często ofiarą padał czyjś domowy ulubieniec, kot albo pies, który przypadkiem znalazł się poza domem, kiedy kojoty schodziły z gór na nocne łowy. Co noc nakrywałam głowę poduszką, żeby nie słyszeć śmiertelnych jęków na zewnątrz.

Toteż z każdą następną posadą Leigh i ja przenosiłyśmy się coraz bliżej wybrzeża południowej Kalifornii. Uczęszczałam na studia zaoczne i zdobywałam pracę w coraz większych gazetach. Przeprowadzałyśmy się do kolejnych mieszkań – nadal małych, nadal skromnych, ale już bez żuków palmowych w środku ani wędrownych chwastów na zewnątrz.

Nasz drugi dom to była *mała* kamienna chatka na dwóch suchych, jałowych akrach gruntu na obrzeżach miasta. Awansowałyśmy o jeden szczebel z szeregu ruder, a ponieważ w domku wciśniętym pomiędzy inne dokuczała nam klaustrofobia, cieszyłyśmy się z naszej nowej prywatności.

Dopiero później przekonałam się, jak niebezpieczna bywa prywatność.

Pracowałam w mojej drugiej gazecie, w dziale kryminalnym, i uważałam się za jakąś małomiasteczkową mścicielkę niewinnych. Zaczęłam pisać serię artykułów o nadużyciach w biurze miejscowego szeryfa, robiłam wywiady z każdym, kogo tylko dopadłam, usiłowałam dokopać się do prawdy. W końcu kilka osób, o

których pisałam, straciło pracę, a innych zdegradowano.

Nawet wtedy pozostałam w dobrych stosunkach z większością miejskich gliniarzy, którzy wiedzieli, że moje artykuły są uczciwe, i sami chcieli pozbyć się zgniłych jabłek ze swojego koszyka. Często któryś z nich tłukł się krętą polną drogą do naszego odległego domku, żeby zapytać, czy chcę pojechać do wypadku albo nalotu narkotykowego. Wszyscy wiedzieli, gdzie mieszkam.

Pewnej nocy obudził mnie blask reflektorów samochodu za oknem. W pierwszej chwili pomyślałam, że pewnie kroi się nowy artykuł. Leigh spędzała noc u przyjaciółki, więc byłam sama. Kiedy otworzyłam drzwi i wyjrzałam, zobaczyłam jednego z mężczyzn, o których pisałam. Zanim zdążyłam zareagować, był w środku.

Wyszedł pół godziny później.

Z niewiadomych powodów najpierw zadzwoniłam do mojego wydawcy.

– Zostałam zgwałcona – poinformowałam go. – Chyba rano spóźnię się do pracy.

Po niecałej godzinie on i jego żona zapukali do moich drzwi. Resztę nocy i poranek spędziłam w szpitalu oraz na posterunku policji.

W krótkim okresie, kiedy pracowałam jako reporterka policyjna i sądowa, opisałam kilka procesów o gwałt i zgrozą przejmował mnie sposób, w jaki traktowano ofiary na miejscu dla świadków. Słusznie czy nie, nie chciałam przechodzić tej procedury. Więc po kilku dniach negocjacji osiągnięto porozumienie: sprawca stracił posadę w policji i skierowano go na leczenie. Myślałam, że sprawa jest zamknięta.

Miesiąc później odkryłam, że jestem w ciąży. Jedyńm wyjściem była aborcja, ale nie chciałam, żeby ktokolwiek o tym wiedział. Dostałam zaliczkę na poczet pensji od wydawcy, sama pojechałam w sobotę do Los Angeles, zrobiłam skrobankę i późnym wieczorem wróciłam do domu roztrzęsiona, płacząc przez całą

drogę międzystanową autostradą.

W związku z tą sprawą dręczyło mnie ogromne poczucie winy. Ciągłe robiłam sobie wyrzuty, że źle postąpiłam: nie powinnam otwierać drzwi, póki nie sprawdziłam, kto przyjechał; nie powinnam mieszkać w takim oddalonym miejscu, gdzie nikt nie usłyszałby moich krzyków o pomoc; powinnam zdobyć się na odwagę, żeby podać sprawę do sądu; czy aborcja naprawdę była jedynym wyjściem?

Poniewczasie wynajdywałam niezliczone wymówki i oplakiwałam życie, które musiałam przerwać tak wcześnie. Ale przestałam już się zamartwiać, czy postąpiłam słusznie.

Obawiałam się ujawnienia tego gwałtu również dlatego, że nie chciałam wystawiać na pokaz mojego prywatnego życia. Gdybym prowadziła się nieskazitelnie według kryteriów tej społeczności, może zdecydowałabym się mówić. Ale nie mogłam. Nie mogłam stanąć na podium dla świadków i zaprezentować swojej dziewiczej osobowości ławie przysięgłych. Wstydziałam się.

Nadal mieszkaliśmy w tym domku przez następny rok. Kilka miesięcy później wiesziałam pranie na dworze i nagle osunęłam się na ziemię. To było w sobotę około południa, Leigh była u przyjaciółki, a ja nie miałam pojęcia, co się stało. Nic mnie nie bolało, ale miałam uczucie, jakby kręgosłup mi się rozpuścił. Nie mogłam poruszyć nogami; straciłam władzę w dolnej połowie ciała.

Sznur do bielizny wisiał jakieś sto stóp od domu. Przez resztę popołudnia czołgałam się z powrotem, odpychając się ramionami i głową. Kiedy jedenastoletnia Leigh wróciła do domu, leżałam na podłodze kuchni, ponieważ nie mogłam dosięgnąć telefonu na kuchennym blacie.

Leigh wezwała pogotowie i kilka godzin później neurochirurg powiedział mi, że muszę przejść natychmiastową operację usunięcia piątego kręgu lędźwiowego, który całkowicie wysunął się ze swojego miejsca i przecinał nerwy prowadzące do

dolnej połowy ciała. Wyrecytował mi litanie ostrzeżeń: może zostanie sparaliżowana po operacji, może już zawsze będę chodzić o lasce, może będę musiała przejść całą serię operacji w późniejszym terminie.

Poddałam się operacji, a potem wróciłam do naszego domku na długą rekonwalescencję. W tym okresie musiałam albo leżeć zupełnie płasko na wznak, albo siedzieć całkowicie wyprostowana. Leigh gotowała, sprzątała i pielęgnowała mnie prawie przez okrągłą dobę, w swoim własnym niezwykłym stylu. Czytała na głos Tolkienu, Roalda Dania, Shela Silversteina i Szekspira. Zaparzała dla nas herbatę i zwiјаła się w kłębek na stosie poduszek z książką w ręku – tak samo ja jej czytałam kilka lat wcześniej.

Leigh prowadziła również moją fizyczną terapię. Wykonywała „stopowy aerobic”, czyli naciskała moje duże palce u nóg, dopóki nie poczuła oporu.

Po kilku tygodniach mogłam wstać; kilka miesięcy później chodziłam o lasce. Rano i wieczorem Leigh przerabiała ze mną serię ćwiczeń wydrukowanych na ulotce, którą znalazła w poczekalni lekarza.

Był to ciężki okres dla Leigh, która bardzo się starała zapewnić mi opiekę i jakieś wygody. Przez długi czas mogłam jedynie pełzać. Czasami w nocy słyszała hałas, wstawała z łóżka sprawdzić, co ze mną, i widziała, jak pełnę przez korytarz do łazienki.

Minęło kilka lat i praktycznie powróciłam do normalnego życia, straciłam tylko prawie całkiem czucie w prawej goleni. Nigdy się nie dowiedziałam, co spowodowało uraz kręgosłupa – lekarz powiedział, że mogły do tego doprowadzić lata ciągłego bicia, ale nie miał pewności.

Mój wydawca i jego żona co tydzień dostarczali nam żywność. Wydawca załatwił, żebym otrzymywała normalną pensję zamiast renty inwalidzkiej.

\* \* \*



W dniu, kiedy wreszcie opuściliśmy pustynię, zdawało nam się, że otwarły się bramy więzienia.

Zamieszkałyśmy w odległości krótkiego spaceru od plaży, a ja odzyskałam sprawność prawie w stu procentach. Teraz miałyśmy większe mieszkanie z dwiema sypialniami, małym patio i spłachetkiem trawy, gdzie sadziłyśmy pomidory i kwiaty.

Reporterzy są notorycznie źle opłacani, więc chociaż przeniosłam się do większej gazety, musiałam sobie dorabiać, dając lekcje gry na fortepianie. Uczyłam kilkoro dzieciaków z sąsiedztwa oraz dorosłych, z którymi pracowałam, ale nie Leigh. Zbyt dobrze zapamiętałam bolesne, niekończące się lekcje muzyki pod okiem taty.

Jeśli Leigh zechce nauczyć się grać na fortepianie, gitarze, cytrze, łyżkach lub czymkolwiek innym, proszę bardzo.

Podobnie jak ja, Leigh pożerała książki. Ponadto rozkwitał w niej talent dramatyczny i nasze wspólne zabawy obfitowały w skomplikowane fantazje, fabuły i dialogi. Leigh należała do tego samego gatunku uczniów co ja – nauka w szkole przychodziła jej niezwykle łatwo i dziewczynka szybko traciła zainteresowanie. Nie miała cierpliwości do ludzi mniej bystrych niż ona; kilka razy zatrzymano ją za karę po lekcjach, ponieważ poprawiła wymowę nauczycielki, gramatykę lub cytaty.

## Rozdział 15

Koszmary które wciąż mnie prześladowały, nasiliły się przed trzydziestką. Zaczęłam lunatykować, co nigdy przedtem mi się nie zdarzało. Zwykle zasypiałam około północy i śniło mi się, że jestem zamknięta w skrzyni, że szukam wyjścia. Kiedy we śnie krążyłam po wewnętrznym obwodzie skrzyni, w rzeczywistości wstawalam z łóżka i chodziłam po mieszkaniu. Zwykle budziłam się, stojąc przed oknem, które otworzyłam przez sen, wychylona, łykając chłodne nocne powietrze.

Leigh często szukała mnie po nocach i znajdowała w jakichś nieprawdopodobnych miejscach, czasami wędrującą na ślepo wokół domu, czasami zwiniętą w pozycji płodowej na podłodze. Często, jak wspominała, płakałam i mówiłam do niej w mieszaninie angielskiego i koreańskiego, kiedy odprowadzała mnie z powrotem do łóżka.

Ponieważ zdawało mi się, że nie pamiętam koreańskiego oprócz kilku podstawowych słów, zdumiała mnie jej opowieść. Zapisałam niektóre słowa w nadziei, że kiedyś odzyskam całą znajomość języka.

Nigdy nie ukrywałam żadnych sekretów przed Leigh, która znała moją przeszłość nie gorzej niż ja sama. Coraz mocniej nalegała, żebym zrobiła dwie rzeczy: uzyskała pomoc w walce z obecnym bólem oraz spróbowała dowiedzieć się jak najwięcej o swoim dzieciństwie.

Mniej więcej w tym samym czasie wpadłam w otchłań depresji, która dosłownie odbierała mi siły do życia. Często nie mogłam się zdobyć na pójście do pracy i dzwoniłam, że jestem chora. W takie dni siedziałam w salonie i gapiłam się w ścianę. Pranie piętrzyło się w stosy; brudne naczynia wypełniały zlew. Jeśli już poszłam do pracy, mobilizowałam resztki energii, żeby jakoś przetrwać dzień, i oczywiście moja praca była ledwie do przyjęcia.

Wreszcie poprosiłam o pomoc. Samobójcze fantazje, zawsze obecne w moim życiu, teraz stały się moją jedyną pociechą. Marzyłam o samobójstwie tak, jak inni marzą o kochankach. Moje fantazje były bardzo szczegółowe i bardzo sentymentalne.

Wiedziałam dokładnie, jak będę ubrana, jak mam wyglądać i pachnieć, jakie wybiorę otoczenie. Będę ubrana na białło, z włosami zaplecionymi w warkocz i przewiązanymi błękitną jedwabną wstążką. Stopy będę miała bosc. Będę czysta i świeża. Pójdę do lasu i znajdę piękne drzewo, z którym nawiążę łączność duchową. Zapytam je o pozwolenie i kiedy wyczuję właściwą chwilę, powieszę się na jego świętych gałęziach.

Opracowałam swoje samobójcze fantazje w najdrobniejszych szczegółach. Nie chciałam, żeby ktoś potknął się o moje zwłoki, zwłaszcza dziecko. Nie chciałam przestraszyć nikogo, kto nie spodziewał się takiego widoku.

Planowałam, że zostawię drogowskazy dla policji, żeby łatwiej mogli mnie znaleźć; planowałam, że zostawię list kierujący koronera i zastępców szeryfa do mojego ciała. Planowałam, że ustawię znaki ostrzegawcze na wypadek, gdyby jakiś nieostrożny wycieczkowiec zapuścił się w tę okolicę. Nie chciałam nikogo zdenerwować; nie chciałam nikogo zaszokować.

Wiedziałam dokładnie, jak rozporządzę swoim osobistym dobytkiem. Zostawię dom wysprzątany, żeby nie przysparzać nikomu pracy. Nie zamierzałam nikomu robić kłopotu. Po prostu bardzo pragnęłam odejść. A jednak nie chciałam, żeby moja córka straciła matkę. Więc czułam się rozdarta wewnątrz i rozgniewana z powodu tego rozdarcia. Jedyna rzecz, jakiej pragnęłam – moje jedyne marzenie – nie mogło się spełnić. Czułam się przegrana. Czułam, że jestem w beznadziejnej sytuacji.

Wiedziałam, że jeśli mam pozostać przy życiu, to nie na takich warunkach.

Wiele moich koszmarów powracało. Często śniłam, że 75, 3

wędruję po domu, szukając matki. Pokoje były puste i ciche. W końcu wchodziłam do łazienki, otwierałam apteczkę i znajdowałam ją w słoju, pokrojoną na kawałeczki.

Śniłam o drzewie marynarkowym porośniętym kapeluszami. Bałam się tego drzewa, a jednak fascynowały mnie wiszące na nim kapelusze – niektóre nowe i wymyślne, niektóre przepocone i wyświechtane. Obróciwszy kapeluszowe drzewo, ujrzałam odciętą głowę mężczyzny. Natychmiast rozpoznałam w nim swojego ukochanego. Nigdy przedtem nie widziałam jego twarzy, nigdy nie znałam go na jawie, ale wiedziałam instynktownie, że kocham go całym sercem i on jest moją bratnią duszą. Chociaż jednocześnie budził we mnie lęk. Prosił, żebym na niego nie patrzyła, ponieważ czuł się odrażający i przerażający, a ja mu mówiłam, że dla mnie jest najpiękniejszy, najcudowniejszy na całym świecie. Dotykałam jego twarzy i całowałam go – jego oczy, usta, czoło i policzki – i oboje łkaliśmy. Wzbierała we mnie czułość, tęsknota i romantyczna miłość, jakiej nigdy nie zaznałam na jawie.

Podobnie jak on, bałam się pokazać własną twarz – albo duszę – w całej nagości. Bałam się, że przestraszę ludzi. Pragnęłam, żeby mnie oglądano, całowano i dotykano, nawet taką bezcielesną. Podobnie jak on, otaczałam się różnymi kapeluszami i stosowałam je jako ochronę. Publicznie byłam zabawna i czarująca, ale zawsze czułam się samotna. Byłam uprzejma i hojna, ale zawsze czułam się wykorzystana. Byłam współczująca i wyrozumiała, ale zawsze tkwił we mnie gniew.

Często śniłam, że idę przez kościół, gdzie dorastałam, szukając małych ciasteczek z różowym lukrem. Zaglądam do wszystkich kościelnych kredensów i do klas szkoły niedzielnej, i wreszcie dostrzegam paterę z ciasteczkami schowaną w szafie dozorca. Mam straszną ochotę na jedno ciasteczko, takie słodkie i kremowe, ale wzięwszy je do ręki widzę, że jest spleśniałe i od spodu pokryte

robakami.

Często śniłam, że jestem w domu moich rodziców. Toaleta zaczyna się przelewać, strumień fekaliów i cuchnącego płynu spływa spod pokrywy sedesu na podłogę. Muszę posprzątać, ale to przypomina sprzątanie stajni Augiasza – chociaż urabiam sobie ręce po łokcie, brud pozostaje. Wiem, że nigdy go nie zwyciężę, ale czuję przymus ciągłego sprzątanania.

W wielu snach występowały zwierzęta, spętane łańcuchami i poranione, zdychające powoli i w męce. Zwykle lisy albo oposy. Często śniłam, że leżę w łóżku z zaciśniętymi powiekami. W tle słyszałam, jak ktoś mówi: „Musimy odciąć jej głowę, żeby nie widziała, co się dzieje”.

Kiedy zaczęłam szukać uzdrowienia – poprzez terapię, poprzez medytację, poprzez opowiadanie o własnym życiu i szukanie przyjaciół – brnęłam dalej pomimo głębokiego przekonania, że moja dusza ma wady genetyczne, że każda iskierka nadziei skazana jest na zagładę. Podobnie jak Blake wierzyłam, że dla niektórych ludzi po prostu nie ma nadziei, a ja do nich należę.

*Każdego ranka, każdej nocy dla męki ktoś na świat przychodzi.*

*Każdego ranka, każdej nocy dla szczęśliwości ktoś się rodzi,*

*Jedni się rodzą dla radości,*

*Inni dla nocy i ciemności.*

[William Blake, *Wróżby niewinności*, przeł. Zygmunt Kubiak.]

Wiedziałam na pewno, że narodziłam się dla nocy i ciemności. A jednym z powodów, dla których przez długi czas nie próbowałam zmienić swojej opinii o sobie ani poglądów na kwestię śmierci, był niepisany pakt zawarty z Ommą. Marzeniom o ponownym połączeniu z matką towarzyszyło przekonanie, że powinnam cierpieć równie mocno jak ona. Jeśli ona chętnie oddała życie, ja też

powinnam umrzeć z ochotą.

Inaczej, myślałam, cierpienie w moim życiu nie ma sensu. Moja terapeutka powtórzyła mi słynny cytat: „Cierpienie bez sensu równa się rozpacz”. Sens cierpienia dla mnie oznaczał więź z matką.

W miarę postępów mozolnego procesu leczenia moje nawracające sny uległy zmianie. Znowu zaczęłam mieć sny o lataniu, w których często szukałam jakiegoś dziecka. Czasami znajdowałam je, pikowałam w dół i zgarniałam je z ziemi. Ono zarzucało mi ramiona na szyję, obejmowałam je i odlatywaliśmy razem. Czasami rozrywało mi skórę na piersiach i wpełzało do środka, co powodowało intensywny ból.

## Rozdział 16

Słowa Leigh:

*To od naszych rodziców uczymy się, kim zostać; w ich oczach widzimy odbicie swoich twarzy. Ich nieustanna obecność nas wspiera, zapewnia nam bezpieczne miejsce, z którego możemy obserwować świat. Moja matka nigdy nie miała takiego miejsca. Nie zaznała luksusu bezpieczeństwa i przez lata szukała swego odbicia w kimś lub czymś. Ja miałam ją, ale ona nie miała nikogo, więc stałam się jej kotwicą, kiedy wstąpiła na drogę prowadzącą do samopoznania i samorealizacji. Byłam jej odbiciem, mniejszą wersją jej samej, żywą szansą na zatarcie bólu, który cierpiała w dzieciństwie. We mnie dostrzegała chyba możliwość naprawienia na wpół zapomnianych krzywd i koszmarów, które nękały ją przez całe życie. Kiedy byłam całkiem mała, nieustannie troszczyła się o moją wygodę i zadowolenie, i chociaż nie mogła osłonić mnie przed wszystkimi okropieństwami, stworzyła dla mnie bezpieczny, izolowany świat. Pomimo to mogę policzyć na palcach, ile razy w dzieciństwie słyszałam jej szczery śmiech.*

*Pod jej miłością, czułością, hojnością zawsze krył się smutek. Uważałam go za coś oczywistego i nigdy nie kwestionowałam faktu, że życie to poważna sprawa. Nie bez oporów nauczyłam się myśleć inaczej. W żaden sposób nie mogę obwiniać jej za ten smutek. Nie mogę osądzać życia tak wypełnionego tragedią i cierpieniem. Nie mogłabym mieć bardziej kochającej, bardziej oddanej matki. A jednak czułam się za nią odpowiedzialna. Czułam nieodpartą potrzebę chronienia jej. I oczywiście pomimo wszelkich wysiłków nie zdołałam jej ocalić przed nieuchronnym zalewem wspomnień ani przed koszmarem leczenia.*

*Kiedy wkraczałam w okres dojrzewania, ona wkraczała w okres przebudzenia i samopoznania. Chociaż te lata pod wieloma względami są dla niej tylko cieniem,*

*dla mnie każda chwila pozostała równie wyraźna jak obecna. Czasami cierpiała tak bardzo, że po prostu odpływała w nieświadomość, znajdowała mizerną pociechę w ucieczce od rzeczywistości. Wiele razy pytałam ją, czy nie lepiej nie przechodzić przez uraz terapii. I wiele razy nie potrafiła mi odpowiedzieć.*

*Patrząc wstecz zaczęłam sobie uświadamiać, że koniec mojego dzieciństwa oznaczał dla niej początek podróży. Zawsze całkowicie pochłaniała ją opieka nade mną, zawsze zapominała o sobie wobec mojej bezradności. Lecz kiedy już nie musiała poświęcać mi niepodzielnej uwagi, do głosu doszły jej własne myśli i odezwały się stare blizny, które zabarwiły każdą chwilę jej życia, niejednokrotnie nawet stosunki ze mną.*

*Nie był to szybki proces, lecz na przestrzeni całego życia stanowił krótki okres pomiędzy moim dzieciństwem i jej dziecięcymi wspomnieniami a chwilą, kiedy moje dzieciństwo dobiegło końca.*

*Przez cały czas nigdy nie ukrywała przede mną, co się dzieje w danej chwili. Przekazywała mi każdą myśl, jaka przyszła jej do głowy, i chociaż niewiele z tego rozumiałam, właśnie ten wgląd w jej serce ocalił mnie przed poczuciem kompletnego zagubienia. Czasami w nocy mówiła do mnie. Siadałam przy jej łóżku, a ona w dziwacznej mieszance angielskiego i koreańskiego opowiadała mi o swoich przeżyciach. Pamiętam, że w okresie dorastania prześladowały mnie wizje sierocińca i koreańskich gór.*

*Nietrudno zrozumieć, dlaczego z tamtego okresu najwyraźniej zapamiętała te sny. Były tak uporczywe i wyraziste, że niemal przestoniły jej jawę. Potem, kiedy miałam piętnaście lat, zaczęła chodzić we śnie.*

*Początkowo nie martwiłam się tym lunatykowaniem; w środku nocy znajdowałam ją w kuchni albo w salonie i kiedy pytałam, co się stało, sprawiała wrażenie oszołomionej i szybko wracała do łóżka. Wkrótce nocne wędrówki wydłużyły się, stały się częstsze, bardziej niebezpieczne. W miarę, jak przypominała*



*sobie coraz więcej ze swojej przeszłości, podświadomość prowadziła ją coraz dalej od miejsca, gdzie mogłam ją chronić. Wychodziła na tylne podwórze albo na ulicę, nie mając pojęcia, co właściwie robi. Potem znajdowałam ją w nocy na dworze, oszołomioną i zapłakaną. Przemawiałam do niej, okrywałam kocem jej ramiona i pozwalała odprowadzić się do domu, nie wiedząc, czego szukała w ciemnościach, wiedząc tylko, że tego nie znalazła.*

\* \* \*

Przez wiele lat pracowałam jako reporterka prasowa w Południowej Kalifornii, zajmując się głównie policją i sądami. Uwielbiałam swoje zajęcie, głównie ze względu na niebezpieczeństwo. Rozmyślnie stawiałam się w sytuacji zagrożenia, nie rozumiejąc własnych motywów.

Mój policyjny skaner zawsze był włączony, nawet kiedy szłam spać. Popiskiwanie kodów, głosy dyspozytorów i trzaski zakłóceń brzmiały dla mnie kojąco. Gdy tylko skaner wyłapywał coś ważnego, budziłam się natychmiast. Opisywałam morderstwa, pożary, wojny gangów i porwania zakładników, i starałam się jak najbardziej zbliżyć do miejsca akcji.

Pewnej nocy pojechałam zrobić reportaż z bójki gangów i wylądowałam z notesem w ręku w samym środku bijatyki. Myślę, że w pewnym sensie chroniła mnie naiwność – ludzie często byli tak ubawieni moją nieostrożnością, że kręcili głowami i brali mnie pod opiekę. Tamtej nocy przeprowadziłam wywiad z jednym z przywódców gangów, który potem obiecał, że zaczeka pięć minut, żebym dotarła w bezpieczne miejsce.

Innym razem robiłam reportaż z porwania zakładników i cał po calu przesuwałam się na linię ognia, dopóki wściekły, lecz opiekuńczy gliniarz nie odciągnął mnie do tyłu. Policjanci uwielbiali jednak moją zuchwałość, nawet kiedy

mnie za nią karcili. Pisałam o obyczajówce i regularnie fasowałam kamizelkę kuloodporną, kiedy jeździłam z glinami na nocne patrole.

Przez cały czas z zapalem odgrywałam swoją rolę strażnika prawdy – wierzyłam, że bronię prawa społeczeństwa do nieskrępowanej informacji. Wybrałam zawód, który zaspokajał moje najgłębsze potrzeby: potrzebę mówienia prawdy, i żeby mnie słuchano, i żeby mi wierzono, i żebym broniła sprawiedliwości.

Od nauki nowego języka przeszłam do wykorzystania tego języka jako źródła utrzymania. Od poczucia, że nie mam głosu, przeszłam do pisania słów, które tysiące ludzi czytało każdego dnia.

Jako reporterka miałam obsesję na punkcie ludzi w potrzebie, zwłaszcza dzieci, samotnych matek lub maltretowanych kobiet.

Lata świetlne dzieliły mnie od kobiety, jaką byłam podczas mojego małżeństwa, lecz wciąż żywo pamiętałam, jak tamta kobieta myślała, jak się czuła i zachowywała. Kiedy słyszałam ludzi krytykujących ofiary małżeńskiej przemocy – „Dlaczego po prostu nie odeszła?” – kipiałam wewnątrz. Nikt, kto sam tego nie przeżył, nie może tego zrozumieć.

Podczas jednego z policyjnych patroli spotkałam kobietę, która znosiła małżeńską przemoc prawie przez trzydzieści lat. Sąsiadka wezwała policję, ponieważ usłyszała krzyki, ale kiedy przyjechaliśmy na miejsce, kobieta oświadczyła, że wszystko jest w porządku, i nie chciała wnieść żadnej skargi. Jej mąż wyszedł z domu. Gliniarz był niecierpliwy i niegrzeczny; kobieta była pokorna i przepraszająca. Stałam z boku i patrzyłam na nią, myśląc, jak łatwo mogłam znaleźć się na jej miejscu.

Zanim wyszliśmy, podeszłam do niej i wyciągnęłam rękę. Czułam się bezsilna, serce mi się krajało, miałam łzy w oczach i nie mogłam wymyślić nic innego, tylko powtarzałam: „Tak mi przykro. Tak mi przykro”. Wręczyłam jej swoją wizytówkę

i powiedziałam: „Nie chcę pisać o pani artykułu ani nic z tych rzeczy. Byłam w takiej samej sytuacji i po prostu chcę pomóc w miarę możliwości. Nawet gdyby pani chciała tylko porozmawiać albo potrzebowała transportu, proszę do mnie zadzwonić”.

W jakiś tydzień później ta kobieta zadzwoniła i przez kilka miesięcy utrzymywałyśmy telefoniczną znajomość.

Nigdy nie spotykała się ze mną; powiedziała, że mąż nie pozwala jej wychodzić z domu bez jego wiedzy i musiała dzwonić, kiedy był w pracy. Rozumiałam ją doskonale. Powiedziała mi, że nigdy nie pracowała i ma tylko maturę. Nie wierzyła, że potrafiłaby zarobić na własne utrzymanie; nie wiedziała nawet, jak otworzyć rachunek bankowy ani korzystać z urządzeń użyteczności publicznej.

Ale ponad i poza wszelką logiką tkwiło zakorzenione w niej przekonanie, że nie zasługuje na nic lepszego. „Widziała mnie pani – mówiła. – Nie jestem młoda. Nie jestem ładna. Jestem niczym. Nie mam do niego pretensji, że mnie nie kocha. Przynajmniej mam gdzie mieszkać i co jeść. Pewnie skończę jako bezdomna. Dla mnie już za późno”.

Słuchałam i słuchałam, i próbowałam podsuwać jej pomysły – numer schroniska dla maltretowanych kobiet, kilku moich znajomych, którzy pomogliby jej zacząć nowe życie – i myślałam, że tylko cudownym zrzędzeniem losu nie skończyłam tak jak ona. Ale pewnego dnia kobieta po prostu przestała dzwonić.

Niektóre moje posunięcia sprawiały, że Leigh czuła się zaniedbana i dotknięta. Od czasu do czasu przyprowadzałam do domu ludzi, których spotykałam na reportażach – bezdomną matkę z dzieckiem, starszą panią, która przyszła do redakcji z niewiarygodną historią, dwie sieroty z fatalnej kraksy samochodowej, w której zginęli ich rodzice.

Dwie sieroty były siostrami, jedna miała dwa latka, druga cztery. Ich nieżyjący rodzice, rumuńscy imigranci, niedawno przyjechali do naszego kraju. Dwie

dziewczynki siedziały przypięte pasami w fotelikach na tylnym siedzeniu samochodu, dlatego nie odniosły żadnych obrażeń. Ale musiały patrzeć na rodziców zmiążdżonych z przodu, kiedy ciężarówka zderzyła się z ich małym samochodem.

Dostałam obsesji na punkcie tych dziewczynek. Po wypadku codziennie odwiedzałam je w domu zastępczym. Przynosiłam im zabawki. Nawet dowiadywałam się, czy mogę je zaadoptować.

Oddawałam potrzebującym ludziom wszystkie pieniądze, jakie akurat miałam przy sobie, a w rezultacie czasami nie wystarczało mi na zapłacenie rachunków czy kupno rzeczy potrzebnych mnie i Leigh.

Pomaganie innym ludziom w trudnej sytuacji pozwalało mi zapomnieć, jakie jesteśmy biedne; mogłam żałować kogoś innego zamiast siebie i komuś innemu okazywać współczucie.

Zawód reportera kryminalnego skazywał mnie na oglądanie różnych okropności prawie każdego dnia. Ale teraz byłam obserwatorem, nie ofiarą. Mogłam obejrzeć, opisać i trzymać się z boku.

Ze względu na charakter mojego zajęcia często stawałam twarzą w twarz ze śmiercią i zbliżałam się do niej coraz bardziej. Pewnego razu robiłam reportaż o kidnapingu i zdołałam chwycić dziecko przetrzymywane jako zakładnika niemal natychmiast, jak tylko policyjny snajper zastrzelił podejrzanego. Chciałam objąć i przytulić to dziecko. Chciałam je uleczyć, dać mu jakieś poczucie bezpieczeństwa i miłości, ale mogłam tylko o nim napisać.

Pewnego razu trzymałam w ramionach umierającą prostytutkę, którą postrzelił rozwścieczony klient. Kołysałam ją i patrzyłam jej w oczy, myśląc, że zdołam przekazać jej coś ważnego; że jej życie stanowiło bezcenną wartość; że nie musiała umierać samotnie. Zdawało mi się, że posiadam magiczną moc ratowania ludzi w ostatniej chwili – chociaż sama o tym nie wiedziałam – jeśli tylko obejmę ich

dostatecznie czule albo wystarczająco głęboko spojrzę im w oczy.

Innym razem pojechałam na reportaż o wypadku samochodowym i uklęknęłam obok umierającej kobiety, przybitej do fotela kierowcy. Okryłam jej ramiona swoim swetrem i mówiłam do niej, kiedy wydawała ostatnie tchnienie. Była dla mnie zupełnie obca, ale w tamtych sekundach zdawało mi się, że ją znam. „Jesteś taka cenna – mówiłam jej. – Nie jesteś sama. Kocham cię. Jestem przy tobie. To dla mnie zaszczyt, że jestem tutaj z tobą”.

Nie wiem, czy moje słowa miały jakieś znaczenie dla umierających ludzi, ale musiałam próbować – wciąż na nowo – ułatwić im ostatnią podróż. Musiałam pożegnać ich tak, jak nie mogłam pożegnać własnej matki. Serce mi pękało na myśl, że ktoś odejdzie z tego życia samotny i niekochany.

## Rozdział 17

Przez cały czas, kiedy w pracy zawodowej rzucałam się na oślep pomiędzy niebezpieczeństwa, odczuwałam nieustanny strach.

Na przykład moja chroniczna klaustrofobia pogłębiła się do takiego stopnia, że przez lata każda groźba utraty wolności przerażała mnie bardziej niż cokolwiek innego.

Przez długi czas woziłam w samochodzie nóż do steków, schowany pod uchwytem na kubek pomiędzy dwoma przednimi siedzeniami. Woziłam go jako zabezpieczenie – wcale nie przeciwko jakiemuś napastnikowi, tylko dla siebie na wypadek, gdyby mnie aresztowano, nawet przez pomyłkę. Wierzyłam, że gdyby mnie skuto kajdankami, posadzono na tylnym siedzeniu policyjnego samochodu, odstawiono do więzienia i zamknięto w celi, wpadłabym w taką panikę, że postradałabym zmysły. Po prostu bym zwariowała. Wyobrażałam to sobie niezwykle wyraźnie. Zaczęłabym wrzeszczeć i dyszeć, rzucać się i szarpać w kompletnym przerażeniu. Wolałabym raczej umrzeć niż znowu to przeżywać.

Nie do pomyślenia było, żebym znowu żyła w zamknięciu. Więc nosiłam nóż – chociaż moje aresztowanie było tak mało prawdopodobne – ponieważ wiedziałam, że w razie konieczności mogę wybrać odpowiednią chwilę i błyskawicznie wykonać dwa długie, pionowe cięcia wzdłuż przedramienia i jedno przez żyłę szyjną. Umrę, zanim zdążą nałożyć mi kajdanki, zanim zdążą ponownie zamknąć mnie w klatce, skąd nie ma wyjścia. Uważałam to za wielkie zwycięstwo – i przerażającą wyprawę w nieznane – kiedy mogłam wreszcie wyrzucić nóż i jeździć bez niego.

Strach przed uwięzieniem, przed pozbawieniem wolności zawsze był we mnie tak silny, że kładł się cieniem na wiele innych rzeczy w moim życiu. Wyrażał się w

klaustrofobii, która uniemożliwiała mi latanie samolotami, ponieważ tam zamykają ciężkie drzwi i nie ma już wyjścia. Nie mogłam jeździć na tylnym siedzeniu dwudrzwiowego samochodu. Jeśli miałam dostęp do klamki, wiedziałam, że w każdej chwili mogę wyskoczyć, co mnie trochę uspokajało.

Nie mogłam jeździć windą, ponieważ po zamknięciu drzwi znowu tkwiłam w klatce. Musiałam zorganizować sobie życie, żeby uniknąć sytuacji, które wywołują ataki strachu. Pogardzałam sobą za tę słabość. Pogardzałam sobą za to, że nie mogę lecieć samolotem. Pogardzałam sobą za to, że pocę się i trzęsę jak liść, kiedy muszę skorzystać z windy.

Pewnego razu wybierałam się na rozmowę w sprawie zatrudnienia w wieżowcu należącym do gazety. Kiedy weszłam do westybulu, zobaczyłam tylko biurko recepcji i windę. Weszłam do windy, ponieważ nie miałam wyboru; nie było schodów. Ale nie wiedziałam, że trzeba mieć specjalny klucz od ochrony, żeby uruchomić windę i wjechać na górę do redakcji. Więc drzwi się zamknęły i zostałam uwięziona w środku.

Wpadłam w panikę. Byłam wystrojona: ubrałam się w kostium, staranie umalowałam i uczesałam. Ale natychmiast zaczęłam płakać, więc tusz spływał mi po policzkach. Zaczęłam się pocić i dygotać. Serce waliło mi boleśnie mocno. Zaczęłam łomotać pięściami w drzwi windy i wrzeszczeć. Strażnik z ochrony otworzył drzwi, popatrzył na mnie, podał mi klucz i powiedział lakonicznie:

– Potrzebuje pani tego, żeby wjechać na górę.

Zdawało mi się, że jestem uwięziona w windzie przez wieczność, ale kiedy ten strażnik otworzył drzwi i spojrzałam na zegar nad recepcją, zobaczyłam, że spędziłam tam tylko trzy minuty.

\* \* \*

W wieku dwudziestu kilku lat poszłam do księgarni z przyjaciółką. W dziale poezji jak zwykle zaczęłam wertować książki i trafiłam na tomik Edny St. Vincent Millay. Otworzyłam go na chybił trafił i przeczytałam słowa: „Czym jest moje życie dla mnie? Czym ja jestem dla życia?”. Zalałam się łzami na środku księgarni Barnes & Noble. Oto był wiersz, który przeczytałam w wieku dziesięciu lat, tamtego magicznego popołudnia. Oto były słowa, które zachowałam w sercu przez resztę życia, poezja, którą tak pragnęłam ponownie odnaleźć, której szukałam przez tyle lat. Oto wreszcie była poetka, która dokładnie wyraziła moje uczucia wobec śmierci, straty i bolesnych wspomnień.

Nadal pisałam – w codziennej pracy, w prywatnym dzienniku, w poezji – i słowo pisane miało dla mnie fundamentalne znaczenie. Czytanie o cudzych cierpieniach i tryumfach powstrzymywało mnie od uzalania się nad sobą. Codzienne wywiady z ludźmi, którzy przeżywali własne porywy rozpaczy, uczyły mnie współczucia. A czytanie poetów takich jak Millay dawało mi nadzieję.

Przez lata moje gusty literackie ewoluowały, lecz wciąż miałam zwyczaj cytowania na głos ulubionych pisarzy, jak w siódmej klasie do Joego, który złamał mi serce. I wciąż mężczyźni w moim życiu, bez względu na długość czy stopień znajomości, nie potrafili pojąć, o czym właściwie mówię, dlaczego słowo pisane znaczy dla mnie tak wiele i dlaczego jestem taka rozczarowana, że dla nich nie znaczy nic.

Kierowałam rozmowę na literaturę, po czym deklamowałam na przykład Szekspirowski sonet: „Gdy pod wzgardą Fortuny i ludzkiej niełaski...” [William Szekspir, sonet XXIX, przeł. Marian Hemar.] albo wiersz Edny St. Vincent Millay. I zwykle, chociaż zdawałam sobie z tego sprawę najwyżej ułamkiem świadomości, to był test.

Postanawiałam wyrecytować te wersy i zobaczyć, co się stanie. Zawsze spotykał mnie zawód. Zwykle mężczyzna spoglądał na mnie tępo i zmieniał temat



albo pytał: „Och, co to takiego?”, ja wyjaśniałam, a on mówił: „Hmm. Nauczyłaś się tego na pamięć? Po co?”. Moje fantazje nigdy się nie spełniały. Chciałam spotkać kogoś, kto czułby do tych wierszy to samo co ja.

Tak zdarzyło się tylko raz. Zadeklamowałam urywek wiersza Michała Anioła mężczyźnie, z którym się spotykałam, a on ożywił się i powiedział:

– Racja, zapomniałem, że Michał Anioł był nie tylko artystą, ale także poetą.

Serce mi zabiło i powiedziałam:

– Tak, był cudowny. Mam tomik jego poezji, jeśli chciałbyś zobaczyć.

Podalam mu książkę, a on przewertował ją i zawołał:

– Och, jest też włoska wersja. Znam biegle włoski.

Tym mnie zadziwił, chociaż zawsze miałam poczucie niższości wobec ludzi, którzy znali obce języki albo zjeździli cały świat. Pomyślałam jednak: „Może to jest to. Może w tym mężczyźnie znajdę głębię, romantyzm i piękno ducha, których szukam”.

Więc czytał mi na głos po włosku, a ja tłumaczyłam oczarowana. To była nasza druga randka.

Pomiędzy drugą a trzecią randką zbudowałam w wyobraźni kompletną fantazję na temat tego mężczyzny: że wreszcie znalazłam bratnią duszę. On będzie głęboki, romantyczny, namiętny, zmysłowy, wierny i seksualnie nienasycony, a jednocześnie wrażliwy, błyskotliwy i zabawny – chociaż obawiałam się, że jeden człowiek nie może posiadać tych wszystkich cech jednocześnie. Na trzeciej randce poszliśmy na obiad i mój wybranek ostentacyjnie flirtował z kelnerką: wygłaszał komentarze o jej nogach i jaka z niej lala. Nawet wyznał mi, że zatrudnił swoją sekretarkę, bo jest taka wystrzałowa. Tak runął mój domek z kart i więcej się z tym mężczyzną nie spotkałam.

\* \* \*

Wiem, że każda terapeutka warta swojej licencji potrafi wyjaśnić, dlaczego tak bardzo potrzebując oparcia, wiązałam się z mężczyznami, którzy go nie dawali. Żadne poradniki i żadne dobre rady, jak pokochać siebie i znaleźć w sobie oparcie, nie docierały do korzeni tej tęsknoty: mieć pewność, że ktoś w moim życiu zostanie ze mną. Że jeśli pozwolę sobie pokochać inną istotę ludzką i okażę zaufanie, nie zostanę porzucona. Że będę bezpieczna. I że kiedy wyciągnę rękę, ukochana osoba będzie obok i też wyciągnie do mnie rękę.

Od czasu do czasu nawiązywałam coś w rodzaju romansu i za każdym razem wbrew sobie miałam nadzieję, że to właśnie on jest tym jedynym, który da mi to, czego szukam. Za każdym razem przegrywałam.

Przy każdym doświadczeniu szukałam na oślep w ciemnościach czegoś przypominającego miłość. Lecz prawdziwe przeżycie, suma i substancja miłości, wciąż mi umykało. Pragnęłam rzeczy, której nie potrafiłam nawet określić. Każdego mężczyznę postrzegałam jako cień i tęskniłam za miłością wcieloną: czułą i namiętną, czystą i mroczną, wypełnioną po brzegi aż do przelania. Za nieokiełznaną intymnością.

Prześladowało mnie to samo przeczucie skazanej miłości, jakie chyba miała Omma. Zakochała się nieuchronnie, co doprowadziło do tragedii. Przynosiłam sobie to wspomnienie, wzbogacone o lata czytania Szekspira, Bronte i smętnych angielskich poetów.

Kilka lat po rozwodzie poznałam w pracy mężczyznę, który zakochał się we mnie. Teraz o tym wiem, ale wtedy uważałam, że cierpi na jakąś poważną psychiczną skazę, skoro mnie pragnie. Nasze biurka stały naprzeciwko siebie w sali reportaży i od czasu do czasu, podnosząc wzrok widziałam, że mnie obserwuje.

Pewnego wieczoru przyszedł do mnie do domu. Usiedliśmy na tylnym podwórzu, patrzyliśmy na gwiazdy i rozmawialiśmy. Było lato i miałam na sobie

lekką sukienkę z dużym kwadratowym dekoltem. Blask księżyca lśnił na mojej skórze, a Mike pochylił się do przodu i delikatnie przesunął palcem po moim obnażonym obojczyku.

– Masz takie piękne kości – powiedział.

Te słowa podziałały jak wstrząs elektryczny – zawsze czułam się na wskroś brzydka, na zewnątrz i od środka, a ten zdumiewający mężczyzna dostrzegł piękno nawet w moich kościach.

Przez sekundę prawie mu uwierzyłam.

Spotykaliśmy się przez jakieś sześć miesięcy, aż do dnia, kiedy poprosił mnie o rękę. Mike był poważnym człowiekiem i zalecał się do mnie z werwą i uporem. Pisał dla mnie wiersze i piosenki – w kwiecistym, romantycznym stylu.

Przynosił mi kwiaty i traktował mnie z galanterią. Był również namiętny i zmysłowy. Złamałam mu serce. Gardziłam nim za to, że mnie kochał.

Po Mike’u spotykałam się z mężczyznami, którzy traktowali mnie bardziej niefrasobliwie. Każdy, który zaczynał się angażować, natychmiast stawał się podejrzany – uważałam, że jeśli naprawdę zależy mu na mnie, musi być stukniętym zbrojeńcem, a jeśli udaje, to uprawia jakieś sadystyczne gierki.

Często wiązałam się z mężczyznami żonatymi. Nigdy tego nie planowałam, po prostu tak wychodziło. Żonaci zazwyczaj nie wymagali ode mnie zbyt wiele, a ja nie musiałam się martwić, czy naprawdę mnie kochają. Przy nich nie lękałam się odrzucenia, ponieważ znałam zasady. Te związki wydawały się bezpieczne i pozbawione ryzyka, i zazwyczaj rozmywały się spokojnie, nie przyczyniając wielkich cierpień żadnej ze stron.

Czasami jednak sprawy się komplikowały. Kilka razy tak dobrze odgrywałam rolę wyrozumiałej kochanki, że mój partner postanawiał odejść od żony. Za pierwszym razem, kiedy do tego doszło, facet po prostu zjawił się pewnego wieczora w moim domu z walizką i oznajmił, że powiedział żonie o nas. Zupełnie

mnie zaskoczył. Żona zaczęła wydzwaniać do mnie do domu i do pracy, ja miałam pretensje do niego, że ją skrzywdził, i do siebie, że w tym uczestniczyłam, i wśród tych pretensji nasz związek szybko się rozpadł.

Nadal wybierałam mężczyzn, którzy w końcu musieli mnie zostawić, tak jak mój ojciec zostawił Ommę. Nie wierzyłam, że prawdziwa miłość spotyka takie jak ja, i po każdym zerwaniu miałam kolejną okazję, żeby się zbesztać. „Widzisz? Nikt nigdy z tobą nie zostanie. Naprawdę myślałaś, że tym razem będzie inaczej? Jesteś żalosna i odrażająca”.

\* \* \*

Oczywiście w związkach z mężczyznami moje azjatycko-amerykańskie rysy zawsze stanowiły kolejną przeszkodę na drodze do miłości. Kilka lat temu sąsiadka, z którą gawędziłam kilka razy, zapytała mnie, czy nie chciałabym poznać jej brata.

– Och, on się w tobie zakocha – zapewniła. – Uwielbia mieszańce.

– Mieszańce? – zapytałam. – To znaczy mieszane ciasta? Mieszane drinki?

– No wiesz – odparła, klepiąc mnie po ramieniu. – Mieszańce. Ludzi takich jak ty.

Chociaż wewnętrznie kipiałam ze złości, uśmiechnęłam się do niej, ponieważ wiedziałam, że na swój ograniczony środkowoamerykański sposób chciała dobrze.

Ale nie umówiłam się z jej bratem.

Mężczyźni stanowili dla mnie coś w rodzaju balsamu. Ich względy na chwilę przytępiały ból, z którym żyłam. Lecz pod znieczuloną powierzchnią rana jątrzyła się i ropiała. Musiałam przerwać znieczulanie i wystawić ranę na uzdrawiające świeże powietrze.

Przez cały czas unikałam poważnych związków, żeby uniknąć bólu, a potem

skarżyłam się na moje puste życie, przypominające błędne koło. Unikałam radości, a potem narzekałam, że brak mi jej w życiu.

Próbowałam sobie wmówić, że powinnam się wstydzić tej tęsknoty. Próbowałam się strofować. Wysztychałam samą siebie i obrzucałam obelgami. Tęsknota nie ustawała. Ciągłe tłukła mi się po głowie pewna linijka z piosenki zespołu Ninę Inch Nails: „Pragnę właśnie tego, czego nigdy nie dostanę”. Absolutna prawda, myślałam.

Romantyczna miłość stanowiła dla mnie całkowitą zagadkę. Często o niej rozmyślałam: Co się wtedy czuje? Jak to wygląda, pachnie, smakuje? Jakie myśli przychodzą do głowy, kiedy wiesz, że ktoś cię kocha, i odwzajemniasz to uczucie? Nie potrafiłam sobie tego wyobrazić. Wiedziałam tylko, że tego pragnę. A jednak również bałam się tego: że będzie zbyt cudowne i przerażające. Ponieważ wszystko, co zdobywamy w życiu, w końcu tracimy. Wszystko, co mamy, zniknie pewnego dnia. Gdyby miłość miała przyjść, jakże niszcząca byłaby świadomość, że kiedyś odejdzie. Każdy umiera. Życie nas zmienia. Doświadczenia i okoliczności nas zmieniają. A miłość zmienia się od zachwytu do wstrętu – widziałam to wiele razy.

Nie wierzyłam, że cokolwiek warte jest takiego bólu i strachu. Gdyby ktoś powiedział: „kocham cię” i gdybym czuła to samo, i gdybym wiedziała, że mogę mu zaufać, czy chciałabym to zatrzymać tak bardzo, że żyłabym w wiecznym strachu? Po prostu nie miałam pojęcia, ale oczywiście wiedziałam, że nigdy nie będę miała okazji tego sprawdzić.

## Rozdział 18

Nigdy nie sypiałam dobrze. Jeśli w nocy przespałam trzy lub cztery godziny, uważałam, że mam szczęście. Brnęłam przez dzień rozpaczliwie zmęczona, ale w nocy za nic nie mogłam się odprężyć. Cierpiałam na przerost czujności: budził mnie każdy dźwięk.

Wiedziałam, że w nocy dzieją się okropne rzeczy i jeśli osłabię czujność, spotka mnie krzywda. Niestety, pomimo całej mojej czujności okropne rzeczy jednak się zdarzały.

Chociaż nie zmrużyłam oka w koszu tamtego wieczora, Omma została zabita. Chociaż przez całą noc pilnowałam dziecka w sierocińcu, następnego ranka nie żyło. Chociaż próbowałam nie spać po nocach podczas mojego małżeństwa, budziłam się nagle i odkrywałam, że mąż przyciska mi poduszkę do twarzy. Nieważne, jak wielką ostrożność zachowywałam przez całe życie, to nigdy nie wystarczało.

Podczas tych nocnych wart, kiedy czekałam na umykający sen, lękając się nieuniknionych koszmarów, jedyną pociechę znajdowałam w poezji, zwłaszcza w wierszu Edny St. Vincent Millay „Pieśń narodów”.

*Z nocy*

*I czuwania Z mroku*

*I grozy*

*Ze starej nienawiści*

*Zapiekłej urazy*

*Grzechu i skruchy*

*Pasji i ślepoty*

*Nadejdzie*

*Świt i ptaki*

*Nadejdzie*

*Kres chciwości*

*Przerwa w strachu –*

*Miłość owinie się ciepło jak płaszcz*

*Wokół drżącej ziemi*

*Póki nie ścichnie głos jej niedoli.*

*Po*

*Nocnych koszmarach*

*Po*

*Płaczu przez sen,*

*Żalu ponad rozumem,*

*Wykręcaniu rąk,*

*Łzach spod zamkniętych powiek*

*Moczących poduszkę*

*Nadejdzie*

*Słońce na murze*

*Nadejdą*

*Dźwięki z ulicy*

*Dziecięcej zabawy –*

*Bańki zbyt mocno rozdęte i sny*

*Zbyt ciężko wypełnione grozą*

*Pękną i spłyną jak mgła.*

*Śpiewaj wówczas,*

*Ty, który byłeś niemy,*

*Wołaj wówczas*

*W ciemność:  
Czy nie jesteśmy jednym?  
Czy nasze serca  
Nie płoną jednym ogniem,  
W jednej odlanej formie?  
Z nocy  
I czuwania,  
Z koszmarnych snów,  
Sięgnij do mnie swą ręką,  
Oto znaczenie wszystkiego, co  
Cierpimy we śnie – biały spokój  
Przebudzenia.*

Ten proces zaczął się dla mnie od zrozumienia, że czujność sama w sobie nie chroni nas przed tragedią. Nauczyłam się, że osłabienie czujności nie jest moją winą; nie mogłam niczemu zapobiec.

Słowa Leigh:

*Wiedziałałam, że moja matka często ma myśli samobójcze. Patrząc z perspektywy nie jestem pewna, czy nie wolałabym raczej pozostać nieświadoma tego przez jakiś czas, ale w prawdziwym uczciwym związku nie można wybierać, co będzie ujawnione, a co trzymane w sekrecie. Myślę, że dla mojej matki sekret oznaczał zło, ponieważ w jej życiu spowodował tyle cierpienia, a tajemnica otaczająca lata jej dzieciństwa odbierana była jako równa hańbie. Więc wychowując mnie pilnowała, żeby nie trzymać nic w sekrecie.*

*Wierzę, że dzieci – wiedzą znacznie więcej, niż zdajemy sobie sprawę, pewnie czasami znacznie więcej, niż byśmy sobie życzyli; a ja z pewnością od bardzo wczesnego wieku rozumiałam, co się dzieje w życiu mojej matki. Część mnie*



wiedziała, że moja matka nie chce żyć.

*Rzecz prawie równie niemożliwa do wypowiedzenia, jak do odczucia.*

*Miałam niewiele ponad dziesięć lat, kiedy pewnego wieczoru posadziła mnie i powiedziała, że może nadejść chwila, kiedy ona po prostu dłużej nie wytrzyma. Wiedziałam dość o jej stanie, żeby nie pytać, co to znaczy. Wyznała mi, że chociaż strasznie będzie za mną tęskniła, pewnego dnia może będzie musiała zakończyć swoje życie i zostawić mnie. Powiedziała, że kiedy (ponieważ tak naprawdę nie istniało żadne „jeśli”) to się stanie, dam sobie radę i że to w żadnym sensie nie będzie moja wina.*

*Lecz wówczas zawarliśmy pakt, że ona wytrzyma do końca mojego dzieciństwa, żebym nigdy nie została pozbawiona matczynej opieki. Z czego wynikało, że kiedy podrosnę i lepiej potrafię to znieść, ona poczuje się wolna, żeby zrobić to, czego naprawdę chce.*

*Nie potrafię wyrazić, co wtedy czułam: mieszaninę przerażenia, zakłopotania i gniewu, że stanowią jedyną więź łączącą moją matkę z życiem. Naprawdę mogłam tylko powiedzieć, że zrozumiem i nie będę miała jej tego za złe. Czułam się jak sparaliżowana, ale trzymałam się, wiedząc, że nawet gdyby miała odejść następnego dnia, muszę wykorzystać każdą chwilę tak, jakby była ostatnia.*

*Chociaż matka nie zamierzała się zabijać, dopóki byłam mała, nie rozumiałam, w jaki sposób dojrzałość może zmienić moje uczucia, i zawsze podejrzewałam, że obietnice i pakt mogą zostać złamane. Następne osiem lat spędziłam oczekując chwili, kiedy matka już dłużej nie wytrzyma.*

*Gdy dorosłam, zawarliśmy nowy pakt: że matka nigdy nie targnie się na własne życie. Dopiero wtedy, po tylu latach wstrzymywania oddechu, odetchnęłam swobodnie.*

\* \* \*

W połowie drogi pomiędzy trzydziestką a czterdziestką zaczęłam medytować. Nic nie wiedziałam o medytacji i skłonna byłam wyśmiewać coś, co uważałam za bzdurę w stylu New Age. Ale goniłam już resztkami sił. Z jakiegoś powodu nie potrafiłam dłużej ignorować życiowych nieszczęść, które tłukły we mnie jak fale przyływu.

Nadal przez cały czas myślałam o samobójstwie. Nie mogłam spać w nocy, a kiedy zasnęłam, chodziłam we śnie. Moja najlepsza przyjaciółka namówiła mnie, żebym poszła z nią na seminarium. Nigdy nie słyszałam o tych prelegentach, ale ufałam przyjaciółce, więc ustąpiłam. Nie miałam jednak cierpliwości dla innych uczestników. Szeptalam przyjaciółce do ucha złośliwe uwagi: „Spójrz na tego faceta. Czemu nie wyrzuci tego ręcznie farbowanego podkoszulka? Założę się, że nakleił te kretyńskie misiaczki nawet na swoim volkswagenie”. Nie rozumiałam, dlaczego wszyscy muszą mówić w taki powolny, łagodny sposób, i byłam chyba jedyną umalowaną kobietą w budynku.

Lecz kiedy rozpoczęło się seminarium, krytyk we mnie zamilkł. Po powrocie do domu postanowiłam spróbować medytacji, chociaż na własnych warunkach: nie zamierzałam nosić żadnych emblematów, nie zamierzałam zachowywać się jak zombi pod narkozą i nie zamierzałam traktować tego zbyt poważnie.

Odkryłam kilka zdumiewających rzeczy. Zawsze ogarniała mnie silna panika, kiedy próbowałam stłumić dręczące mnie uczucia. Odkryłam, że jeśli dopuszczę do siebie te uczucia, panika ustępuje. Żal, cierpienie i samotność pozostają.

Smutki życia. Dziesięć tysięcy smutków.

Próbowałam stępiać te uczucia za pomocą doraźnych środków, jak związki z mężczyznami. Ale stwierdziłam, że doraźne środki uśmierzające tylko mnie wyniszczają i same wywołują dotkliwy ból. Skuteczny balsam po prostu pozwalał cierpieniu wypłynąć na powierzchnię, gdzie mogło oddychać i leczyło się samo, w

swoim własnym tempie – nie próbował go stępiać, maskować i przykrywać grubą warstwą pozorów.

Uczyłam się również żyć sama. Leigh była na drugim roku studiów i mieszkała poza domem. Ciężko mi było przyzwyczać się do życia bez mojej córki, najlepszej przyjaciółki i oparcia. Każda z nas musiała wreszcie zacząć żyć samodzielnie; od narodzin Leigh byliśmy emocjonalnie zrośnięte i dopiero teraz przechodziłyśmy przez normalne stresy rozstania, do których powinnyśmy przywyknąć kilka lat wcześniej.

Po jej wyjeździe musiałam spojrzeć na siebie uczciwie i znaleźć nowy powód do życia. Zawsze wynosiłam pod niebiosa wszystkie zalety Leigh: była taka bystra; była taka piękna, dowcipna, błyskotliwa i pełna temperamentu – moje życie tylko dlatego coś znaczyło, że wydałam ją na świat. Z wiekiem coraz gorzej przyjmowała te pochlebstwa. Za nic nie chciała sprawić mi zawodu. Czuła się odpowiedzialna za moje szczęście, dosłownie za moją dalszą egzystencję na tym padole.

\* \* \*

W tym okresie dobiegał końca związek, który stanowił punkt zwrotny w moim życiu. Po raz pierwszy myślałam, że może jednak zasługuję na miłość.

Ten mężczyzna był żonatym kolegą z pracy; coś, co zaczęło się od długich rozmów, przerodziło się w związek fizyczny. On był nieszczęśliwy i niezadowolony w małżeństwie, więc wykorzystał mnie, żeby odejść od żony i na nowo ułożyć sobie życie.

Ten standardowy, ułomny związek okazał się katalizatorem dla znacznie głębszego bólu, lecz nawet cierpiąc zdawałam sobie sprawę, że chodzi o coś ważniejszego. Odarte ze wszystkich przerośni wyglądało to całkiem prosto:

Wybrał inną. Po raz kolejny zostałam odtrącona. Lecz dopuściłam do siebie to uczucie i dlatego zaczęłam przeżywać wszystkie lata skumulowanego odrzucenia. Czułam ich ciężar i wiedziałam, że po raz pierwszy akceptuję cierpienie w moim życiu.

Byliśmy razem, dopóki był żonaty i kiedy się rozwodził, ale po zakończeniu sprawy rozwodowej powiedział mi, że potrzebuje spotkań z innymi kobietami.

Czasami nawet śmiałam się z tej ironii losu: jedynym, co podtrzymywało tak długo nasz gówniany związek, był nasz gówniany związek. Rozmawialiśmy tylko o naszym związku i naszych problemach. Jedno albo drugie zawsze cierpiało; jedno albo drugie zawsze pytało dlaczego. Jedno albo drugie wyjaśniało, co jest złe w naszym związku.

Fakt, że poza tym nie mieliśmy specjalnie o czym rozmawiać. Gdyby nasz związek był normalny i satysfakcjonujący, zabrakłoby nam tematów do rozmowy. A gdyby brakowało nam tematów do rozmowy, związek nie byłby normalny i satysfakcjonujący. Nie mieliśmy wspólnych zainteresowań; nie mieliśmy wspólnych celów. Nic nas nie łączyło oprócz bólu.

Jak tylko przestał mnie potrzebować, odszedł. Przez większość czasu trzymał się mnie kurczowo jak tonący, aż wreszcie wspiał się na mnie, żeby wydostać się z wody. I nawet nie obejrzał się za siebie, żeby sprawdzić, czy poszłam na dno.

Lecz kiedy go opłakiwałam, właściwie opłakiwałam pierwsze doświadczenie w moim życiu, które przypominało romantyczną miłość. Nie żałowałam utraty mężczyzny; żałowałam utraty złudzeń. Poczułam, że wreszcie żyję w rzeczywistym świecie.

\* \* \*

W tym czasie całkowicie odwróciłam się plecami do chrześcijaństwa, chociaż

nigdy nie powiedziałam o tym rodzicom – nie chciałam niepotrzebnie ich ranić. Nadal czułam odrazę wobec wszystkiego, co zatracało zorganizowaną, fundamentalistyczną religią, toteż uwielbiałam słowa dalajlamy: „Moja religia to miłość-dobroć”. Zrozumiałam, że to oznacza miłość-dobroć wobec wszystkich w moim życiu: w przeszłości, teraźniejszości i przyszłości; i to oznacza miłość-dobroć wobec mnie samej – w moim bólu, w mojej zazdrości, w moim strachu.

Kiedy po raz pierwszy niepewnie recytowałam mantrę „Om mani padme hum”, zaskoczyła mnie własna reakcja. Poczułam ostre, zimne mrowienie w skórze głowy. Przez moment miałam wrażenie, że zaraz wzniosę się z podłogi – że przeżyję na jawie sen o lataniu. Potem wybuchnęłam płaczem. Reakcja była tak intensywna, dogłębna i spontaniczna, że sama nie wiedziałam, co o tym myśleć. Mogłam jedynie to przyjąć takim, jakie jest, bez potrzeby analizowania czy wyjaśniania.

Nie wiem dokładnie, co śpiewała Omma – nie pamiętam jej słów. Ale studiowanie buddyzmu jakoś przybliżało mnie do niej i jednocześnie do rdzenia mojej własnej istoty. Tylko w ten sposób mogłam zawrzeć pokój z własną przeszłością i odrzucić fałszywe osobowości, które wybrali dla mnie inni ludzie w moim życiu.

Wiedziałam, i akceptowałam ten fakt ze zdumieniem i lękiem, że podczas śpiewu czy medytacji doświadczam przebłysków chwil, które spędziłam w ten sposób z Ommą. Siadałam ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, zamykałam oczy i zaczynałam śpiewać, i nagle zupełnie inaczej zaczynałam odbierać swoje otoczenie: dywan pode mną zmieniał się w klepisko, odgłosy ulicznego ruchu cichły, zapach kadzidła Ommy i jej śpiewny, słodki głos wypełniały powietrze.

Chciałam, żeby miłość-dobroć stała się nie tylko moją religią, ale stylem życia. Zrozumiałam, że zerwanie z kochankiem to najlepsze, co mogło mnie spotkać. Gdybyśmy zostali razem, moje poszukiwanie sensu byłoby praktycznie

niemożliwe. Dzień po dniu walczyłabym ze starymi demonami zazdrości, zwątpienia, niepewności, niezadowolenia, nudy. Teraz mogłam spotkać się z bólem twarzą w twarz, uścisnąć mu dłoń, a potem pozwolić mu odejść. Nie musiałam z nim mieszkać.

Niemniej zachowałam szczyptę zdrowego sceptycyzmu. Przyszło mi do głowy, że traktowana zbyt dogmatycznie karma niewiele różni się od predestynacji. Jeśli można kogoś skreślić, ponieważ nie został predestynowany – albo wybrany przez Boga do zbawienia – można również go skreślić, ponieważ jego cierpienia są karmiczne, czyli zasłużone.

Wierzyłam jednak, że mój ból z powodu nieudanego związku to karma na najbardziej podstawowym poziomie. Pozwoliłam, żeby moje bezpośrednie emocje doprowadziły mnie do romansu z żonatym mężczyzną – co poważnie zraniło jego żonę. Dawniej moje zachowanie raniło innych ludzi, włącznie ze mną. A teraz zbierałam burzę. Ale nie chciałam wciąż powielać tego samego życiowego schematu: tłumić uczuć i ignorować prawdy.

Nie wiedziałam, co robić poza świadomym przeżywaniem każdej chwili samotności i tęsknoty, smutku i straty, nadziei i odwagi. Próbowałam zaakceptować każdą napływającą emocję bez strachu, paniki czy odrzucenia. Rozumiałam coraz wyraźniej, że taka jest kondycja ludzka. Strata dotyka wszystkich i tak będzie aż po kres związków między ludźmi. Walczyłam, żeby odnaleźć w sobie miłosierdzie i czułość dla siebie i wszystkich, którzy kiedyś cierpieli lub będą cierpieć.

Po raz pierwszy w życiu rozważałam poważnie możliwość, że wszystko będzie dobrze. Wierzyłam, że uzdrowienie czeka tuż za rogiem; że zaledwie jeden oddech dzieli mnie od wyleczenia. Zaczęłam lubić siebie. A sytuacja wyglądała wtedy niewesoło: moja praca wisiała na włosku, nie miałam nikogo, czułam się samotna, przyszłość mnie przerażała.

Wkroczyłam na dziewicze terytorium uzdrowienia.

W trakcie tego wszystkiego czepiałam się jednej nadziei: droga jest piekielnie kamienista, ale kiedyś się skończy. U celu czeka na mnie spokój, spełnienie, miłość. To była dla mnie nowość – przedtem nie wiedziałam, że takie rzeczy mogą istnieć w moim życiu. Zaczęłam wierzyć we własną siłę i wspominałam, przez co przeszłam do tej pory. Powtarzałam sobie, że w porównaniu z przeszłością obecny bałagan to kaszka z mleczkiem.

Moje dawne marzenia o samobójstwie zostały zastąpione przez marzenia o całkowitym, pełnym wyleczeniu. Uwierzyłam, że wszystko jest możliwe.

Po raz pierwszy w życiu zaczęłam spoglądać w głąb siebie i dostrzegać możliwości, które budziły we mnie podziw i radość.

Uczyłam się smakować chwile zachwytu. Po wyjeździe Leigh przeprowadziłam się do maleńkiego mieszkania w suterenie domu na wzgórzach ponad miastem. Dom stał u podnóża pięknej góry, wokół rosły sosny, eukaliptusy i mnóstwo kwiatów.

Wkrótce po przeprowadzce wybrałam się na włóczęgę po wzgórzach i w ciągu godziny zabłądziłam. Nie groziło mi żadne prawdziwe niebezpieczeństwo, ponieważ wszędzie stały rozproszone domy, a letni wieczór był ciepły i balsamiczny, poczułam jednak przyływ znajomej paniki. Byłam zmęczona, bardzo spragniona i przestraszona, ponieważ nie znałam drogi do domu.

Wędrując ścieżką wśród gęstych zarośli, zobaczyłam dziką śliwę tkwiącą w kępie drzew szpilkowych. Zerwałam jedną ciemnopurpurową śliwkę i zjadłam powoli, delektując się każdym kęsem i każdą kroplą świeżego, niewiarygodnie słodkiego soku. W jednej chwili pragnienie zostało ugaszone, zmęczenie minęło bez śladu i przeżyłam chwilę oszołamiającej jasności. Śliwka była doskonała; chwila była doskonała.

Kiedy tam stałam, zachwycona swoim doświadczeniem, pragnąc zachować je

na zawsze w sercu, spomiędzy drzew wyszedł jeleni i zaczął zjadać śliwki, które spadły na ziemię. Spojrzał na mnie, ale nie przerwał jedzenia. Przyglądałam mu się przez kilka minut, a potem odwróciłam się i instynktownie ruszyłam we właściwym kierunku: do domu.

Omnia mawiała, że życie składa się z dziesięciu tysięcy radości i dziesięciu tysięcy smutków. Zrozumiałam, że śliwka, jeleni i ten dzień zaliczają się do dziesięciu tysięcy radości – i że każda chwila, jeśli przeżyta w pełni, również znajdzie tam swoje miejsce.

\* \* \*

W tym samym czasie zaczęłam oglądać swoje zdjęcia z dzieciństwa – zdjęcia, które ukrywałam przez wiele lat. Zawsze nienawidziłam tamtego dziecka i czułam do niego pogardę. Nauczyłam się kochać dziewczynkę o poważnej twarzy z tych fotografii, która straciła matkę, straciła jedyne poczucie bezpieczeństwa, żyła jak więzień w sierocińcu, a potem, gdy dorosła, była systematycznie maltretowana. Poprosiłam ją o wybaczenie za moją poprzednią oziębłość i za to, że opuściłam ją tak jak wszyscy inni.

\* \* \*

Zaczęłam na serio studiować buddyzm i poczułam się tak, jakbym wróciła do domu. Jedna bardzo ważna dla mnie lekcja głosiła, że na całym świecie nikt nie zasługuje na miłość bardziej ode mnie. To była absolutna antyteza wszystkiego, czego dotąd nauczyło mnie doświadczenie. Przez całe życie wierzyłam, że na całym świecie nikt nie zasługuje na miłość mniej niż ja. Powiedziałam sobie, że spróbuję siebie pokochać krok po kroku: w kłopotach z pracą; w smutnych,



strasznych, samotnych chwilach; w bólach porodowych odnajdywania siebie.

Pewnego wieczoru zapaliłam kadzidło, zrobiłam jęczmienną herbatę i napisałam list do mojej matki:

Moja Ommo,

Chcę ci opowiedzieć o zmianach, które zachodzą w moim życiu. Zawsze myślałam, że powinnam cierpieć jak ty, ponieważ pragnęłam sprzymierzyć się z tobą. Pragnęłam utożsamić się z tobą. Lecz teraz widzę, że to byłoby hańbą dla twojej pamięci. Chcę spełnić twoje życzenie. Życzyłaś sobie, żebym była bezpieczna i chroniona. Ponieważ już nie możesz mnie chronić, ja przejmę ten obowiązek. Zrobię to na twoją cześć; przez pamięć o najbardziej kochanej osobie na świecie. Zacznę od tego miejsca, gdzie musiałaś przerwać. W ten sposób zawsze będziemy sprzymierzone. Naprawdę będziemy zjednoczone. Będziemy miały wspólny cel – bezpieczeństwo i szczęście dziecka, które kochałaś.

Chciałam upodobnić się do ciebie. Chciałam zbliżyć się do ciebie. Teraz widzę, że to jedyny sposób. Żeby upodobnić się do ciebie, muszę kochać córkę, którą wydałaś na świat i za którą umarłaś. I pokocham ją, moja najdroższa Ommo. Dołożę wszelkich starań, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo, wolność i zdrowie. Tego chciałaś, więc to zrobię.

Tak bardzo cię kocham. Tak bardzo za tobą tęsknię. Jestem taka samotna bez ciebie. Ale dzięki temu czuję, że twój duch działa poprzez mnie.

Zawsze miałam wrażenie, że żyję wewnątrz bańki. Świat na zewnątrz postrzegałam jako zamazany i niewyraźny, niewidzialna bariera oddzielała mnie od wszystkiego. Chciałam sięgnąć poza nią i stać się prawdziwą osobą, należąca my”. Ja mam „problem” porzucenia. Pewien mój przyjaciel wymawia to „proplem”; w ten sposób łatwiej mi wypowiedzieć to słowo – nie brzmi tak złowieszczo. Ale

wciąż jest okropne. Więc pracuję bez końca nad cholernym „problemem” – we własnym zmaconym umyśle, podczas medytacji, na terapii.

\* \* \*

Szukając oparcia w życiu, nie potrafiłam myśleć w kategoriach „Boga”, „siły wyższej” ani niczego takiego. Dotarłam do punktu, gdzie nie wierzyłam w nic zbliżonego do bóstwa i czułam żrącą nienawiść do wszystkiego, co zatracęło religią.

Więc kiedy terapeutka poprosiła mnie, żebym wyobraziła sobie siłę lub istotę zdolną pokonać moje lęki, wydawało to się niemożliwe – dopóki nie pomyślałam o osobie, którą stawiałam się w snach o lataniu. Byłam silna, potężna, nieustraszona, szybowałam swobodnie nad ziemią. Ten wizerunek siebie był najbliższy moim wyobrażeniom o „sile wyższej”.

Zerwanie mojego romansu z samobójstwem okazało się bardzo trudne. Wciąż czasami rozmyślałam o samobójstwie, nawet teraz, ale już nie tęsknie i romantycznie jak dawniej. Pod wieloma względami zanik żądzy samobójczej przypominał stratę długoletniego kochanka.

Cierpiałam również na poczucie winy „tego, kto przeżył”, a samobójcze marzenia uśmierzały tę winę. No i perspektywa samobójstwa oznaczała, że już nikt mnie nigdy nie zostawi – ja odejdę pierwsza i nie dosięgnie mnie ziemski ból, samotność i opuszczenie.

\* \* \*

Zawsze jestem sceptyczna, kiedy słyszę o Amerykanach adoptujących dzieci z innych krajów. Tak, wiele z tych dzieci zostało ocalonych przed okropnymi

warunkami i umieszczonych w życzliwych domach. Mam jednak nadzieję, iż nowi rodzice pamiętają, że ich dzieci to obcy w obcym kraju, toteż należy im okazać jak najwięcej cierpliwości i delikatności.

Nikt, a najmniej zastraszone dziecko, nie potrafi dokonać superszybkiego przeskoku kulturowego. Dziecko potrzebuje kontaktu z własną kulturą, przeniesioną do nowego domu i szanowaną. Pragnie czuć, że nie jest gorsze, że wcale nie musi się zmieniać, żeby się dopasować. Pragnie być kochane i szanowane takie, jakie jest; pragnie być wysłuchane.

Strach, że nikt mnie nie słucha, towarzyszył mi przez całe życie. Jeden z moich nawracających koszmarów ma taki przebieg: Po wypadku zostałam całkowicie sparaliżowana. Zachowałam jasny umysł; wiem dokładnie, co się dzieje, ale nie mogę mówić. Nikt nie patrzy mi w oczy – we śnie wierzę, że gdyby spojrzeli, mogłabym coś przekazać wzrokiem – tylko rozmawiają o mnie, popychają mnie tu i tam, robią mi krzywdę. Krzyczę w środku, ale nic nie wydostaje się na zewnątrz.

Ponadto przez całe życie mówiłam to, co moim zdaniem chciała usłyszeć osoba będąca ze mną. Moi przybrani rodzice już pierwszego dnia przekazali mi wyraźną informację: nie usłyszemy cię, jeśli nie staniesz się taka jak my; musisz mówić naszym językiem, jeśli chcesz porozumienia. Więc próbowałam mówić językiem innych. Podchwytywałam ich manieryzmy i żargon, zgadzałam się z każdym ich słowem.

Niewysłuchanie było tak okropne, że gotowa byłam przybrać dowolną osobowość, żeby tylko dostąpić słodczy porozumienia. Bałam się komukolwiek sprzeciwić, bałam się wyrazić własne zdanie. Prawdziwe porozumienie serc jest tak wzniosłe, a ja musiałam się nauczyć wierności własnemu sercu, żeby go doświadczyć.

W ostatnich latach próbowałam osiągnąć chociaż odrobinę autentycznego porozumienia z rodzicami. Z wiekiem przeszli własną ewolucję i surowość

charakteryzująca ich w czasach mojego dzieciństwa nieco złagodniała. Nigdy im nie wyznałam, jak głębokie blizny pozostawili na mojej psychice ani jak daleko odeszłam od ich religii. Przyznali jednak, że popełniali błędy i że w swojej interpretacji chrześcijańskiego rodzicielstwa posunęli się trochę za daleko.

Teraz mnie kochają. Wiem to na pewno, chociaż oni właściwie nie wiedzą, kim jestem. Powtarzają mi, że są ze mnie dumni – słowa, za które w dzieciństwie oddałabym wszystko.

Ja też ich kocham. Wiem, że sami również cierpieli jako dzieci i musieli walczyć z własnymi demonami. Zważywszy na ich wiarę i sztywne wychowanie, chyba robili to, co uważali za najlepsze. Po prostu nie chcieli, żebym poszła do piekła.

Podczas mojej ostatniej wizyty tata zalał się łzami i wyznał, że żałuje wielu rzeczy z czasów mojego dzieciństwa. „Byłem niedojrzały – powiedział. – Nie umiałem być dobrym ojcem. Wstyd mi, że traktowałem cię w ten sposób”.

W mamie zaszły nadzwyczajne zmiany. Z wiekiem stała się znacznie łagodniejsza. Jej wspomnienia z mojego dzieciństwa są czułe i słodkie, a ja nie zamierzam z tym walczyć. Siedziała przy stole w salonie, kiedy Leigh i ja przyjechaliśmy z wizytą, i układała młode marchewki na macie.

– Proszę – powiedziała uszczęśliwiona, wręczając każdej z nas kilka marchewek. – Są pyszne.

Leigh i ja dziwiłyśmy się później: w okresie mojego dorastania mama nie pozwoliłaby nawet postawić na stole kartonu z mlekiem – żądała, żeby mleko przelano do dzbanka. A teraz bawi się marchewkami.

Siedzi i czeka bez słowa skargi, żeby tata się nią zajął. Cieszy się, kiedy zadzwonię, i mówi do mnie „kochanie”. Wspomina moją adopcję i dzieciństwo jako najlepsze, co ją spotkało w życiu. Powtarza mi, że byłam ślicznym dzieckiem.

## Rozdział 19

Koreańskie matki stanowią zdumiewający przykład cierpliwej ofiarności. Pracują tak ciężko, opiekują się dziećmi, opiekują się mężami i nigdy się nie skarżą. Omma uosabiała esencję tego kulturowego zjawiska. Dała mi z siebie to, co najlepsze, w okolicznościach, które wstrząsnęły moim dorosłym umysłem.

Nie miała przyjaciół ani rodziny. Nie doczekała się wsparcia od innych ani nawet zwykłej uprzejmości. Została porzucona przez mężczyznę, którego kochała, żeby samotnie opiekować się dzieckiem, którego nikt inny nie chciał uznać. Harowała ciężko dzień po dniu i żyła w skrajnej biedzie.

Wiedziała, że nic nie zmieni się na lepsze – nie podtrzymywało jej żadne marzenie, nie miała żadnej możliwości ratunku.

Niemniej uczyniła moje życie tak szczęśliwym, jak tylko potrafiła. Uśmiechała się i śpiewała mi; nie spała w nocy i bawiła się ze mną, chociaż wiem, że na pewno padała ze zmęczenia. Traktowała mnie z niewyczerpaną łagodnością i czułością.

Jak dobra koreańska matka pilnowała, żebym dostawała najlepsze jedzenie. Czekala, aż się najadłam, zanim sama zaczęła jeść, najgorętszą i najmocniejszą herbatę wlewała do mojego kubka. Owijała mnie we wszystkie koce, a potem dodatkowo osłaniała od zimna własnym ciałem. Dogadzała mi i pobłażała, i nie pamiętam, żeby chociaż raz podniosła głos w gniewie. Nigdy mnie nie uderzyła. Jej miłość była absolutna.

\* \* \*

Ludzie pytają mnie dzisiaj o moją drogę do wyleczenia, a ja nigdy nie wiem, co odpowiedzieć.

Nie czuję się „wyleczona”. Czuje się silniejsza, z pewnością; czuję się żywa i ludzka. Nie wiem, czy prawdziwe wyleczenie może nastąpić w tym życiu. Mam nadzieję, że tak, ale nadal zdarzają się chwile, kiedy ogarnia mnie bezbrzeźna rozpacz i nie widzę nigdzie nadziei. Nadal zdarzają się chwile, kiedy wątpię, czy potrafię wzbudzać miłość.

I jak wszystkim innym, mnie również nadal zdarzają się chwile, kiedy czuję się całkowicie samotna i przerażona.

Niemniej kiedy spoglądam na świat z punktu widzenia innej osoby, czuję intensywną falę współczucia, tkliwości i żalu nad cierpieniem innych ludzi, pragnę ukoić ich ból, przynieść im pociechę i spokój. Nie potrafię tego zrobić dla nikogo. Często nie potrafię tego zrobić nawet dla siebie. Każdy z nas samotnie przeżywa dziesięć tysięcy radości i dziesięć tysięcy smutków naszego życia.

Lecz ponieważ jesteśmy całkiem samotni i ponieważ życie jest takie ciężkie, każda piękna chwila, każdy serdeczny śmiech i każdy pocałunek są cenne i ważne. Jestem gorąco wdzięczna za każdą kruchą drobinę szczęścia.

Dla mnie strach przed porzuceniem zaczął się w nocy, kiedy zginęła moja matka. Wiele strachów narodziło się tamtej nocy. Lecz mantra porzucenia – „stracę wszystko, na czym mi zależy” – rozbrzmiewała w każdej chwili mojego życia. Wciąż powracam do tamtej nocy i za każdym razem dowiaduję się czegoś nowego.

Upłynęło dużo czasu, zanim mogłam przyznać, jak bardzo gniewałam się na matkę za to, że mnie zostawiła i że pozwoliła mi to zobaczyć. Dlaczego mnie nie odesłała z domu? Dlaczego sama nie zawiozła mnie do sierocińca? Dlaczego ukryła mnie w miejscu, skąd musiałam tak dokładnie widzieć wszystko, co się stało?

Nie znam odpowiedzi, ale wierzę, że postąpiła jak najlepiej.

Stanowiła wytwór czasu i miejsca, gdzie ceniono honor i odwagę, i bardzo się starała wpoić córce obie te cechy. Wierzę, że chciała wychować mnie tak, żebym

zniosła wszystko. Wierzę, że chciała nauczyć mnie akceptacji faktu, że obie jesteśmy skazane na prześladowania, i wiedziała, że potrzebuję nieugiętej odwagi i siły z tego gatunku, jaki hartuje się tylko w ogniu piekła. Wierzę też, że kochała mnie bardziej niż własne życie i jeśli podjęła jakieś złe decyzje, to ze strachu i ignorancji, ale zawsze z miłości.

Gdybym mogła porozmawiać z nią dzisiaj, twarzą w twarz, najpierw powiedziałabym: „Wybaczam ci”. A potem powiedziałabym jej, jak bardzo ją kocham. Kocham ją. Kocham.

\* \* \*

Chociaż nie jest to ogólnie wiadome i nie mówi się o tym, honorowe zabójstwa nie odeszły w przeszłość razem z moją matką. Jej tragedia nie była jedyna.

Ostatnio rozmawiałam z Koreańczykiem, który nie okazał zdziwienia, kiedy mu opowiedziałam o śmierci mojej matki.

– Tak – powiedział z rezygnacją – to za seksualną hańbę? Nie mówię, że to słuszne, ale musisz zrozumieć. Taka jest ta kultura.

Do sali reportaży, gdzie pracuję, nierzadko napływają informacje o honorowych zabójstwach. Zdarzają się nie tylko w Korei, ale w Izraelu, w Chinach, w Iranie, w Indiach i wielu innych krajach. Niewiele o nich słyszymy, częściowo dlatego, że zdarzają się w odległych miejscach poza ograniczonym zasięgiem naszego myślenia, ale również dlatego, że w takich wypadkach podaje się często, że kobieta popełniła samobójstwo. I wielu ludzi w tamtych krajach akceptuje honorowe zabójstwa jako niemą, lecz uświęcony tradycją element ich kultury. Po prostu tego nie kwestionują.

Nie wiemy, ile kobiet zostało zamordowanych za naruszenie tradycji, ale możemy sobie wyobrazić niezliczone dzieci, które patrzyły na śmierć swoich

matek i obwinały siebie; ludzi, którzy dorastali traktowani jak istoty gorsze bez twarzy, bez duszy.

Niezliczone kobiety zostały brutalnie pozbawione życia – piękne, błyskotliwe, proste, dzikie i potulne, zwyczajne i wyjątkowe – kobiety, których ty i ja nigdy nie poznamy, i cały świat stał się przez to uboższy.



## Rozdział 20

Zawsze śniłam o nocy, kiedy zginęła Omma, lecz z wiekiem sny się zmieniły. Teraz znajduję w nich pewną pociechę.

Mogę wejść do tamtej izby, przeciąć sznur, zdjęć pętlę z jej szyi i wziąć ją w ramiona. I całować jej biedną zsiniałą twarz, aż przybierze piękną barwę porcelany zabarwionej rumieńcem, i kołysać ją tak, jak kołysała mnie tyle razy. I zamknąć jej szeroko otwarte oczy, i zaśpiewać jej kołysankę.

O Boże, tak bardzo za nią tęsknię.

W tym śnie mogę wejść do tamtej izby jako dorosła, wziąć na ręce tamto przerażone, zakrwawione dziecko i przyciskać do serca, aż moje ciało rozplynie się i wchłonie je do wnętrza. Mogę jej powiedzieć, że już nigdy nie będzie samotna. Mogę jej powiedzieć, że to nie jej wina, że Omma umarła.

Mogę jej powiedzieć, że zasługiwała na ocalenie.

Tamta noc i ta noc są jak maleńkie kamyczki w ogromnej różnobarwnej mozaice życia. Są jak ulotne cienie snów. Wyglądam przez okno i widzę rzeczywistość: Życie jest jak gęsta mgła, która kłębi się nad moim domem o poranku – wygląda solidnie i namacalnie, przybiera kształty i formy, lecz kiedy słońce ją ogrzeje, znika bez śladu.

Może życie jest właśnie takie. Może cierpienie jest właśnie takie. Lęki, nadzieje, marzenia i smutki rozplyną się jak mgła, z której są stworzone, a pozostanie ciepło i światło mojej najgłębszej jaźni, duszy czy czymkolwiek to jest.

Pragnę prawdziwej miłości w tym życiu, prawdziwego zadowolenia i spokoju. Lecz może jest tylko jeden sposób, żeby osiągnąć: odrzucić wiarę, że to życie jest moją realnością.

*Wyszukana uprzejmość,  
Że zechciałeś mnie dostrzec,  
Niezmierna łaska,  
Że zechciałeś uwierzyć,  
Że ja, bezimiennie dziecko ciemności,  
Mogłam wejść do świętych komnat miłości.  
Mogłam jej dotknąć bez wstydu.  
Mogłam żywić nadzieję.  
Spokój niepojęty  
Spadł na mą głowę jak miękki deszcz.*

## Epilog

Niedawno poszłam z przyjacielem do koreańskiej restauracji w San Francisco. Zamówiliśmy mnóstwo różnych rodzajów *kimchi*, do tego ryż i herbatę. Mniej więcej w połowie naszego posiłku weszła koreańska rodzina: rodzice, dwójka dzieci, babcia. Najwyraźniej wracali z jakiejś zabawy – dzieciaki trzymały baloniki i wyglądały trochę niechlujnie, jak po dniu spędzonym na świeżym powietrzu. Rodzice byli roześmiani i pełni czułości wobec dzieci; dzieci żądały określonych potraw z tą absolutną pewnością siebie, jaką okazują dzieci, kiedy wiedzą, że są gorąco kochane.

Patrzyłam na nich, siedząc po drugiej stronie sali i mruganiem odpędzałam łzy. Jadłam swoją *kimchi* i podglądałam, jak chichoczą i dzielą się uczta z rozmaitych dań. Tak bardzo pragnęłam przyłączyć się do nich. Pragnęłam podejść i zobaczyć, jak ich uśmiechy mnie obejmują; pragnęłam należeć do tego małego, zamkniętego rodzinnego grona.

Kiedy wychodziliśmy, minęły nas trzy przyjaciółki, które paplając radośnie zmierzały do restauracji. Były to młode dziewczyny, najwyżej szesnastoletnie, podekscytowane samodzielnym wyjściem na miasto. Pierwsze dwie przebiegły obok mnie pogrążone w rozmowie, ale trzecia szła wolniej. Nawiązałyśmy kontakt wzrokowy i uśmiechnęłam się do niej. Pokochałam ją tylko dlatego, że była młodą Koreanką, bardzo podobną do mnie w czasach młodości, i wydawała się nieco zagubiona. Nieśmiało odwzajemniła uśmiech, a potem ukloniła mi się. Zaskoczona, od kłoniłam się i łzy napłynęły mi do oczu. Zupełnie jakby ktoś wręczył mi prezent, na który czekałam przez całe życie. Po raz pierwszy ktoś z koreańskiego narodu spojrzał na mnie bez pogardy czy nawet ciekawości, tylko jak na osobę godną szacunku. Zostałam zaakceptowana; miałam ochotę krzyknąć z radości i

przycisnąć tę dziewczynę do serca.

Dziewczyna przed restauracją nie miała pojęcia, jak głębokie wrażenie wywarł na mnie jej prosty gest grzeczności. W koreańskiej kulturze ukłon jest wszystkim. Osoba mniej ważna kłania się pierwsza na znak szacunku. Im większy szacunek, tym głębszy ukłon. Nigdy w życiu nikt mi się nie kłaniał oprócz mojej matki. Ukłoniłam się dziewczynie, jak tyle razy kłaniałam się Ommie, i zalała mnie fala miłości i żalu.

Wszystko jest możliwe, mówiła mi Omma. Wierzyła, że pewnego dnia będę osobą, że ludzie będą uśmiechać się do mnie, kłaniać mi się i patrzeć w oczy. Wierzyła, że pewnego dnia życie jej dziecka będzie coś warte.

Teraz jej córka również w to wierzy.

*Spis treści CZEŚĆ I 9*

*CZEŚĆ II 47*

*CZEŚĆ III 119*

*CZEŚĆ IV 139*